

Przegląd Polski

REVISTA POLONÊSA

N.º 5/6 WRZESIEŃ — GRUDZIEŃ 1960

W TYM
NUMERZE
między innymi:



Refleksje po wizycie



Epizod z bitwy o
Falaise



Upiór znad Czarnej
Rzeki



Wilia Augusta



Paquetá - najdziw-
niejsza z wysp



Nad Araguaia



Taki sobie człowiek...



Stronica parańska



Wiadomości z Kraju



Przegląd Polski

REVISTA POLONÊSA

DWUMIESIĘCZNIK

N.º 5/6 — WRZESIEŃ — GRUDZIEŃ — 1960

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY : João Castaldi del Ruccillo

Sekretarz Redakcji: Seweryn A. Hartman

Dyrektor : Stanisław Biliński

Wydaje: Sociedade Brasileira de Expansão Comercial Ltda.

Redakcja i administracja : rua Barão de Itapetininga, 221

Conj. 1203 — Fone : 35-5584 — SÃO PAULO, Brasil

Warunki prenumeraty: 300 Cr\$ rocznie (za 6 numerów)

Za granicą US \$ 2,00

Rękopisów i zdjęć niezamówionych redakcja nie zwraca.

Melhor
Organização
com os
Relógios de
Ponto

IBM

- ★ Maior exatidão no controle de pontualidade e frequência dos empregados.
- ★ Maior facilidade no preparo das folhas de pagamento.

Máquinas de escrever Elétricas

★
Máquinas de Processamento de Dados.

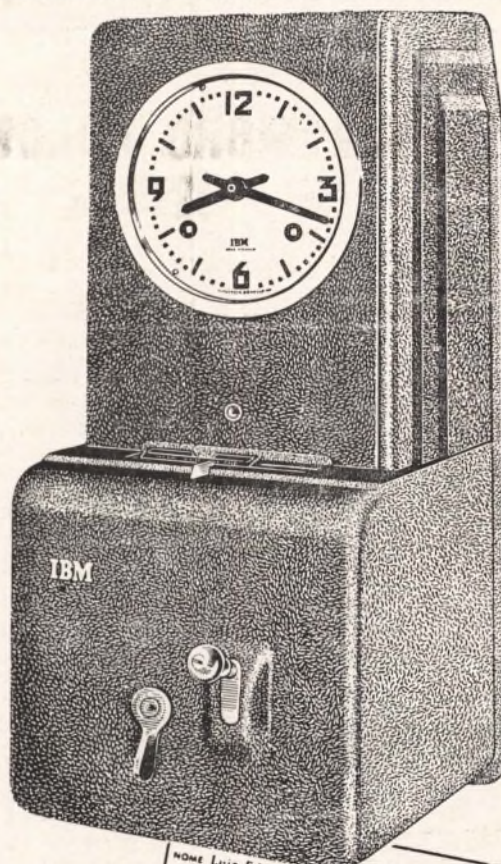
IBM

WORLD TRADE
CORPORATION

Avenida Rio Branco, 80, 6.º andar — Telefone : 23-1951

Filiais : São Paulo - Porto Alegre - Salvador - Recife - Fortaleza -
Belo Horizonte e Curitiba

Agentes em diversas cidades.



Nome Luis Felipe
Cargo Torneiro
Mes Abril

1.ª QUINZENA

HORAS	MANHÃ		TARDE		EXTRA	
	ENT	SAI	ENT	SAI	ENT	SAI
8:00						
7:35						
8:00						
8:01						
7:54						
7:56						
7:58						
7:43						
8:03						
8:00						
7:58						

8:00 13,00 12,00 17,00

DELACO

Comércio e Indústria Ltda.

laminados plásticos,
decorações, revestimentos

S. PAULO, R. Consolação, 825

Fone: 34-1246 e 32-1022

Sprzedaż FORMICA w arkuszach i kawałkach.

Jedyna firma w São Paulo wyspecjalizowana we wszelkich dekoracjach, aplikacjach i meblach artystycznych, wyłącznie z

"FORMICA"

Z. MAZUREK

Maszyny, elektrody, aparaty, akcesoria itp. do spawania elektrycznego i gazowego.

Rua Amaral Gurgel, 66 —

Tel.: 52-8101 i 52-6698

* * *

Caixa Postal, 4434

Telegr. "MAZUREK"

SÃO PAULO

Błogosławieństwo Ks. Arcybiskupa Poznańskiego dla Polonii brazylijskiej

Jeden z naszych przyjaciół przesłał Ks. Arcybiskupowi Poznańskiemu nr. 2 "Przeglądu Polskiego" i otrzymał bardzo mile potwierdzenie odbioru, z którego przytaczamy następujące wyjątki:

... "Potwierdzam odbiór dwumiesięcznika — "Przegląd Polski" nr. 2. Cieszę się, że Polonia brazylijska włącza się w nurt Wielkiej Nowenny, przygotowującej nas na Tysiąclecie Chrztu Polski, a tym samym umacnia więź z Macierzą wśród Polaków za oceanem.

... Całej Polonii brazylijskiej przesyłam serdeczne pozdrowienia z kraju i udzielam swego arcybiskupskiego błogosławieństwa.

† Antoni Baraniak
Arcybiskup Metropolita

Od Redakcji

Minął prawie rok od czasu, gdy zaczęło się ukazywać nasze pismo. Pierwsze najtrudniejsze zmagania z trudnościami, głównie natury finansowej, mamy już za sobą. Wbrew życzeniom osób nieżyczliwych wkraczamy w drugi rok istnienia, bogatsi o wiele doświadczeń, ubodzy, jak byliśmy. PRZEGLĄD POLSKI okrzepł, rozwija się, zdobywa coraz więcej czytelników. Dalecy jednak jeszcze jesteśmy od samowystarczalności. Dlatego w dalszym ciągu musimy liczyć na ofiarność czytelników, na ich poparcie finansowe, a przede wszystkim na propagowanie pisma wśród znajomych i przyjaciół i zdobywanie nowych prenumeratorów.

My ze swej strony będziemy się starali ulepszać i rozwijać PRZEGLĄD POLSKI.

Wszystkim naszym czytelnikom i przyjaciołom dziękujemy za pomoc i współpracę i życzymy im Wesołych Świąt i szczęśliwego Nowego Roku.

REDAKCJA

O "SETEMBRO POLONÊS" NO BRASIL

Quando as bárbaras hostes de Hitler invadiram a Polónia a 1 de setembro de 1939, tentando subjugar e depois aniquilar a pátria de Chopin, Madame Curie e tantos outros nomes ilustres, a fim de não mais representar nenhum obstáculo para alargamento do "espaço vital" do fascismo, o poeta brasileiro, Luci Varzea, escrevia no seu poema "Fênix" as seguintes estrofes, dedicadas ao país sacrificado pelo invasor:

"Oh! Polónia bendita entre as nações benditas!
A Liberdade sempre foi o teu fanal
Por ela — morres e ressuscitas.
Ave! Polónia, que não tens rival!
Desta América Livre eu te saúdo!
Bem poderias gravar no teu Escudo
A ave imortal.

Ave! Polónia brava
De impetuoso coração!
Polónia, que não foste - e nem serás escrava
Do teutão:
Galhardamente grava
O Fênix redividia em teu Brazão..."

Esta convicção do poeta e a sua fé inabalável no destino da Polónia era compartilhada por todos os brasileiros, amantes da liberdade e da justiça. Desde o norte até o sul do vasto território nacional, homens de letras, jornalistas, professores, cientistas entregaram-se de todo o seu coração em favor da causa polonêsa, considerada pelo invasor fascista por consumada e ineditavelmente liquidada. A Academia Brasileira de Letras solidarizou-se com o infortúnio da Polónia numa sessão especial, realizada a 4 de abril de 1940. Enquanto isto, Simfrônio de Magalhães escrevia: "... Todos os homens de coração, ungidos pela fé em Deus, amparados pela crença na força irresistível da Liberdade e fortalecidos pelas esperanças que a Justiça proporciona, tem a mais absoluta certeza de que essa guerra, imposta à Polónia pela brutalidade germânica, a Polónia sairá gigantescamente engrandecida por sua comovedora e inextinguível bravura e, mais uma vez, aparecerá em face do mundo, imponente e radiosa, martirizada pelo sangue de heróis que defenderam, até o último limite das possibilidades humanas Varsóvia, Modlin, Hel e Westerplatte — terras veneráveis, iluminadas pelo espírito de Copérnico, revelador das

rotas sidéreas, traçadas sob a imensurável umbela do firmamento..."

Em 9 de setembro de 1939 foi fundado no Rio de Janeiro o Comitê de Socorro às Vítimas de Guerra na Polónia. Foi eleito presidente do Comitê dr. Fernando de Melo Viana; os membros de honra foram os seguintes: S. A. I. Princesa de Orleans e Bragança, Baroneza de Bonfim, viúva Ruy Barbosa, sra. Lineu de Paula Machado, embaixador Afrânio de Melo Franco, Guilherme Guinle, ministro Rodrigo Otávio, Tadeu Skowronski, então ministro da Polónia no Brasil. Da Comissão Executiva faziam parte: — Fernando de Melo Viana, Ivo Soares, Aloisio de Castro, Antônio Cardoso Fontes, Boleslau Nowicki, Cândido Mendes de Almeida, Czesław Sokulski, Daniel de Carvalho, Gastão Bahiana, Heraclides de Souza Araujo, José Matoso Maia Fortes, José Saboia de Medeiros, Mario Acioli, Mario Rodrigues de Souza, Nuno Smith de Vasconcelos, Ranulfo Bocaiuva e Rodrigo Otavio Filho.

Este Comitê dedicou todos os seus esforços no sentido de angariar fundos e recolher a maior quantidade possível de donativos para amenizar os infortúnios dos infelizes na Polónia, sobre a qual José Matoso Maia Forte escrevera naquele tempo palavras jamais olvidadas: "Retalhado o seu território, repartido o seu povo entre três nações poderosas; fechadas as suas escolas e universidades; ameaçada a sua Igreja; obrigada a não falar a própria língua de seus antepassados, o Polonês soube conservar, através dos mais sombrios cativos que a história contemporânea registra, a sua unidade moral; unidade de pensamento no amor ao solo, na constituição da família, na cultura das ciências, letras e artes; unidade no seio da Igreja Católica — à qual seu Clero dá presentemente as mais sublimes demonstrações de solidariedade. Com seus filhos famintos, suas mulheres desrespeitadas pelo mais brutal tratamento, seus jovens e anciões martirizados e fuzilados, seus palácios e lares incendiados, seus museus e bibliotecas saqueadas, suas universidades destruídas, suas estátuas derrubadas, seus campos revolvidos pela metralha, o povo Polonês, altivo e estóico, tem sabido dignificar e exaltar suas virtudes. Resolutos na ofensiva, tenazes na defensiva, expatriados, os soldados da Polónia dão agora, nas fileiras dos aliados, em terra, no mar e nos ares, um admirável exemplo de amor pela Pátria longínqua e de seu culto pelas liberdades civis. É alma de Boleslau I, de Casimiro III, da sua história antiga, ou as de Dąbrowski, de Mickiewicz, de Kościuszko e de Piłsudski, que palpita nas hostes reunidas sob o comando do general Sikorski... Um povo como esse, há de sempre viver e ressuscitar com as glórias presentes e futuras, as glórias de seu passado refulgente. Ave Polónia!"

Nasza okładka :
W DOLINIE KOŚCIELISKIEJ W TATRACH

Dokończenie na str. 2

REFLEKSJE PO WIZYCIE

ZYGMUNT WIELICZKA

Wiosna 1945 roku, wiosna zwycięstwa. Po latach śmiertelnych zmagani leży nareszcie u stóp zwycięskich armii alianckich trup hitlerowskich Niemiec. Trup materialny i moralny. Obok nielicznych, kierowanych fanatyzmem i rozpaczą punktów beznadziejnego oporu, zwycięzcy napotykają masowe tchórzostwo niemieckie i ucieczkę przed odpowiedzialnością. Zebrania o łaskę niweluje syty dygnitarz z szarym, często głodnym członkiem "narodu panów". A piękności z hitlerowskiego zrzeszenia dziewcząt niemieckich, B.D.M., rozkocharują się nagle i masowo w zwycięzcach zamorskich.

Nie należy powracać do bestialstw popełnionych w czasie wojny przez Niemców. Opinia świata zna szczegóły dokładnie. Znalazły one potępienie w deklaracji poczdamskiej z dn. 2 sierpnia 1945 r., w której Anglia, Stany Zjednoczone i Związek Radziecki postanowiły (przy późniejszej aprobacie Francji) zniszczyć bez reszty nazizm i militarystkę niemiecką oraz podjąć środki zabezpieczające na zawsze sąsiadów i świat cały przed groźbą ponownej agresji niemieckiej.

W 15 lat po klęsce hitlerowskich Niemiec godzi się zbadać co uratowaliśmy spod destrukcyjnego działania czasu z antyhitlerowskich odruchów z pierwszych lat powojennych. Z przerażeniem stwierdzimy przede wszystkim odrodzenie wojującego militarystki niemieckiej w oparciu o który rząd Kanclerza Adenauera coraz wyraźniej wyciąga drapieżne szpony do ziem nad Wartą i Wisłą. Mamy tu do czynienia z dawnymi planami zaborczymi Ludendorffa całkowitego opanowania Europy Wschodniej jako etapu podporządkowania sobie całego świata.

A niedawno temu zaplanowane oboje ćwiczeniowe niemieckiej "Reichswehry" we

Francji tłumaczyć chyba należy jako wstęp do pokojowej inwazji zachodu europejskiego. Boć miejsca na oboje ćwiczebne w Niemczech nie brak. Z planów reedukacji czyli denazyfikacji narodu niemieckiego nie pozostało po 15 latach nic, prócz niespełnionych zamierzeń. Przeczą pozytywnym wynikiem denazyfikacji zbrodniarze hitlerowscy na wysokich i najwyższych stanowiskach republiki bońskiej. Przeczą premiowanie rodzin ex-dygnitarzy nazistowskich zawrotnymi emeryturami, przeczą sute odprawy i odszkodowania(!), przyznawane wybitnym hitlerowcom przez rząd Adenauera. A planowe ukrywanie zbrodniarzy wojennych i ułatwianie im ucieczki w chwili zagrożenia dowodzi, że w nastrojach mas niemieckich nic się po 15 latach powojennych nie zmieniło. Przeciwnie. W szkołach kultuwa się ducha odwetu. Podręczniki szkolne układali chyba ex-naziści, gdyż z kart ich wieje niezdrowy duch uwielbienia dla "bohaterstwa" niemieckiego czyli rozboju wojennego. Zamiast uczyć poszanowania praw wszystkich narodów, podręczniki szkolne republiki bońskiej wspominają z zachwytem ponure dni, w których "Deutschland über alles" było bliskie urzeczywistnienia.

Równolegle z systematycznym zatrutowaniem młodzieży przez apoteozowanie planów Fryderyka "Wielkiego", Bismarcka, Ludendorffa i jego ucznia Hitlera, idą intrygi dyplomacji niemieckiej, uwijającej się w kulisach konferencji międzynarodowych, w zamiarze zakłócenia obecnego stanu pozornego pokoju. Nad biednym naszym, cieniem Hiroszimy obciążonym światem, krąży znowu sępy i kruki, tak jak ongiś w 1939 roku krążyły nad Europą śmierć i zniszczenie niosące bombowce niemieckie. Zdajemy sobie nareszcie sprawę z nagiej prawdy, że rozpętanie jeszcze jednej, o losach ludz-

kości decydującej wojny leży w wyłącznym interesie Niemiec. Nowa zawierucha dziejowa oznacza bowiem szansę stopniowego na wypadek zwycięstwa opanowania Europy i w dalszej perspektywie otwiera Niemcom drogę do zawiadnięcia całym naszym globem. Istnienia tego rodzaju pozornie fantastycznych pomysłów dowodzą nie-dwuznacznie dawne

ZABORCZE PLANY HITLERA.

Proces norymberski potwierdził w całej pełni rewelacje H. Rauschninga, byłego prez. Senatu gdańskiego, ujawnione w jego książce "Rozmowy z Hitlerem" (Gespräche mit Hitler, Europa-Verlag 1940). Tak łatwa do uspienia opinia świata niechętnie dziś powraca do przestrogi Rauschninga, wypowiedzianych w chwilach triumfu oręża niemieckiego, gdy pogrom wolnych narodów wydawał się kwestią tygodni, czy też tylko dni. Z tej właśnie racji przypomnieć należy, że na wypadek pokonania Europy, Hitler planował zniszczenie Stanów Zjedn. Ameryki Półn. i podporządkowanie obu Ameryk "porządkom" niemieckim. Brazylię zaś darzył specjalnymi względami, planując przeistoczenie tego, jego zdaniem skorumpowanego kraju mieszkańców, w "nowe Niemcy". Wraz z nazistowskim światopoglądem, Hitler za-

mierzał wnieść w podbitą Brazylię kapitał i przedsiębiorczość niemiecką. Droga do osiągnięcia tych zbrodniczych celów wieść miała przez penetrację niemiecką do rządzących sfer brazylijskich. Zdobycie zaś Ameryki Łacińskiej dla idei wielkoniemieckiej zlecił młodym, wszelkich skrupułów pozbawionym elementom spośród miejscowej emigracji germańskiej. Akcję samą umożliwić miała niemiecka

NOWOCZESNA BRON

Hitler zdawał sobie sprawę z tego, że realizacja jego zaborczych planów wymaga zastosowania nowych, nieznanych metod działania. Obok gigantycznego programu budowy czołgów i samolotów powstała przeto nowa broń "psychologiczna", zmierzająca do podminowania upatrzonych organizmów państwowych drogą prowokacji politycznej. W tym celu zmobilizowano niemieckie ośrodki emigracyjne, rozproszone po całym świecie. Na rozkaz Hitlera ośrodki te zamieniły się w zwartą armię szpiegów i prowokatorów, osławioną V-ą kolumnę, która, dobrze pamiętamy, poczyniła niemałe szkody w nastrojach

RODOFIEL S.A.

EXCELENCIA EM

TRANSPORTE

O "Setembro polonês no Brasil"

Dokończenie ze str. 1

Tendo amigos que proferiam palavras tão confortantes e que a cada instante manifestavam sua simpatia, os polonêses no Brasil não se sentiram abandonados na sua desgraça com a queda da Polônia. Tiveram mais coragem e ânimo para enfrentar o infortúnio e ao mesmo tempo sentiram fortalecida sua fé e esperança, de que a sua pátria amada e tão decantada por seus poetas, embora naquele tempo saqueada e incendiada, recuperaria a sua liberdade e se levantaria mais bela dos destroços e da destruição. Isso lhes assegurava no seu poema o poeta Laudionor A. Brasil:

"... Polônia!

Estás viva e és eterna!

O teu nome será circundado de sóis

No advento triunfal da nova humanidade!"

(jk)

szerokich mas brazylijskich. Kredyty i synekury, subwencjonowanie prasy i pospolite przekupstwo, oto metody działania V-tej kolumny. Celem i metody ustalił sam Hitler na berlińskim zjeździe delegatów niemieckich ośrodków emigracyjnych na wiosnę 1934 roku, rozkazując: "Zadaniem waszym jest wychowanie wszystkich bez wyjątku emigrantów niemieckich, bez względu na przynależność państwową w duchu bezapelacyjnego oddania celom polityki niemieckiej, mającym pierwszeństwo przed obowiązkiem lojalności wobec państw, w których życie. Waszym zadaniem jest przygotowanie gruntu, celem rozprzestrzenienia potęgi Niemiec zarówno w Europie jak i w krajach zamorskich... Waszym obowiązkiem jest wywalczenie Niemcom kierowniczego stanowiska w świecie".

Wiemy dziś, że zbrodnicze apele Hitlera padły w wielu krajach na podatny grunt, a zdradziecka akcja emigrantów niemieckich ułatwiła pokonanie Norwegii, podkopała bitność Francji, utworzyła sprzyjający nazizmowi mośleizm angielski i integralizm brazylijski.

Nie należy ludzi się nadziej, że katastrofa klęski zmieniła z dnia na dzień naturalne instynkty niemieckie. Zaborczość, przez samego Bismarcka stwierdzone istnienie wilczej natury, tkwi zbyt silnie w psychice niemieckiej, by można ją było w krótkim odstępie czasu wypłenić. Przemiana Niemców w pożyteczny i zgodliwy element rodziny narodów wymaga czasu, długotrwałych wysiłków a przede wszystkim... dobrej woli samych Niemców.

REFLEKSJE PO WIZYCIE.

W świetle powyższych wywodów nasuwa się nam dręczące pytanie, jakim był właściwy cel wizyty, złożonej kilka tygodni temu rządowi brazylijskiemu przez bońskiego min. spr. zagr. Heinricha v. Brentano. Mówi się, że oficjalnym celem wizyty było nawiązanie przyjaznych stosunków, w nadziei uzys-

kania poparcia niemieckich planów rewindykacyjnych przez Brazylię. Nic w tym ostatecznie groźnego nie widzimy, gdyż dla drobnego w skali światowej zagadnienia niemieckiego, świat nie da się wciągnąć w odmet nowej wojny. Żadne trzeźwo i uczciwie orientowane społeczeństwo nie przyczyni się też do premiowania obciążonego zbrodniami wojennymi narodu niemieckiego ziemiami sąsiadów.

Szereg poszlak pozwala jednak na domysł, że wizyta v. Brentano zmierzała do uspiania czujności Brazylii wobec działalności tej części tutejszej emigracji niemieckiej, która wciąż jeszcze żyje wizją opanowania świata przez wojujący pan-germanizm. W pierwszym rządzie należało by przeto odcyfrować, jaki czynnik skierował w ubiegłych latach do Brazylii agentów niemieckich, oferujących drobnym i średnim przemysłowcom bardzo dogodne kredyty, zakrawające wprost na subwencje. Hitlerowska V-ta kolumna stosowała bowiem podobne chwyt. Czujność na tym odcinku jest szczególnie wskazana, by poprzez zależność gospodarczą nie utracić swobody decyzji w polityce.

Mnożą się też ostatnio wypadki powoływania rzekomych speców niemieckich na stanowiska rządowe, federalne i stanowe. Czyżby to był dalszy ciąg planowanej przez Hitlera penetracji? Dochodzą nas wreszcie słuchy, że na wybrzeżu powstają skupiska neo-emigrantów niemieckich, cieszące się poparciem duchem nazizmu przepojonej części tutejszych Niemców. Jeżeli pogłoski te odpowiadają rzeczywistości, sprawa wydaje cię mocno podejrzana. Pamiętamy przecież dobrze zdradziecką rolę z łona emigrantów wywodzących się agentów niemieckich w trakcie ubiegłej wojny.

Bez względu na to, czy wizyta min. Brentano stoi w jakimkolwiek związku z powyższymi zastrzeżeniami, wydaje się niewątpliwe, że należy w zdecydowany sposób przeciwstawić się próbom od-

tworzenia V-tej kolumny w Brazylii, by z biegiem czasu nie popaść w niewolę niemiecką.

— ☆ —

Wychodźstwo polskie wywodzi się z narodu, który paktem o nie-agresję został w 1934 r. przez Niemców w haniebny sposób oszukany. Z tej racji ciąży na nas obowiązek ostrzeżenia naszych współobywateli brazylijskich przed możliwością wznowienia prób podminowania demokracji przez neo-hitlerizm. Polonia brazylijska czuje się jaknajściślej związana z tutejszą ziemią, na której od stu lat znalazła przyjaźń otoczenia, wolność słowa, myśli i pracy, a dla swych potomków nową ojczyznę. Wiążąc dalszy wspinały rozkwit Brazylii z osobą prez. Janio Quadrosa, staje przeto lojalnie w sze-

regach ludzi dobrej woli, gotowa do obrony naszych swobód obywatelskich przed widmem wojującego neo-faszyzmu niemieckiego.

Pomni cierpień, jakie naród polski poniósł z rąk zachłannych sąsiadów, zwracamy myśli nasze ku wizji — przestrodze naszego wielkiego Adama, która dziś, w erze bomby atomowej nabiera świeżych rumieńców aktualności:

Bóg wyrzekł słowo stań się, Bóg
[i zgiń wyrzecze,
Gdy od ludzi wolność i wiara
[uciecie,
Gdy ziemię despotyzm i duma
[szalona
Otoczą, jak Moskale redutę Or-
[dona.
Karząc plemię zwycięskie, zbrod-
[niami zatrute,
Bóg wysadzi tę ziemię, jak on
[swą redutę.

Z. W.

Esquadrias Santa Cruz S.A.

FÁBRICA : — Canoinhas — Santa Catarina

ESCRITÓRIOS :

Rio de Janeiro: — Rua do CARMO 27, GR. 607

Fones: 52-07-12, 42-98-92

São Paulo : — Av. LIBERDADE 65, Conj. 208

Fone : 36-02-06.

FORNECE TODOS OS TIPOS DE ESQUADRIAS
DE MADEIRA.

Elektryczne instalacje przemysłowe
niskiego i wysokiego napięcia

ELOBRA

OBRAS ELÉTRICAS LTDA.

Brig. Tobias 356 — 10.º Conj. 103 — Tel.: 34-0806

SÃO PAULO

CZYM SIĘ MOŻEMY POCHWALIĆ W PARANIE

Gdyby można było utrwalić na taśmie filmowej dzieje naszego wychodźstwa można by przekazać potomnym wiele ciekawych rzeczy. Widzieli by: wysiłki dziadów przy rąbaniu puszczy i zdobywaniu dziesiątków tysięcy kilometrów kwadratowych nowej ziemi dla kultury rolnej; przerzucanie mostów nad rzekami i przepaściami; budowanie nowych dróg, szkół i domów towarzystw społecznych. Mogli by też zobaczyć ofiarność gromad łączących na utrzymanie nauczycieli i wysyłających ofiary na rzecz osób dotkniętych klęskami żywiołowymi w kraju. I wreszcie ujrzeli by — rozpromienione twarze widzów na przedstawieniach amatorskich, młodzież śpiewającą pieśni polskie w chórach kolonijnych, zjazdy, sejmiki, kursy, kłótnie, rozbicia, jednoczenia i znowu rozbicia w łonie Polonii — wszelkie dobre i złe strony zbiorowiska emigracyjnego.

Ale w filmie tym przeważały by obrazy jasne. W ciągu prawie stu lat zrobiliśmy wiele rzeczy dobrych i zdobyliśmy sporo ładnych pozycji. Mamy osiągnięcia w dziedzinie handlowej i w dziedzinie gospodarczej. Zbudowaliśmy tartaki, młyny i łuszczone ryżu; wzmogliśmy produkcję krajową zbóż, nabiału i mięsa. Wnieśliśmy też duży wkład, gdy chodzi o kulturę, oświatę, obyczaje, folklor. Szeregi nasze zasiły kadrę urzędów, biur, szpitali, szkół, wolnych zawodów.

A ileż to należy odnotować wysiłków w dziedzinie organizacji szkolnictwa i ruchu wydawniczego. Wystarczy policzyć choćby same podręczniki szkolne. Figurują wśród nich różni autorzy parańscy, m. in. powstaniec z roku 1863, Włodzimierz Kuhn.

Spróbujmy przypomnieć sobie niektóre ważniejsze osiągnięcia wychodźstwa polskiego w Paranie.

W czerwcu 1936 roku odbyła się w Cruz Machado Wystawa Rolnicza i Przemysłowa zorganizowana przez Związek Rolników Polskich w Paranie, połączona z wystawą wyrobów lnianych wykonanych przez rękodzielników polskich. Wystawa ta spotkała się z uznaniem władz m. in. gubernatora Manoela Ribasa.

W listopadzie tegoż roku urządzona została w Marechal Mallet Wystawa Książki Polskiej, która wypadła imponująco. Wystawę i jej powodzenie kolonia polska zawdzięczała ofiarności nauczycielki Wacławy Nowakowskiej z Płocka, która łącznie z uczniami Szkoły Kupieckiej zasilila Kolegium Malletańskiej w wiele pomocy oświatowych i szkolnych. Kolegium dysponowało w tym czasie biblioteką składającą się z 3.135 tomów. Wydawnictwa parańskie: książki, broszury i periodyki znajdowały się na wystawie na osobnym stole. Honorowe miejsce zajmowały podręczniki szkolne opracowane przez Konrada Korzeniowskiego i innych pedagogów. Wystawa miała wielkie powodzenie, świadcząc chlubnie o dorobku kulturalnym Polonii brazylijskiej.

Druga z kolei Wystawa Książki Polskiej zorganizowana przez Składnicę Oświatową Zrzeszenia Nauczycielskiego miała miejsce w Kurytybie podczas V Sejmu Centralnego Związku Polaków w Brazylii w dniach od 26 do 30 czerwca 1937

roku. Na marginesie tego Sejmu dodać należy, że był to ostatni w naszej historii wielki zjazd Polaków z całej Brazylii.

Wystawa przedstawiała się okazale, znacznie lepiej, niż analogiczna w Marechal Mallet. Zgromadzono setki książek z kraju oraz książki napisane i wydane w Brazylii.

Kierownik Składnicy Oświatowej Zrzeszenia Nauczycielskiego tak się wyraził o tej wystawie:

“... Dotychczasowy brak asortymentu książek z Polski nie pozwalał na liczniejsze wystawy, natomiast na przyszłość, posiadając już nowe zapasy książek naukowych, beletrystycznych i dziecięcych, — będziemy takie wystawy urządzać częściej”.

Po wystawie lnianej w Cruz Machado gubernator Manoel Ribas rzucił myśl, aby podobną wystawę lnianą-ktacką urządzić w Kurytybie w celu pokazania szerokiemu ogółowi nowych i rewelacyjnych możliwości rozwoju życia gospodarczego. Związek Rolników Polskich podjął tę myśl z zadowoleniem. Najwyższe władze stanowe i federalne stwierdziły wartość cichej i mrówczej pracy rolnika i rzemieślnika polskiego.

Wystawa kurytybska została zorganizowana w listopadzie 1936 roku. Związek Rolników Polskich przy pomocy Parańskiego Departamentu Rolnictwa zebrał w koloniach dużo wyrobów lnianych, które następnie rozprzedano w 80 proc. na wystawie. Szare płótno lniane zyskało sławę lepszego od płócien zagranicznych, wyprodukowanych fabrycznie; zużyte zostało wkrótce na paradne mundury i garnitury dygnitarzy m. in. samego gubernatora.

Po tych sukcesach przybyła do Cruz Machado Halina Kopczyńska z Warszawy, specjalistka w zakresie tkanin artystycznych, która w krótkim czasie zreformowała przemysł lnianko-ktacki w Paranie.

W dniach od 30 marca do 12 kwietnia 1938 roku odbyła się w Kurytybie II Wystawa Polskich Wyrobów Lniankich, tym razem w całym tego słowa znaczeniu artystyczna. Ekspozycje różniły się od poprzednich sposobem przygotowania przędzy, barwienia, harmonizacji kolorów, nawiązywały do tradycji krajowych. Wystawiono 400 pięknych tkanin na ubrania męskie, suknie damskie, szale o barwach wzorzystych i artystycznych. Były tam m. in. kilimy, ręczniki, materiały na poduszki, tkaniny dekoracyjne i serwety.

Na II Wystawie Lnianej w Kurytybie zostały sprzedane prawie wszystkie ekspozycje. Wystawa spotkała się z uznaniem władz parańskich i prasy.

Sukces obydwu wystaw stał się pobudką do powiększenia arealu uprawy lnu i rozpowszechnienia sztuki tkackiej w koloniach polskich.

W akcji propagandowej przodował Związek Rolników Polskich.

Trzeba tu jeszcze napisać o drugiej ważnej akcji tego Związku. W roku 1938 sprowadził on kilka sztuk krów i reproduktorów polskiej rasy czerwonej. Bydło przysłane zostało przez Stowarzyszenie Hodowców w Krakowie. Związek Rolników ulokował je w Afonso Pena w odpowiedzialnych rękach doświadczonych rolników polskich, którzy już hodowali krowy mleczne w spółdzielniach mleczarskich.

Bydło zaklimatyzowało się dobrze i zasłynęło w całej Paranie mlecznością, odpornością na choroby i dużym procentem tłuszczu w mleku. Było ono wizytowane przez wybitnych fachowców brazylijskich, którzy nie szczędzili mu pochwał.

Spośród wielu pozytywnych ocen warto przytoczyć opinię rządowego inspektora hodowlanego, dra. Ottona Ste-

Dokończenie na str. 7

CO MYŚLIMY O STARYM KRAJU?

BRONISŁAW OSTOJA ROGUSKI O POLSCE

Leszek Bronisław Ostoj Roguski jest z urodzenia parańczykiem przyszedł bowiem na świat w Kurytybie w r. 1913. Mieszka jednak obecnie stale w Rio de Janeiro z rodziną, składającą się z żony i ośmioletniego syna. Z wykształcenia Ostoj Roguski jest prawnikiem. Szkołę średnią ukończył w Kurytybie, studiował na wydziale prawa Uniwersytetu Parańskiego. Po uzyskaniu absolutorium doktoryzował się w Rio de Janeiro i w r. 1937 zaczął praktykować jako adwokat w Kurytybie. Prawdziwym jednak powołaniem Ostoi Roguskiego jest polityka. Już w r. 1936, jeszcze przed dyktaturą Getulia Vargasa, powołał do życia "Comité Civ. de Alistamento Eleitoral". W okresie dyktatury musiał przerwać działalność polityczną. Wznowił ją dopiero w r. 1945 po upadku Vargasa. W r. 1946 został wybrany deputowanym do parlamentu stanowego, w r. 1951 — deputowanym do parlamentu federalnego i w r. 1955 — ponownie do tegoż parlamentu. Jest członkiem U.D.N.

Dr Ostoj Roguski ma w życiu prywatnym jedną namiętność: sport. W młodości biegał na 200 i 400 metrów. W biegu z przeszkodami na 400 metrów zdobył w r. 1934 mistrzostwo Parany. Reprezentował Parane w r. 1934 na Igrzyskach Młodzieży Polskiej za Granicą. Przez 4 lata pełnił obowiązki prezesa Stowarzyszenia Sportowego Junak w Kurytybie, a od r. 1939 do 1941 był prezesem Parańskiej Federacji Sportowej.

Zapytujemy dr. Ostoję Roguskiego o wrażenia z pobytu w Polsce. Po wojnie przebywał w kraju po raz pierwszy w r. 1957, a po raz drugi w lipcu r. b.

— Uważam, — powiada dr Ostoj Roguski — że Polska bardzo się odbudowała po zniszczeniach wojennych, może obecnie służyć za wzór dla innych państw. Rekonstrukcja Warszawy jest dziełem godnym podziwu.

Widziałem w kraju wiele rzeczy zastanawiających. Uprzemysłowienie Polski jest imponujące, a postęp w rolnictwie bardzo duży. Co jednak szczególnie rzuca się w oczy to postęp kulturalny. Nie ma dziś w Polsce analfabetów, wiele młodzieży chodzi do szkół średnich i wyższych. Produkcja fachowców, zwłaszcza zaś techników z różnych dziedzin, nie tylko wystarcza na zaspokojenie bieżących potrzeb kraju, ale myśli się również o możliwości współpracy z innymi krajami przez wysyłanie do tych krajów sił technicznych. Myślę że i Brazylia mogła by w większej mierze, niż dotychczas skorzystać z dopływu polskich fachowców, a w szczególności — inżynierów mechaników, elektryków, inżynierów okrętowych i geologów.

— Co wywarło na Panu największe wrażenie?

— Chyba występ Mazowsza — jest to czarujące widowisko. Byłem też na wielu przedstawieniach teatralnych. Najwięcej mi się podobał "Chory z urojenia" w teatrze Narodowym i balet "Jezioro Łabędzie" w Operze warszawskiej. Zwiedziłem Kraków, wziąłem udział w uroczystościach grunwaldzkich. Psuł mi jedynie humor padający prawie bez przerwy deszcz, było chłodno.

— Co się Panu w Polsce nie podobało?

— To są właściwie drobnostki: przysłowiowa już opieszła obsługa w restauracjach (na zamówione potrawy trzeba czekać godzinami), no, i brak taksówek w Warszawie, chociaż trzeba przyznać, że te, które kursują przedstawiają się przyzwolcie.

S. H.



DR. BRONISŁAW OSTOJA ROGUSKI

Embeleze seu lar

E VALORIZE SEU TV TORNANDO-O
MODERNO, FUNCIONAL E AGRADÁVEL

Mesas ELEM para TV

PROCURE NAS LOJAS ESPECIALIZADAS

NA WEEK-ENDY I WAKACJE

przyjmuje miłych gości

RANCHO BOA ESPERANÇA, SÃO JOÃO NOVO

1.000 m. n.p. morza, źródła wody mineralnej, uroczne spacery,
konie pod wierzch, owoce.

Apartamenty z wodą bieżącą i światłem elektrycznym, kuchnia polska i jarska. CENY UMIARKOWANE.

Odległość od São Paulo — koleją 1 i ½ godz. Estr. Sorocabana lub drogą kołową 45 km. przez Osasco, Itapevi, Santa Rita, São João Novo.

Informacje telefonicznie: tel.: 35-5584 lub
Caixa Postal, 6335, São Paulo.

Zbigniewem Ziemińskim

Gdy poszłam na spotkanie z Ziemińskim, zastałam go w trakcie prowadzenia próby nowej sztuki Nelsona Rodrigues'a: "Boca de Ouro", w teatrze da Federação na av. Brigadeiro Luiz Antonio w São Paulo. Artysta przerwał próbę, żeby pogawędzić po przyjacielsku o starych, dobrych czasach i odpowiedź na pytania, których, nawiasem mówiąc, zadałam niemało.

Znałam Zbigniewa Ziemińskiego jeszcze ze sceny w przedwojennej w Warszawie, ale osobistą z nim znajomość zawarłam dopiero w r. 1943, kiedy z Ireną Eichlerówną, znakomitą aktorką polską, chodziłyśmy na próby sztuk, które reżyserował.

Zapytałam przede wszystkim, czy woli występować jako aktor, czy też reżyserować.

— Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie — powiedział Ziemiński, — ponieważ tak się zrosłem z teatrem i teatr tak głęboko wszedł w moje życie, że cokolwiek robię, robię z jednakowym entuzjazmem i zapalem. Lubię sztuki dobre, gdyż czuję, że mogę wydobyć z nich maksimum jako reżyser i aktor ale nawet ze sztuk słabych staram się wykorzystać najlepsze momenty, podnieść ich poziom reżyserią i grą.

Przeszliśmy, następnie, do wspomnień z teatrów polskich.

— Na ten temat — zauważył Ziemiński — mógłbym napisać całą książkę. Pierwsze kroki na scenie stawiałem w Krakowie. Po dwuletnim pobycie w podwawelskim grodzie przeniósłem się do Wilna. Reżyserowałem tam trzy sztuki. W Warszawie zadebiutowałem na scenie Teatru Nowego w komedii Jacques Duvala: "Mademoiselle", z Mieczysławą Ćwiklińską, Dulebianką i Łubieńską. Wkrótce potem grałem na deskach Teatru Małego w sztuce: "Droga do piekła" Kaweckiego z Janką Romanówną i nieodżałowanym Mariuszem Maszyńskim. Następnie, zaproszony zostałem przez dyr. Zborowskiego do Łodzi. Grałem tam z dużym powodzeniem rolę Morwicza w sztuce Rittnera: "Wilki w nocy".

W r. 1933 odbył Ziemiński podróż do Rosji, gdzie zapoznał się ze współczesnym teatrem rosyjskim. Po powrocie do kraju rozpoczął się

okres największych jego sukcesów jako aktora i reżysera, niezapomniane role w sztukach: "Lato w No-hant" i "Tessie".

W Brazylii znalazł się w czasie wojny. W parę dni po wylądowaniu w Rio de Janeiro poszedł na koncert znanego pianisty Witolda Małcużyńskiego. Na coctail'u, który odbył się po koncercie, poznał Ziemiński pewnego Brazylijczyka ze sfer teatralnych, który zaprosił go na zebranie młodych aktorów. Nawiązał tam kontakty z ludźmi interesującymi się teatrem i jego rozwojem, poznał dużo młodych, zupełnie jeszcze nie wykorzystanych artystów o nieprzeciętnym talencie.

W trzy miesiące po tym zebraniu Ziemiński reżyserował swoją pierwszą sztukę w języku portugalskim. Była to: "A beira da estrada" — Jean Jacques Bernard'a. Miało to miejsce w grudniu 1941 roku.

Tak rozpoczęła się praca Ziemińskiego w Brazylii. Pracował poważnie z młodzieżą, starając się wykształcić nowe pokolenie aktorskie i wydobyć talenty na miarę i skalę europejską. Teatr brazylijski staje się coraz dojrzalszy, lepszy i otwierają się przed nim coraz szersze horyzonty. Niemala w tym zasługa Ziemińskiego. Nie ma ani jednego intelektualisty w całej Brazylii, który by nie znał i nie potrafił wymówić prawidłowo jego tak trudnego dla nie Polaków nazwiska.

O popularności Ziemińskiego świadczy taki np. fakt: pewnego razu przyszedł do niego list z Polski, zaadresowany po prostu: "Zbigniew Ziemiński, Brazylija" i list ten został doręczony adresatowi bez opóźnienia.

Niejedyn kierowca taksówki w Rio de Janeiro lub w São Paulo zwraca się do niego po nazwisku i co jest najbardziej zdumiewające wymawia je poprawnie.

Pytam na zakończenie pana Zbigniewa, czy ma jakieś hobby. Otóż, jak się okazuje ma aż dwa: pierwsze to high fidelity i płyty długogrające z dziedziny muzyki klasycznej, a — drugie to fotografia amatorska.

Indaguję jeszcze o najbliższe plany.

Tu mój rozmówca rozkłada ręce i mówi z uśmiechem:



— Na razie cały czas pochłania mi reżyseria: "Boca de Ouro". Potem, być może zabiorę się do Szekspira. Chciałbym wystawić: "Wiele hałasu o nic."

Janina Pfefer

KRONIKA ZIEM ZACHODNICH

Dokończenie ze str. 43

je wiele gatunków rzadkich, podlegających ochronie roślin, jak np. paproć — długosz królewski, pnącza i bluszcz, wiciokrzew pomorski i inne. Bogata i różnorodna jest też fauna wyspy. Żyje tu ponad 130 gatunków ptaków. Króluje wśród nich potężny orzeł bielik. Zadomowiły się łabędzie, kormorany, czaple, żurawie i baki. Spotkać tam można także gołębie siniaki, synogarlice, i wiele innych gatunków ptactwa.

Teren Wolińskiego Parku Narodowego obejmuje 6691 ha, z czego ochronie ścisłej podlega 137 ha. Na tym obszarze znaleźć można t. zw. wyspy konwaliowe, całe łany tego rzadkiego kwiatu. Obecnie przygotowuje się przeprowadzenie ciekawego eksperymentu. Mianowicie, naukowcy zamierzają zaaklimatyzować na terenie Parku Narodowego jego pierwotnych, niegdyś tam żyjących przedstawicieli "grubego zwierza" żubry, tarpany i losie. (ZAP)

PO 300 LATACH - DO KRAJU

Ongiś przed 300 laty z okolic góry Słęży wywędrowali do Rumunii mieszkańcy Śląska, zmuszeni tam szukać schronienia przed uciskiem germanizacyjnym. Potomkowie tych emigrantów wrócili do Polski po 2 wojnie i osiedlili się na Dolnym Śląsku w powiecie dzierzoniowskim, gdzie żyją w zwartej grupie. Zachowali oni język, zwyczaje i przekazywane tradycją pradawne pieśni i tańce górali śląskich. (ZAP)

RODOFIEL S. A.

EXCELENCIA EM

TRANSPORTE

Śmierć niecierpliwa

Jerzy Rostworowski

Wieczne syreny wyją na ulicy,
— pędzą auta w kłótnym warczeniu motorów,
w świetle neonów, lamp i reflektorów,
zaczynają exodus miejscy pracownicy.

Miasto zamiera, — krew jego, to ludzie,
odpływają potokiem do swoich przedmieści,
w tłoku, — upale, — w bezsilnej boleści,
w dnia przeżytego pośpiechu i trudzie.

Ich twarze zmęczone, szare, bez uśmiechu,
ich oczy koloru pomiętych pieniędzy, —
niewolnicy powszedni, — kochankowie nędzy,
która ich goni w gwałcie i pośpiechu.

Obcy im księżyc i wieczorna cisza,
obce im gwiazdy na wysokim niebie.
Biegną skupieni, — zapatrzeni w siebie,
jak życie miją, — nie widzą ni słyszą.

Nie czują śmierci. Zamykają oczy
na myśl, że ich uderzy nagły atak serca,
mózg krew zaleje, albo rak morderca,
trzewia im bezlitośnie i boleśnie stoczą.

Śmierć czeka na spotkanie dawno wyznaczone,
czasem traci cierpliwość, — uderza z za rogu,
zgrzyt hamulców - krzyk jeden - i już jest na progu,
człowiek, co nie był gotów przejść na tamtą stronę.

Tłum manekina ciekawie otoczył,
patrzają na pokręcone, niepotrzebne ciało,
to wszystko, co po człowieku na jezdni zostało.
Poculi śmierci bliskość, — i spuścili oczy.

Zawyły przeciągle policji syreny,
migają ambulansów światełka czerwone,
związały trupa, pędzą jak szalone,
na białe pomalowane, niesyte hieny.

On leżał spokojnie. — Już mu nic nie trzeba.
Daleki od radości, smutku i rozpacz,
pierwszy raz - i ostatni - nad sobą zobaczył,
gwiazdy dalekie, — i głębokość nieba.

RODOFIEL S. A.

EXCELENCIA

EM TRANSPORTES

PACZKI

D O

POLSKI I ROSJI

ZASTĘPSTWO NAJWIĘKSZEGO

DOMU WYSYŁKOWEGO

TAZAB-LONDON

albo PEKAO

Importação e Exportação

Maryan Vukosav Ltda — S. Paulo

Praça da Sé, 399 — 40 - Tel.: 36-8530



Soc. Paulista de Instalações Gerais Ltda.

PROJETOS — INSTALAÇÕES INDUSTRIAIS
ELETRICIDADE — MECÂNICA — HIDRÁULICA

—O—

AV. DUQUE DE CAXIAS, 94

FONE: 52-1105 — (Rêde Interna)

End. Telegr.: "SPIGERAL" — SÃO PAULO

Czym się możemy pochwalić w Paranie

Dokończenie ze str. 4

phan'a, który po inspekcji w Afonso Pena powiedział m. in.: "Pierwszy najniebezpieczniejszy etap aklimatyzacji polskie bydło czerwone przebyło zupełnie szczęśliwie, nie poddając się chorobom tropikalnym i półtropikalnym. Jest to w znacznej mierze rezultat szczepień ochronnych, które okazały się skuteczne dzięki organicznej odporności bydła. Dlatego też bydło polskiej rasy czerwonej oceniam jako pierwszorzędnny materiał mleczno-hodowlany, nadający się do łatwej aklimatyzacji nie tylko w Brazylii ale wszędzie tam, gdzie istnieją niebezpieczne warunki dla zwierząt importowanych z chłodnych krajów europejskich".

Bydło polskiej rasy czerwonej można dzisiaj spotkać nie tylko w Afonso Pena, ale w różnych okolicach Parany. W wielu wypadkach są to już tylko mieszańce, a jednak przeważają w nich pierwiastki właściwe polskiej rasie czerwonej.

* * *

Dorobek wychodźstwa polskiego w Paranie bogaty jest również w dziedzinie kulturalnej. W okresie istnienia szkolnictwa polskiego we wszystkich koloniach odbywały się imprezy artystyczne: przedstawienia teatralne i wieczory pieśni i tańca. Brali w nich udział nie tylko koloniści polscy ale i inne grupy etniczne, zwłaszcza zaś Brazylijczycy.

Polski folklor był w szerszym tego słowa znaczeniu godnie reprezentowany m. in. na obchodach stulecia Parany w roku 1953, na uroczystościach pięćdziesięciolecia miasta Iratí oraz dziesięciolecia municypium miasta Arapongas w roku 1957. Polskie występy opracowane zostały pod względem artystycznym przez specjalistę kurytybskiego, mistrza Tadeusza Morozowicza, znanego reżysera, aktora i baletmistrza.

W roku 1958 odbyła się w Kurytybie, a przed tym w Rio de Janeiro i w São Paulo, Wystawa Książki i Grafiki Polskiej. Duże zainteresowanie wystawą, a tym samym kulturą polską, wykazali Brazylijczycy.

Warto wspomnieć, że nasze gospoście, mieszkające w dalekich borach, nauczyły miejscowe Brazylijki wypieku polskiego chleba, gotowania zup i przyrządzania innych smakołyków, których lud leśny nigdy przed tym nie znał.

Koloniści nauczyli też kabokli jak należy budować wielobudowe domy, produkować wozy czterokołowe, kopać studnie i hodować różne gatunki zbóż i warzyw europejskich.

A tysiące dzieci brazylijskich zdobyło w szkołach polskich sztukę czytania i pisanía.

Dawaliśmy z siebie wszystko co dobre i pożyteczne, — dla idei współżycia i budowy lepszego jutra.

WOJCIECH BREOWICZ

163

Zdarzenie, które mam zamiar opisać, było przedmiotem wielu komentarzy i do dziś stanowi niewyjaśnione ogniwo w cyklu działań zmierzających do okrążenia armii niemieckiej pod Falaise. Epizod ten dzienniki angielskie nazwały: "lucky mistake", a gazety polskie: "dywersją grupy bojowej ppłk. Koszutskiego".

Sądzę, że ciężar gatunkowy tego zdarzenia jest łatwy do oceny nawet dla laika i nie chciałbym podkreślać jego znaczenia w tym przełomowym momencie bitwy normandzkiej. Pragnę jedynie opowiedzieć o przeżyciach

nych, opanowując wieś Barroux. Droga na tyły niemieckie w północnej części frontu została otwarta.

Jednocześnie gen. Bradley po wydostaniu się z podnóża półwyspu bretońskiego szedł prawie bez oporu na wschód. Łączna akcja Amerykanów i polskiej dywizji pancernej umożliwiała uderzenie oskrzydlające, a nawet otoczenie Niemców, broniących Normandii na froncie pod Falaise i Trun.

Ten front trzymał się twarde. Za frontem Niemcy posiadali potężne odwody pancerne i zmechanizowane, gotowe do działania na liniach

z kolei "niby" snu — w butach, ubraniu, w ciągłym napięciu nerwów, że następny pocisk rąbnie może w człowieka. Wszyscy byliśmy potwornie zmęczeni i solidnie wykrwawieni w dwóch bitwach.

O świcie 17 sierpnia otrzymałem rozkaz opanowania wzgórza 259 i przygotowania się do zajęcia wzgórza 262. Borykając się z bardzo ciężkim, silnie pofałdowanym i zadrzewionym terenem, ale bez oporu ze strony Niemców, osiągnąłem wzgórze 259 i znajdowałem się ze swoim zgrupowaniem mniej więcej o połowę drogi od wzgórza 262, gdy około godz. 16 przyjechał scout-carem plutonowy z dowództwa brygady i wręczył mi pisemny rozkaz. Rozkaz ten mam do dziś wyryty w pamięci.

"Najwyższy bacz aliancki żąda, żebyście jak najszybciej osiągnęli m. Chambois i nawiązali tam styczność z Amerykanami. Szczęść Boże!" Pokwitowałem rozkaz.

Spojrzałem na mapę i przeżyłem ciarki. Raz jeszcze przeczytałem rozkaz i raz jeszcze sprawdziłem na mapie położenie m. Chambois.

— Ależ to jest absolutnie niemożliwe! — pomyślałem. — Jakże sobie oni w sztabie wyobrażają, jak ja mam to zrobić? Chcą, żebym przeszedł 18 km. terenu zajętego

nym towarzyszem i niezawodnym pomocnikiem w każdej sytuacji, który stoi w wężym ramieniu ze mną, wpatruje się również w mapę i mruczy coś pod nosem.

Ja tylko sam muszę podjąć decyzję jak wykonać zadanie i będę za tę decyzję odpowiedzialny. To przecież główna rola dowódcy, największa trudność i największa satysfakcja dla niego. Precz więc z histerią! Nie ma nic niemożliwego, a trudności są zawsze. Muszę powziąć logiczną decyzję, decyzję wykonalną i to natychmiast. Oto co znaczy ten kawałek papieru przede mną.

Decyzja dowódcy! Napoleon porównał proces jej pobierania na wojnie z procesem połogowym kobiety "rodzącej w bólach". I tak jest rzeczywiście. Wiele razy doświadczyłem tego uczucia.

Nigdy jednak podczas całej kariery wojskowej nie czułem tych "bólów rodzenia" tak wyraźnie jak u podnóża wzgórza 262 w dniu 17 sierpnia 1944 roku.

Wydałem niezbędne dorywcze zarządzenia i przekazałem dowodzenie adiutantowi, a sam zacząłem analizować elementy decyzji punkt po punkcie jak w Wyższej Szkole Wojennej z tym, że nie robiłem tego siedząc w wygodnym krześle sali wykładowej lecz trzęsąc się na sło-

EPIZOD Z BITWY O FALAISE

własnych i grupy ludzi, którymi dowodziłem. Przeżycia te uważam za dość niezwykle nie tylko dlatego, że są ciekawe ale że wynikły na skutek działania sił innych, niż świadoma wola ludzka. Sił, które kierują losem ludzi, a których często nie chce się uznać, ani widzieć, sądząc zarożumiale, iż człowiek jest stuprocentowym panem swego przeznaczenia i że wszystko, co go spotyka jest konsekwencją jedyną i wyłączną jego wysiłków duchowych, woli, umysłu, i sił fizycznych, a nie wyrokiem wydanym z góry przez siły wyższe, którego znaczenia nie jest w stanie zrozumieć.

Dnia 13 sierpnia 1944 r. 10 pułk strzelców konnych przerwał północne ramię frontu niemieckiego zdobywając m. Jort nad rzeką Dives. Słynny "zawias" gen. Montgomery został wreszcie wyłamany przez Polaków. "Sami nie wiecie coście dziś zrobili" — powiedział do strzelców gen. Maczek.

Dnia 16 sierpnia w godzinach rannych zgrupowanie składające się z 2 pułku pancernego, 8 batalionu strzelców i 24 pułku ułanów rozszerzyło przyczółek zdobyty przez 10 pułk strzelców kon-

wewnętrznych przeciwko oskrzydlałemu ich przeciwnikowi. Położenie ich podobne było do postawy wojownika, który zasłaniając się tarczą, czeka spokojnie, żeby uderzyć skradającego się z boku nieprzyjaciela. Sytuacja klasyczna w przededniu wielkiej i decydującej bitwy, wynik której uzależniony był od czasu.

Gdyby bowiem siły amerykańskie zdołały się połączyć dość szybko z polskimi Niemcy nie tylko nie mogli by zadać druzgocącego ciosu jednemu z obchodzących ich przeciwników lecz znaleźli by się w pułapce bez wyjścia.

Gdyby natomiast potrafili się osłonić przeciw jednemu z wrogich ramion mogli by rozbić w międzyczasie drugie i cała operacja skończyła by się klęską aliantów.

O tej sytuacji, będąc na szczęblu dowódcy niewielkiego zgrupowania bojowego, nie wiedziałem wówczas dokładnie. Ścisłej mówiąc w dniu 16 sierpnia nie wiedziałem nic.

Dzień ten minął na bardzo ciężkiej walce i noc z dnia 16 na 17 sierpnia spędziliśmy na biwaku, nocując pod czołgami w nekającym ogniu artylerii. Była to już ósma noc

STANISŁAW KOSZUTSKI

przez nieprzyjaciela z jednym pułkiem pancernym i jednym batalionem piechoty, kiedy od ośmiu dni cała dywizja wykonuje przeciętnie dwa km. dziennie. I to jak najszybciej. Chyba zwariowali. Przecież... Do diabła, tych "przecież" nasuwa się dziesiątki!...

Ale to moja prywatna sprawa co myślę i czuję w tej chwili patrząc na rozkaz i mapę, rozumiejąc odpowiedzialność za życie tysiąca pięciuset ludzi, którymi dowodzę, i konieczność wykonania rozkazu, obojętne co zawiera, w myśl jego intencji.

Nie dzielę się swym nastrojem nawet z adiutantem, kapitanem Jerzym P., wier-

dełku w poruszającym się czołgu. Nie chodziło tu też o uzyskanie dobrego stopnia za wypracowanie tylko o życie setek podwładnych mi ludzi i prawdopodobnie o los bitwy. I tak też było, gdyż działanie moje zapoczątkowało przedostatni fragment bitwy, która zadecydowała o losach Europy. Przeczytałem otrzymany rozkaz jeszcze kilka razy i z wlepionymi w mapę oczami zacząłem analizować.

Naprzód zadanie. Idąc po myśli: "O co tu chodzi?" dotarcie do Chambois widziałem jako środek do osiągnięcia celu, którym było połączenie się z Amerykanami dla okrążenia Niemców.

Niemcy będą chcieli wyrwać się z pułapki, przebić się przez nas. Tam w tym nieznanym Chambois będzie mnie więc czekała właściwa rozprawa. Bitwa, z pewnością krwawa i zacięta. Stąd jasne, że muszę dojść do tej miejscowości na czas z **całością** sił. Nie wypełnię zadania jeżeli wdam się w bitwę przed Chambois. Może mnie ona bowiem zatrzymać, opóźnić bądź poważnie osłabić.

Wniosek z przeprowadzonej analizy wydawał się nierealny, a jednak był jak najbardziej rzeczywisty: konieczność osiągnięcia Chambois bez wdawania się w walkę.

Na czoło wystąpiły mi krople potu. Jak to zrobić? Jak uniknąć walki przechodząc przez teren zajęty przez odwody nieprzyjacielskie i urzędzenia tyłowe całej armii? Jakie z drugiej strony mam szanse, jeżeli zechcę przebić się tam **siłą**, wywalczyć drogę ogniem? Nie mam przecież **żadnych** szans na rozprawienie się w pojedynkę z odwodami całego korpusu niemieckiego albo armii.

Odpowiedź na te pytania pozostawiam na później. Biorę następny punkt: — **nieprzyjacieli**. Nieprzyjacieli jest wartościowy, bije się twardo i dobrze. Wczorajsza walka pod Barroux wykazała, że pomimo pęknięcia frontu pod Jort nie było śladów załamania się, paniki, ani chęci odwrotu. Gdziekolwiek więc spotkam nieprzyjaciela muszę się liczyć z walką nieustępliwą, prowadzoną przez doskonałego przeciwnika. Ma on odwody pancerne z lepszym sprzętem, niż nasz i lepsze doświadczenie bojowe.

Wniosek: jeżeli uwikłam się w walkę nie dojdę do Chambois ani dziś, ani jutro. Muszę więc za wszelką cenę uniknąć walki.

Ale jak to zrobić, do diabła! Pułk pancerny, batalion piechoty i różne "przybudówki", które prowadzę, nie mają przecież skrzydeł, ani czapki niewidki aby spaść z nieba na to piekielne Chambois.

Palę bez przerwy papierosy i gadam do siebie, jakby to mogło coś pomóc. Niech piorun spali "najwyższego bacz", Niemców i mnie same-

go za to, że zamiast spokojnie siedzieć w sztabie muszę rozwiązywać łamigłówki.

Następny punkt: **oddziały własne**. Wojsko moje jest bardzo zmęczone. W ostatnich walkach nastąpiło duże zużycie amunicji i jeszcze większe paliwa. Wniosek: — muszę otrzymać najpierw uzupełnienie amunicji i paliwa i dać ludziom, w miarę możliwości, odpoczynek. Nie wolno więc zaczynać marszu na Chambois natychmiast.

Mam dziś osiągnąć wzgórze 262, wynika to z mojego zadania. Wzgórze 262 leży na drodze mego przyszłego natarcia nie będzie więc kolizji, jeśli dopiero stamtąd ruszę na Chambois.

Podaję adiutantowi:

— Przyspiesz ruch na 262. Sam rozumiuję dalej:

Teren, czas i przestrzeń. Z zadania wynika, że czas jest dla mnie elementem zasadniczym. Muszę się spieszyć. Nie mogę jednak ruszyć bez uzupełnienia paliwa. Potrzebna mi jest benzyna i pociski. Znowu kolizja ważności celów i pilności potrzeb.

Do celu mamy 18 do 19 km. Oznacza to półtora do dwóch godzin marszu w dzień i trzy do czterech godzin w nocy.

Zaglądam do kalendarza. Świta o godzinie piątej rano.

Jeżeli dojdę do Chambois o wschodzie słońca zadanie zostanie wypełnione. Powiniennem więc ruszyć ze wzgórza 262 najpóźniej o godzinie 2 w nocy, a im wcześniej tym lepiej.

Rozpatrzmy teraz teren. Bardzo pofałdowany (znam go dobrze z dotychczasowej akcji). Miejscami duże wzgórza. Nieliczne, niewielkie osiedla, wiele sadów i lasów. Mnóstwo różnorodnych dróg. Mimo, iż mapa sporządzona została na podstawie zdjęć lotniczych, co nie pozwala na dokładne rozeznanie stanu nawierzchni, jedno jest jasne, że mam do wyboru **dużo** dróg. Widać również, że w razie zahamowania marszu w określonym kierunku można się przerzucić bez trudności z jednej drogi na inną.

Ten teren to tyły nieprzyjaciela. W nocy oddziały jego stacjonować będą prawdopodobnie jedynie w osiedlach. Na drogach możliwy jest ruch kolumn, głównie w kierunku ze wschodu na zachód. Drogi poprzeczne będą zapewne puste. Sądzić także należy, że osiedla będą ubezpieczone jedynie wartami lub małymi placówkami.

W sumie: teren sprzyja możliwości przejścia. W razie napotkania nieprzyjacie-

la można oderwać się od niego bądź wyminąć opór przez przerzucenie się na inną oś marszu.

Działanie nocne powiększa te możliwości i pozwala na zaskoczenie nieprzyjaciela. O, Boże, myślę, oto decyzyja!

Działanie przez zaskoczenie Dzięki zaskoczeniu mam szanse wykonania zadania.

"Dziecko już urodzone". Jak to teraz wygląda łatwo i prosto. Pozostają do rozpatrzenia szczegóły wykonania.

Tymczasem jazda na wzgórzu 262!

Wznosi się ono przed nami zamykając horyzont. Znajdują się tam czołgi 10 pułku strzelców konnych. Po stracie jednego i uszkodzeniu drugiego czołgu Niemcy wycofali się z przedpoja. Mimo to posuwamy się bardzo wolno, wzgórze jest bowiem spadziste i poprzecinane jarami. Wydostajemy się na szczyt dopiero o zachodzie słońca, ciągnąc na "jedynce".

Na szczycie rotmistrz Cieśliński z 10 pułku S.K. częstuje mnie młodym ale mocnym jak diabeł kalwadossem i orientuje w terenie.

Zarządzam przegląd sprzętu, a po nim dwie godziny odpoczynku dla załóg czołgów i piechoty. Dochodzi go-

D. c. na str. 40

ZGODNIE Z POTRZEBAMI
WASZEJ RODZINY
GELOMATIC SUPER LUXO LR.

gelomatic LR
Super Luxo

MOŻECIE GO OBEJRZEĆ
U KONCESJONARIUSZY
W KAŻDYM MIEŚCIE
NA TERENIE BRAZYLII

PROCURE OS CONCESSIONARIOS
IBESA
A MARCA QUE GARANTE O PRODUTO



Paquetá -- najdziwniejsza z wysp

MIKOŁAJ WIOROGÓRSKI

"Paquetá, wyspa położona w zatoce Guanabara, piękna wyspa, którą odwiedzały swego czasu plemiona indyjskie Guarani by oddawać cześć słońcu, dziś jeszcze uważana przez turystów za cud, choć zeszpecona hotelami, błaga rząd nowoutworzonego stanu Guanabara o pomoc! I to o pomoc natychmiastową, gdyż zaatakowały ją mrówki, groźne, wielkie, czerwone "sauvas"... — pisał dziennik "Correio da Manhã".

"Brońmy wyspy Paquetá, która zamienia się w jedno olbrzymie mrowisko. Mrówki z gatunku "sauva", najgorsze ze wszystkich, założyły tam główną kwaterę. Opanowały ulice, ogrody, domy i cmentarz. Pożerają owoce, kwiaty, zapasy żywności w spiżarniach; ogolociły z liści drzewa."

Dziennik donosił dalej, że Sekretariat Rolnictwa przyrzekł wysłać grupę specjalistów, którzy mają wytrzebić mrówki przy pomocy dymu i trucizny, a mrowiska zdynamitować.

Wiedziałem, że "sauvas" zamieszkują całą Brazylię, nie mogłem jednak uwierzyć, że zaatakowały wyspę Paquetá. Znam tę wyspę prawie od dwudziestu lat i jeżdżę tam często nie tyle aby ją zwiedzić ile po prostu aby przejechać się po łagodnych wodach zatoki Guanabara.

Wiadomość zaintrygowała mnie. Wsiadłem w tramwaj wodny i po półgodzinnej jeździe znalazłem się na wyspie. Na wszelki wypadek zabrałem ze sobą kalosze. Mrówki gumy nie lubią.

W ślicznym, miniaturowym porcie było rojno i wesoło; pełno turystów rozchwytyjących w lot jedno i dwukonne dorożki, zaopatrzone w trąbki i dzwonki. Dorożki te torowały sobie z trudem drogę wśród tłumu gapiów i sprzedawczyń kwiatów. Liczna służba hotelowa zachwalała ceny gospód, jakoś pokójów i dobroć jedzenia. Słowem, ruch turystyczny co się zowie.

Z miejsca zacząłem się wypytywać o mrówki. Ludziska patrzyli na mnie jak na lekkostukniętego. Nikt nie wiedział o mrowkach, wpychano mi za to w ręce kartki reklamowe pensjonatów i restauracji. Nie chciało mi się wprowadzić jeść, ale zaszedłem do jednego z barów, umyłem ręce i przy okazji zapytałem gospodynię, czy może mi coś powiedzieć o mrowkach. Spojrzała na mnie dość podejrzliwie i poprowadziła do męża — małego, wysuszonego człowieczka z Ceará.

Pokiwał głową. Owszem wiedział, że w Brazylii są "sauvas" właśnie takie wielkie, czerwone i gryzące, ale żeby na Paquetá... Nie, o tym nie słyszał i nie

umiał wskazać miejsca, gdzieby się mogły znajdować. Wyrzucił gotowość zapytania o to właściciela sąsiedniego pensjonatu, który jako tutejszy... Zrezygnowałem jednak z tej grzeczności.

Powędrowałem na cmentarz. "Correio da Manhã" twierdziło, że "sauvas" pocięły na cmentarzu w drobny mak kwiaty i nawet najstarsze wieńce, i zawlokły do mrowisk, zwanych tu "panelas" (patelnie). Tych "panelas" miało być tysiące na cmentarzu.

Szeroka, dobrze utrzymana, droga wyprowadziła mnie wkrótce na pagórek. Znajdował się tu cmentarz, którego dotąd nie znałem. W rozwalonym murze widniały trzy bramy — środkowa, największa, otwarta... Nigdy tu nie byłem, ale pamiętałem ten cmentarz. Tak, pamiętałem. Miałem kiedyś sen, śnił mi się taki sam. Nie szukałem już mrówek. Był tylko ten cmentarz, te bramy, za którymi pięły się w górę serpentynami groby, jeden za drugim, jeden za drugim...

Wszedłem. Prawie u wejścia natrafiłem na dwie płyty, omszone, ustawione w pion, a na nich podobizny ptaków: na jednej gołąb cudnie wyrzeźbiony na tle czerwonych, opadających jakby w polską jesień, liści; a na drugiej, mniejszej, — polski wróbel.

Na płytach siał się gęsty, ciemny trawnik. Łaziły tam trzy żywe, bojowe koguty, chwiałe się śmiesznie na wysokich, nagich nogach o długich ostrogach. Ciężkie głowy, nieproporcjonalnie duże, ledwo się mogły utrzymać na bezpiórych szyjach. Karmił je mięsem czarny "macumbeiro" o błyszczących jak atrycyt oczach.

Wspinałem się w górę pośród zapadniętych, zmalanych grobków ścieżyną pokrytą drobniutką, zieloną i śliską pleśnią, gdy nagle ujrzałem najpiękniejszy pomnik jaki kiedykolwiek zbudowano — pomnik poległych marynarzy zrobiony z części rozbitego statku: wysoki maszt, śruba, kotwica, pokręcone liny metalowe...

Dalej coraz więcej grobów. Wszystkie zapadnięte, na żadnym znaku krzyża, tylko kamienne ptaki, ptaki i ptaki: mewy, jastrzębie, ale najczęściej gołębie. Że mewy — rozumiem, to cmentarz marynarzy, ale gołębie?

Na tej samej górze, za którą już tylko dalekie, zielone morze i szafirowy horyzont — kapliczka jakby żywcem przeniesiona z Podkarpacia. A obok — trzy nędzne, opuszczone groby. Na dwóch bocznych ptaki niby w ruchu, a na środkowym — ptak leżący, z opadniętymi skrzydłami, martwy.

W pewnym oddaleniu jeszcze jedna kapliczka, a koło niej strzaskany krzyż kamienny.

Patrzę na to wszystko i wiem, że znam to, pamiętam z dawnego snu. We śnie w tym samym miejscu widziałem stary, dwuizbowy dom. Robi mi się dziwnie. Rozglądam się i cofam. Stąpam po wielkiej, chyba dziesięciometrowej płycie. Dudni pod nogami. Czy to nie podłoga domu, który tu niegdyś stał?

Nagle spostrzegam podnoszących się z krzaków dwóch czarnych. Wyglądają jakby chcieli mnie napaść. Pusto dookoła... Na szczęście z dołu zbliża się jakiś korowód: dziewczynki, niby z bajki, ubrane w niebieskie tiulowe spódniczki, jak baletniczki, dziewczynki w niebieskich buciurkach, niosące niebieską trumienkę. Za nimi mnóstwo innych dziewczynek, kobiet. Bez krzyża, bez księdza. Wspinają się szybko, prawie tańcząc, skocznie, ale w milczeniu.

Schodzę dość spiesźnie, czarni gdzieś znikli, napotykam jeszcze kapliczkę w połowie stoku. Na pierwszy rzut oka wygląda jak pracownia kamieniarska, ale nie... To kaplica św. Franciszka z Asyżu o pełnych lekkości malowidłach i kamiennych twarzach.

Poniżej drugi, stary cmentarz z nieciekawymi prostymi, biednymi płytami, jak biedni byli zmarli pogrzebani tu bez księży i śpiewów. To cmentarz ptaków, dzieci, "macumbeiros" ale cmentarz pogodny, może nawet wesoły.

Wracam jeszcze raz przez środkową bramę do owej wielkiej płyty kamiennnej. Tak, to bardzo stara płyta, resztką fortecy lub pirackiego schronu...

Przyjaciół mój twierdzi, że Józef Conrad-Korzeniowski był w Rio i znał tę wyspę i że topograficzne położenie wyspy i nadbrzeża zatoki Guanabara odpowiada opisowi miejsca akcji "Nostromo". Nie ma tu, co prawda, w pobliżu kopalni srebra, mogą być jednak ukryte skarby pirackie.

Z miejsca, w którym się znajduję, oko sięga daleko, głęboko, w zatokę Guanabara. Gdybym poszedł nieco wyżej dojrzał bym pewno brzeg wyspy i ścieżynę, którą wspinali się piraci. Ale nagle opadło mnie zmęczenie i odeszła chęć dalszego deptania po grobach.

Miałem dość tego cmentarza. Ale bo i w ogóle nie lubię cmentarzy.

RODOFIEL S. A.

EXCELENCIA EM

TRANSPORTE

Pozwólcie dziatkom przyjść do mnie...

Poznałam go przypadkowo podczas jednego z rzadkich przelotów przez dom mojej ówczesnej wychowawczynie piątej klasy gimnazjum dr. J. Popielewskiej i J. Roszkowskiej w Warszawie.

Znajdowałam się u niej któregoś niedzielnego popołudnia w towarzystwie paru koleżanek szkolnych, gdy niespodziewanie wpadł po jakąś książkę w zamian za przyniesiony stary tom w ciemnej skórzanej oprawie, przypominający psalterz.

— To jedna z chlub mojego księgozbioru — powiedział ze szczerą satysfakcją, zaraz po przywitaniu się z naszą panną Zofią i uprzejmym skłonieniu się nam, uczennicom.

— Istny biały kruk, wydanie liczy sobie równych sto lat — dodał z entuzjazmem młodego studenta-bibliofila.

Później nieco dowiedziałam się, że chodziło o pierwsze wydanie wiekopomnego dzieła pedagoga niemieckiego Fryderyka Froebela, p. t. — „Wychowanie człowieka”.

Wręczył książkę pannie Zofii i zaraz skierował się ku obszernej bibliotece. Poszperał, poprzekładał, przejechał ręką parę razy po równych szeregach w płótno oprawionych tomów, wydymając przy tym zabawnie usta, jak do gwizdu.

— Nowy nabytek? Piękne wydanie. Reymont, Żeromski, Andrzej Strug...

— Na raty, doktorze.

Mówiąc to, starsza panna miała minę zażenowaną, jak gdyby mimo woli zdradziła się z pewnym lekkomyślnym wyłomem w jej solidnej dotąd, niepokalanej egzystencji.

Gość odwrócił się od biblioteki i potrząsając wybraną książką, powiedział parę zdań, które zapamiętałam na zawsze.

— Jestem nieprzyjacielem spłat. Ten rozpowszechniający się obecnie sposób kupna jest bardzo wygodny, przyz-

naję, a tym samym śliski i niebezpieczny. Ale w tym wypadku pochwalam nawet, gdyż uświęca go szlachetny cel: nabycie książki, dla ogółu wciąż jeszcze mało przystępnej. Istnieją trzy rzeczy — ciągnął dalej — które kupiłbym na spłatę, gdybym nie mógł zapłacić za nie od razu: książka, mydło i chleb. Gdyby mi odmówiono kredytu — wyzebrałbym, a gdyby mi nie dano — ukradłbym. Nawet gdybym miał przypłacić galera, jak Jean Valjean. A teraz — kłaniam się pięknie. Niestety, czas na mnie.

— Pan doktor zawsze, jak po ogień — skarciła żartobliwie panna Zofia.

— Robota, pani dobrodziejo, robota, potąd — powiódł dłonią po czole i — tyle go było.

— Janusz Korczak — szepnęła nauczycielka — w naszą stronę, oddalwszy się od drzwi, które zamknęła za swym gościem - meteorom.

— Janusz Korczak — powtórzyła już głośno, widocznie lubując się w wyjawieniu incognito kogoś znamienitego, uciekającego od efektów popularności.

— Wspaniały człowiek, niestety, niemal - że nieuchwytny - westchnęła. - Gdyby nie mieszkał w pobliżu — (sama mieszkała na Siennej) — nie oglądała bym go i przez tych kilka chwil, które wyrwa sobie z trzewi by zamienić książkę, omówić szybko — i to przeważnie w przed-

pokoju — jakieś pasjonujące go zagadnienie z dziedziny pedagogiki albo zasięgnąć mojej opinii o ostatniej sztuce teatralnej, której nie danym mu było jeszcze widzieć („bo na miernotę szkoda mi czasu dobrodziejo”). Szczególnie interesuje się, gdy w wystawianym utworze scenicznym biorą udział takie siły, jak Osterwa, Jaracz, Kondratowicz, no i twój ojciec, Zosiu, którego Bóg obdarzył tak wspaniałym

brzmieniem głosu, jak urodą — zwróciła się do córki wielkiego tragika.

— I ja tak uważam, i ja, proszę pani — zgodziła się zarumieniona Węgrzynówna ku naszej wielkiej wesołości.

— Wracam do Korczaka: to naprawdę wspaniały człowiek — ciągnęła dalej nauczycielka — pracuje po dwadzieścia godzin na dobę. Nie wielu takich Polaków - idealistów mamy jeszcze w Polsce...

— Ale przecież to Żyd, proszę pani — wyskoczyła ni stąd, ni z owąd, zresztą bez zjadliwości nasza mała koleżanka herbu Boycza.

— Doktor Korczak jest Polakiem — odparła surowo zgorszona wychowawczynie bez porównania większym Polakiem od wszystkich nas. Poza tym on sam nie wie, jak bardzo jest chrześcijański...

☆

Już podczas owego pierwszego spotkania, zdążyłam zauważyć, że od tego nie zbyt urodziwego, raczej przysadkowatego, zupełnie już tysego mężczyzny, biła niezwykle osobowość, jakiś nieokreślony urok i autorytet zarazem. Ruchy jego szybkie, miarowe, miały coś z żołnierskiej dyscypliny; głos stanowczy ale łagodny zdradzał zawód nauczyciela i lekarza, natomiast wielkie hebanowe, ogniste oczy były namiętymi oczami idealisty i pioniera.

Był zadziwiająco wielostronny. Jako pisarza znała go i ceniła młodzież naszego pokolenia, a przede wszystkim większe dzieci, dla których napisał wiele ciekawych książek, pełnych beztroskiej, promiennej fantazji. A więc: „Sławę” „O Kajtusi Czardzieju”, dwie książki poświęcone „Królowi Maciusiowi Pierwszemu” i jego „Przygodom”, oraz biografię Ludwika Pasteura (dla poważniejszej młodzieży).

Janusz Korczak był warszawianinem “z urodzenia,

zamiłowania i z zawodu”, jak nie raz żartował. W Warszawie też studiował, ukończył wydział medyczny. Był lekarzem, oficerem i zarazem utalentowanym pisarzem, nauczycielem i wychowawcą, wybitnym psychologiem i doskonałym organizatorem. Całe życie poświęcił wychowaniu dzieci, a ściślej mówiąc, wychowaniu biednych dzieci Warszawy. Kochał je uczuciem, które znalazło by odpowiednik jedynie w sercach ludzi tej miary co Comenius, Pestalozzi lub najbliższy mu Froebel, założyciel ogródków dziecięcych (Kindergarten), jako, że dzieci uważał za roślinki, wymagające pielęgnacji w specjalnych ogrodach.

Z Pestalozzim łączyły go wprawdzie ideały, ale różniły metody wychowawcze. Pedagog szwajcarski hartował wychowanków do walki z przeciwnościami życia, przystosowując swe metody ściśle do wymagań dnia powszedniego, natomiast jego wielki naśladowca polski usiłował zreformować życie, nakłonić dzień powszedni do programu, który sam opracował.

W obydwu sierocińcach, żydowskim i polskim, z których jeden, założył jeszcze przed pierwszą wojną światową, drugi zaraz po niej, dzieci otrzymały prawa, jakie mają dorośli: miały swój własny samorząd, sądownictwo, gazetkę, pisaną i ilustrowaną przez starsze dzieci.

Janusz Korczak uczył swych wychowanków kochać, przebaczać, mówić prawdę i bronić słabszych. Zgodnie z tymi pięknymi zasadami, dzieci normowały regulamin dnia, zajęcia, zainteresowania, zabawy i rozszerzały krąg swej wyobraźni i dziecięcych snów.

Edukacyjne metody Korczaka bywały nierzadko przedmiotem krytyki. Pewien sjonistyczny pisarz żydowski zarzucił mu kiedyś (to, co właśnie gloryfikowała

nasza wychowawczyni), że był zbyt... chrześcijański. Polskie środowiska oświatowo-pedagogiczne natomiast, dopatrywały się w owej szlachetnej organizacji sierotników przyczajone niebezpieczeństwo: odosobnienie od życia prawdziwego.

Korczak istotnie wychowywał swe sieroty tak, jak gdyby świat był pełen dobrych, opiekuńczych duchów, cieplarnią o niezmiennie łagodnej temperaturze. Sposób takiego wychowania hodował wprawdzie ludzi niezwykle czystych i szlachetnych, ale narażał ich na nieobliczalne wstrząsy psychiczne przy zetknięciu ze złem i walką o byt. Będąc humanistą i demokratą z krwi i kości, nie mówił uczniom o istniejącym podziale ludzi na rasy, klasy, wyznania, kolor skóry, kształt nosa czy oczu. I prawdopodobnie te szlachetne zasady i metody wychowawcze zdały by próbę życia, gdyby ludzkość szła ku porozumieniu, a nie ku straszliwemu współzawodnictwu zła i okrucieństwa.

Podczas bombardowania Warszawy we wrześniu 1939 roku, Dom Sierot ocalał, ale zakradł się do niego głód i niepokój. Dzieci musiały bronić się przed złodziejami i atakami oprysków antysemitycznych, co zmusiło Korczaka do szukania pomocy u mieszkańców stolicy.

Oto treść jego odezwy:

"Dom Sierot" został ocalony. Dwie próby pogromu i trzy próby rabunku odparliśmy własnymi siłami. Nie możemy zginąć. Umieć czytać karty historii. Trzy rewolucje przeżyłem, — czwartą wojnę przeżywam. Tylko ludzie słabi i nikczemni załamują się i wątpią. Patronat nasz nie istnieje. Jedni zostali zabici lub zrujnowani, inni myśleli egoistycznie tylko o sobie, podli i głupi, co wśród burzy myśleli, że oni sami się uratują. — Dzieci — to nasza przyszłość. Żądam wpłaty 100 złotych na Fundusz Domu Sierot. Nie proszę, tylko żądam. Po pieniądze zgłoszę się sam w najbliższych dniach. Proszę mi nie odmawiać, bo odmowy nie ścierpię".

W rok potem Korczak wraz ze swoimi sierotami znalazł się w ghetcie. I tu w nowych

warunkach ośrodek ten, słynący od początku swego istnienia z wzorowej czystości i organizacji, stał się pomimo największych przeszkód, chlubą dzielnicy żydowskiej. Kto mógł zasilał zakład choćby kęsami z — i tak już do absurdu wydzielonych — racji żywnościowych, wdowim groszem czy paroma wolnymi godzinami pracy koło "Domu".

Cóż pozostało teraz Korczakowi, jak nie wzmacniać w dzieciach izolację od potwornej rzeczywistości wśród ciągłego widma głodu i okrutnej śmierci? Nie mówił im o brzydocie życia, gdy było ono jeszcze normalne, nie mógł mówić o nim teraz, gdy stało się gorączkowym koszmarem, gdy załamały się wszystkie jego idee i plany, gdy zaczął załamywać się sam. Dobiła go moralnie wiadomość o samobójstwie długoletniego przyjaciela i patrona zakładu, inżyniera Adama Czerniakowa, żydowskiego gospodarza ghetta. Śmierć tego człowieka, znanego z niespożytej energii i wiary, człowieka, który u władz zaborczych "wytargował" rok zwłoki w stworzeniu dzielnicy żydowskiej i który, jak lew walczył o życie każdego współwyznawcy, podcięła samopoczucie większości więźniów ghetta. Czerniakow był jedynym Żydem, z którym Niemcy — przynajmniej pozornie — liczyli się i pertraktowali. Teraz, gdy go zabrakło, ghetto przeistoczyło się w istne piekło. Spotęgwały się deportacje, roztrzeźwiania Żydów i liczba samobójstw.

Korczak zatracił wiarę w jakąkolwiek możliwość utrzymania przy życiu swych sierot i żył już tylko myślą o śmierci wraz z nimi. To też, gdy pewnego sierpniowego poranku, w równy miesiąc po śmierci Adama Czerniakowa, oddział "szaulisów", znanych z niesłychanych okrucieństw, otoczył sierotnieniec, wyrok śmierci, jaki wyczytał w ich tępym spojrzeniu, przyjął spokojnie i z godnością.

W kilka chwil później przeobrażeni przechodnie — mogli przyglądać się dzieciom wyprowadzanym z "Domu" w

asyście pielęgniarzy, lekarza zakładu, prawej ręki Korczaka, oraz paru pielęgniarek, pchających wózki z niemowlętami.

Wszystkich widzów tej niesamowitej sceny, zadziwiła czystość dzieci oraz ich pogodny nastrój.

Biel ich fartuszków, na tle szarżyny i nędzy ghetta, wydawała się śmiałym wyzwaniem, rzuconym osławionej higienie i czystości niemieckiej, przeciwstawianej na jaskrawych afiszach programowych "żydowskiemu niechlujstwu".

Dzieci szły parami i trzymały się za rączki. Nie płakały, nie skarżyły się. Prawdopodobnie pan doktor powiedział, że idą na dłuższą przechadzkę, która zakończy się ciekawą zabawą z prawdziwymi żołnierzami...

W tym makabrycznym orszaku, który do historii martyrologii Żydów przeszedł jako "biały pochód śmierci", — Korczak szedł ostatni. Trupio blade, lecz opanowany, zabawiał sieroty opowiadaniem. Od czasu do czasu przyspieszał kroku, by poprawić szyk idących dzieci, pogłaskać któreś po głowie, szepnąć coś na ucho. W końcu przeszedł na czoło pochodu, trzymając w ramionach dwoje najmłodszych dzieci, osłabionych w tym pierwszym i ostatnim marszu. Droga z "Domu" na cmentarz żydowski, dokąd je wiedli była przydługa dla ich wychudzonych nóg...

EPIZOD Z BITWY O FALAISE

D. c. ze str. 41

darmi albo ich dowództwo, do którego zameldowali (bądź świadomie nie zameldowali) o przejściu na tyły poza linię frontu nieprzyjacielskiej jednostki pancerniej.

Fakt jednak pozostaje faktem. Dnia 18 sierpnia 1944 r. o godz. 3.40 nad ranem Niemcy wpuścili w swoje ugrupowanie 2 pułk pancerny i 8-my batalion strzelców.

Tak rozpoczęło się słynne okrążenie Niemców pod Falaise.

(Dokończenie w następnym numerze)

Janusz Korczak stanowczo odmówił ponowionej propozycji "szaulisów" opuszczenia wychowanków. Za jego przykładem poszedł wszystek personel zakładu, oddany losowi biednych istot i wierny im do śmierci.

Jakże przejmująco brzmiało po znanej już tragedii Korczaka jego własne słowa, którymi kończy książkę o pierwszych przygodach "Króla Maciusia":

"Tak przeszedł całe miasto, tak stanął pod słupem na placu przed wykopanym dołem. I tak blade i spokojny stał, gdy pluton żołnierzy nabijał karabiny i mierzył w niego".

Maciuś, bohater bajki został w ostatniej chwili ułaskawiony, Korczak, autor bajki — musiał zginąć i to z rozkazu rodaków Froebela.

Jak żył życiem każdego ze swych wychowanków, tak ze śmiercią każdego z nich konał, aż zginął od kuli ostatni.

Jest to historia dnia, który wielu z nas dobrze pamięta, a już ma posmak legendy — legendy o wielkim sercu, które za życia samo nie wiedziało, jak bliskie było sercu Chrystusa.

m. l. s.

POLSKA MIEDŹ

Wstępne analizy złóż miedzionośnych odkrytych przez polskich geologów na pograniczu Dolnego Śląska i Ziemi Lubuskiej wykazały, że złoża te są co do wielkości piąte na świecie po ZSRR, Rodezji, Chile i Kongo.

Droga do polskiej miedzi nie jest jednak łatwa. Dostępu do warstw miedzionośnych bronią trudne warunki hydrologiczne: szyby dla nowych kopalń muszą być głębione po uprzednim zamrożeniu gruntu, ponieważ w inny sposób nie można powstrzymać naporu obficie występujących tu wód podziemnych i płynnych mas skalnych. Szyby zabezpieczone zostaną następnie szczelną obudową tubingową (składającą się z wielu segmentów) na wzór głębokich tuneli metra. Do pracy tej potrzebnych jest dużo nowoczesnych maszyn górniczych.

Przewiduje się, że pierwsze tony rudy zostaną wydobyte dopiero w r. 1964. Do r. 1968 nie należy się spodziewać większego wydobycia.

RODOFIEL S.A.

EXCELENCIA EM

TRANSPORTE

168

Piniorek

WOJCIECH BREOWICZ

ILUSTROWAŁ: — W. SERBIN

Z dala od świata — w parańskiej kniei
dzieci od rana stroją piniorek,
klócą się, cieszą — pełne nadziei,
że im zapłonie dzisiaj wieczorem.

Ładny piniorek — chociaż kłujący —
dalekie "drzewko" nam przypomina...
Ubrany watą, papierkiem lśniącym,
kryje w swej gestwie świec pół tuzina.

Franek świdruje błękit oczami
i szuka gwiazdki, co mu się śniła...
— Jest! Jest! Patrz! mam! Tam, nad palmami
Gwiazda jak ogień nam zaświeciła!

To Betlejemska Gwiazda jest przecie,
to gwiazda smutnych rębaczy w lesie!
Ilu wygnańców tuła się w świecie,
tyle promieni ona nam niesie!

Tyle promieni gdzieś hen z daleka,
z najgłębszych głębin stron macierzystych
w Noc Wigilijną mknie do Człowieka
i woła głosem ziemi ojczystej.

Ojciec, a może dziad lub pradiadek,
pierwszy ku świeczkom zanosi płomień...
Ha! drżą mu ręce — policzki blade,
szorstkim rękawem wyciera skronie.

Babcia spod Sącza, może z Lublina,
koniec fartuszka zbliża do żrenic —
kto wie, czy sobie nie przypomina
dawnego drzewka — i dawnych pszenic...

I tu w kąciku snop zboża stoi
i biały obrus leży na stole
i moc sąsiadów przyjdzie — wszak swój...
Czemuż ta chmurka na starczym czole?

Dziadek wśród wnuków stół krzyżem znaczy
i wszystkim życzy świętych Narodzin...
I poszła w puszczę pieśń jej rębaczy:
"Wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi!"



A LUZ MODERNA W. Stempień & Cia. Ltda.

Instalações elétricas em geral
Iluminação fluorescente, etc.

Modernos cartazes a gaz neon
Iluminação a Cold Cathod

Rua General Jardim 148

Fone: 35-1969 — SÃO PAULO

RODOFIEL S.A.

EXCELENTE EM TRANSPORTES

ÚNICA ORIGINAL... AUTÊNTICA...

WÓDKA WYBOROWA

Importada diretamente
da Polônia

Experimente os deliciosos "cordials" e licores poloneses.

V. encontra nas boas lojas do ramo, todas as frutas polonesas em geleias e compostas de requintado sabor.

incomparável
para
o preparo
dos
coquetéis



Exportadora Rolimpex - Varsóvia - Polônia

Representante em São Paulo: IKA LTDA. Rua 7 de Abril, 342 — Fone: 34-7730

169 My i nasza młodzież

W ciągu ostatniego dwudziestolecia obserwujemy doniosłe zmiany w poglądach na rolę naszej emigracji i na jej stosunek do Polski. Wychodźstwo powojenne, będące wynikiem drugiej wojny światowej, przestało być wychodźstwem tymczasowym i politycznym, stało się wychodźstwem stałym i zarobkowym. Ten element stałości i zarobkowości zjawiska emigracji zyskuje uznanie u coraz większej ilości osób w kraju i poza jego granicami. Kraj, który przez pewien okres uważał za zdrajców wszystkich nie wracających za Wisłę, obdarzył nas po "odwilży październikowej" amnestią i akceptował sentymentalny stosunek wychodźstwa do Macierzy i Narodu, jako ośrodka odwiecznej kultury polskiej, ułatwiając wyjazdy turystyczne do Polski bez narzucania reżymowego światopoglądu komunistycznego.

Świat emigracyjny, związany w coraz większym stopniu z krajem osiedlenia sprawami swojej egzystencji materialnej, wsiąka w nowe środowisko. Utrzymuje on jedynie pomiędzy sobą łączność kulturalno-społeczną poprzez różne organizacje i związki, prasę itd., a z Polską kontakty sentymentalne i rodzinne.

Powstał swego rodzaju modus vivendi, oparty na zasadach koegzystencji różnych poglądów ideologicznych między krajem pochodzenia, a wychodźstwem i nową ojczyzną. Stanowisko to, dla młodego pokolenia urodzonego i wychowanego na obczyźnie, musi być skonfrontowane z realną oceną przyszłości: w miarę upływu czasu, licząc się z doświadczeniami dawnej emigracji, język portugalski zastąpi język polski. Należy to jednak brać pod uwagę jako zjawisko normalne, nie przekreślające możliwości utrzymania łączności wewnątrz grupy etnicznej polskiej.

Wyrazem tej łączności są stowarzyszenia i kluby polskie oraz prasa. W tym kontekście na szczególne podkreślenie zasługuje konieczność istnienia pisma polsko-brazylijskiego, będącego wyrazicielem nasyższych opinii. Pismo to ułatwia kontakty z grupami politycznymi, społecznymi i gospodarczymi, toruje

drogę dla nowego pokolenia, wiodącą do waloryzacji wkładu kultury polskiej do rozwoju Brazylii.

Nie jest to problem nowy, ani specyficzny dla naszego terenu, gdyż istnieje we wszystkich krajach imigracyjnych i jest różnie rozwiązywany w zależności od wielkości i znaczenia grupy imigracyjnej oraz warunków danego kraju.

Dla ilustracji przytaczamy tu wyjątek z artykułu Andrzeja Bobkowskiego p.t. "Biografia wielkiego Kosmopolaka", zamieszczonego w numerze 9/155 paryskiej "Kultury", w związku z książką autora angielskiego Jacelyn Baines, świetnego znawcy Conrada p.t.: "A Critical Biography":

"Całkowite uwolnienie się od Polski jest dla Polaka niemożliwe... Conrad poszedł jednak w tym uwolnieniu się znacznie dalej, niż się to na ogół przyjmuje. Nie był oczywiście Anglikiem... Ale także nie był już całkiem Polakiem. Był typowym okazem KOSMOPOLAKA i jako do takiego okazu należy do niego podchodzić... Nie był też jedyną wybitną osobistością wśród Kosmopolaków. Mieliśmy ich, chwała Najwyższemu, kilku bardzo wybitnych, ale niestety za mało. Oby młode pokolenie emigracyjne wydało ich jak

najwięcej. Nie chcąc przyznać im prawa do ich specjalnego statusu, odmiennej lecz pokrewnej formacji duchowej i światopoglądu, unikając chłodnego i normalnego przeanalizowania bakcyli kosmopoliskości, tkwiącego po trosze w każdym Polaku, (tak, tak) pomawiając ich za często i o byle co o "zdradę", "odstępstwo", "wyobcowanie" i inne paskudztwa, pasjami lubimy powoływać się na nich przed obcymi. Bo okazuje się, że bez nich nikt by się nigdy niczego nie dowiedział o naszej ukochanej Polsce.

Leszek Szymański w jednej z ostatnich "Kultur" napisał niedawno, że w końcu Conrad znaczy w świecie więcej, niż Mickiewicz. Jasne. I dla Polski w sumie też więcej zrobił, niż brat Adam."

Sądzimy, że następne pokolenia Brazylijczyków polskiego pochodzenia pójdą tą właśnie kosmopolską drogą. I tak właśnie być powinno. Musimy dążyć do kultywowania ludzi typu Conrada, którzy wywodząc się z polskiego środowiska narodowościowego, wchodziliby do wszystkich dziedzin życia Brazylii, starając się zdobyć najwyższy stopień doskonałości w literaturze, sztuce, nauce, ekonomii, polityce, przemyśle, handlu, pedagogice. Musimy dążyć do kultywowania elementu prawdziwie aktywnego, twórczego i



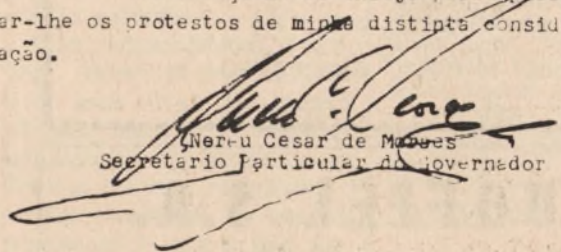
GABINETE DO GOVERNADOR
DO
ESTADO DE SÃO PAULO

São Paulo, 6 de outubro de 1960

Ilmo. Sr. S.Hartman
M.D.Redator-Chefe da
Revista Polonesa
Capital

Por determinação do Senhor Governador, cumpre-me acusar o recebimento de sua carta de 27 de setembro p.p. e agradecer a gentileza do oferecimento do exemplar nº 4 da Revista Polonesa, que representa uma contribuição à campanha em prol da candidatura do dr. Jânio Quadros, por parte dos brasileiros de origem polonesa.

Prevaleço-me do ensejo para apresentar-lhe os protestos de minha distinta consideração.


Neru Cesar de Moraes
Secretário Particular do Governador

BPB.



odgradzać się od ludzi, którzy jak neutralni widzowie stoją na uboczu od właściwego nurtu życia.

Charakter i ustrój demokratyczny Brazylii daje wszystkim obywatelom, bez względu na pochodzenie narodowościowe, rasę i religię, ogromne szanse dotąd jednak wykorzystywane jedynie w słabym stopniu przez obywateli pochodzenia polskiego, głównie na skutek braku świadomości i złej organizacji.

Związaną się z kulturą Brazylii, asymilacją, nawet całkowitą zaturbata języka, nie oznacza bynajmniej zerwania z polskością. Słusznie powiada Bobkowski, że całkowite uwolnienie się od Polski jest dla Polaka niemożliwe. Ta przynależność do wspólnej grupy etnicznej zobowiązuje do solidarności, zwłaszcza w przypadku, gdy chodzi o żywotne interesy grupy. Występujemy wspólnie, jeżeli zajdzie ku temu konieczność — inni uznają w nas wtedy siłę.

Wizyta prezydenta D. Eisenhowera w Związku Polskim w U.S.A., deklaracje Eleonory Roosevelt złożone w czasie jej niedawnego pobytu w Warszawie, świadczą wymownie jak ważnym czynnikiem są w Stanach Zjednoczonych grupy wyborców pochodzenia polskiego.

Brazylijczycy polskiego pochodzenia w stanach: Parana, Rio Grande do Sul, Santa Catarina, São Paulo, wypowiedzieli się masowo w ostatnich wyborach prezydenckich za kandydaturą Janio Quadros. Ten fakt nie może minąć niezauważony. Potwierdza to list, który otrzymała redakcja "Przeglądu Polskiego" od gubernatora stanu São Paulo za bezinteresowną współpracę na rzecz wyboru Janio Quadros oraz manifest przyszłego prezydenta do Brazylijczyków naturalizowanych, ogłoszony w czasie kampanii wyborczej.

Mieczysław Fularski

Wesołych Świąt i Szczęśliwego Nowego Roku życzą wszystkim przyjaciółom

JANINA i JACQUES PFEFEROWIE

—☆—

Wszystkim przyjaciołom i znajomym przesyłamy serdeczne życzenia miłych świąt

TADEUSZ i MIRA SŁAWIŃSCY.

—☆—

MARIA i MIROSLAW SZABUNIEWICZOWIE przesyłają wszystkim przyjaciołom i znajomym najserdeczniejsze życzenia Wesołych świąt i Szczęśliwego Nowego Roku.

—☆—

Gobeliny Firanki i Towary Dekoracyjne
DECORAÇÕES LAMAR LTDA.

życzy Wesołych Świąt i szczęśliwego
Nowego Roku

Rua de Arouche, 194 São Paulo
Tel. 36-4276

—☆—

MARCIN OPRZYŃSKI i RODOFIEL S.A. składają serdeczne życzenia Wesołych Świąt i szczęśliwego Nowego Roku wszystkim przyjaciołom i znajomym.

—☆—

RETIFICADORA BRASPOL LTDA. przesyła wszystkim klientom szczerze życzenia Wesołych Świąt i szczęśliwego Roku 1961.

—☆—

ALINA i STANISŁAW DORIA-DERNAŁOWICZ przesyłają wszystkim znajomym serdeczne życzenia Wesołych Świąt i szczęśliwego Nowego Roku.

—☆—

Serdeczne życzenie Świąteczne i Noworoczne Przyjaciołom i Znajomym składają

Magdalena, Imola i Andrzej Łosiowie

—☆—

Z okazji Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku serdeczne życzenia dla Przyjaciół i znajomych

składają

Hanna i Mieczysław J. Wieliczki

—☆—

Wiele szczęścia przyjaciołom i znajomym w nadchodzącym Nowym Roku życzy

ROBIN LAKE LAND

—☆—

CALDERARIA MECANICA INOX LTDA. Rua Oliveira Lima, 455, São Paulo składa wszystkim klientom i przyjaciołom życzenia świąteczne i noworoczne.

—☆—

EUGENIUSZ LEWICKI przesyła znajomym i przyjaciołom najserdeczniejsze życzenia Wesołych Świąt i szczęśliwego Nowego Roku.

Pastas Plásticas MAG Ltda.

INDÚSTRIA E COMÉRCIO

Escritório: Rua Florêncio de Abreu, 159 - 10.º andar

Conjunto 1008 — SÃO PAULO

TEL. 32-7201

Fábrica: R. Sparta, 1397 - SANTO AMARO - Vila Catarina

Aceitamos Representantes no Interior

FOTO SAWI

Henryk Wisen

Aparaty fotograficzne Rolleiflex, Leica, Contax i inne.

Zamiana, kupno i sprzedaż
Najkorzystniejsze ceny!

Conselheiro Crispiniano, 40, — Telefone: 36-0670
SÃO PAULO

Os nossos amigos húngaros

As relações entre os emigrantes húngaros e os poloneses radicados nesta terra refúgio, têm um caráter dos mais íntimos e cordiais. Em poucas palavras: gostamos uns dos outros. É antiga a origem do simpático provérbio nosso que diz: "O polonês e o húngaro são dois primos-irmãos."

Foi devido a isso que — iniciando na nossa revista o ciclo de reportagens intitulado: "As questões da emigração nossa e alheia" — pareceu-nos justo de procurar um dos mais importantes membros da colônia amiga em São Paulo.

O dr. Vangel que gentilmente nos concede esta entrevista, pertence a uma das mais ilustres famílias do seu país de origem. Durante séculos usufruía estas altas honras estaduais. O próprio dr. Vangel era um dos mais poderosos industriais e exportadores da Hungria. Doutor em jurisprudência e ciências econômicas, formado pela Universidade de Budapeste, além das suas numerosas tarefas profissionais, achava tempo ainda para prática do atletismo. Já foi campeão nas corridas de 400 e 800 metros. Mais tarde na vida entrou no Comitê Olímpico Húngaro assumindo também a presidência da Associação Atlética do seu país.

A devoção às obras sociais levou-o a tomar parte ativa na Associação Cultural Húngara na qual permanece até agora como presidente.

Dr. Vangel recebe-nos com o seu costumeiro agrado no trato. Do seu rosto nobre e sereno nem por um só instante se retrai o sorriso. Admiramos sinceramente a sua esmerada cultura e fina

educação que no mundo contemporâneo tomado pela pressa e prepotência — infelizmente — acaba sendo quase um anacronismo...

A nossa conversação travada no seu gabinete acolhedor e decorado com bom gosto — instantaneamente torna-se amigável e desembaraçada.

Estamos curiosos em conhecer a extensão numérica da coletividade a qual pertence o nosso egrégio interlocutor.

— Ao meu ver — diz o dr. Vangel — vivem no Brasil aproximadamente 90.000 — 100.000 patrícios meus, sendo que o maior número (30.000) esteja globado em São Paulo. Tenho que observar que embora o afeto ao idioma e às tradições nacionais permaneçam vivas — continuamente, sabemos conciliar tais sentimentos com o amor pela nova pátria que é esta terra hospitaleira.

— Quais são os setores das atividades escolhidas pelos representantes da colônia húngara?

— Os brasileiros de origem húngara dedicam-se em grande parte ao comércio e à indústria. Os seus estabelecimentos industriais nem sempre importantes e desenvolvidos como as conhecidas casas Probel, Peter Muranyi, Conde Forgacz — são bem organizadas e gozam bom nome entre os donos desta terra. Representam as mais variadas linhas de produção e posso afirmar que praticamente não existe campo nenhum onde os húngaros não estivessem representados. Porém os maiores méritos se fazem notar no campo científico e da arquitetura. Afamados são os êxitos alcançados pelos intelectuais como dr. prof. Nicolas Boer, catedrático da Universidade Católica de São Paulo, dr. Ec-

sady, conhecido linguista, professor da mesma Universidade ou dr. prof. Klobusicky, biólogo e um dos diretores do Instituto de Butantã, estendendo-se longe além das terras do Brasil.

O dr. Klobusicky, membro da Academia Médica de Rio de Janeiro é inventor do original método de extrair o soro contra a mordida das cobras venenosas.

Não menor é a fama que desfrutam os arquitetos húngaros Francisco Beck, Filip Szmídt, José Ratz, Carlos Kogl e Julio Schwab, este último um apreciado construtor de igrejas e escolas.

Um dos arquitetos húngaros foi responsável pela construção do porto do Rio de Janeiro, considerado este como a maior obra de ordem utilitária e arquitetônica do mundo.

— Eu quereria ainda salientar a contribuição que o grupo húngaro fez no setor pedagógico brasileiro — continua o dr. Vangel — os Padres Beneditinos fundaram uma das melhores escolas secundárias, o Colégio Santo Américo, cujo reitor é o Pe. Emilio Jordão. As Irmãs da Associação Nossa Senhora da Assunção dirigem grupos primários e escolas em Vila Anastácio e nas proximidades de Belém.

— O que estou expondo aqui — conclui o dr. Vangel — constitui nada menos do que uma parte do resumo das atividades do nosso grupo étnico, visto que poderia ser acrescentado muito mais ainda.

— Qual é a participação dos brasileiros de origem húngara na vida política do Brasil? É a nossa última pergunta.

O distinto entrevistado faz um muxoxo como querendo furtar-se da resposta.

— Não posso fazer nenhum comentário sobre o assunto. Limito as minhas pesquisas às questões puramente culturais.

Entrevista realizada por: SATOR

PRZEMYSŁ POLSKI W BRAZYLII

Firma, którą odwiedziliśmy tym razem, nazywa się Injectdiesel Ind. Com. e Imp. Ltda. i mieści się przy Av. Santos Dumont, 634 w São Paulo.

Każdy amator czterech kółek wie jaką rolę spełnia w silniku spalinowym karburator. Otóż odpowiednikiem karburatora w motorze Diesla jest pompa wtryskowa. Do naprawy, kalibrowania i regulowania tej pompy potrzebne są specjalne maszyny elektroniczne.

Injectdiesel Ltda. zajmuje się właśnie naprawą, kalibrowaniem i regulowaniem pomp wtryskowych i jest wykwipowana w odpowiednie maszyny pochodzenia angielskiego. Zaznaczyć należy, że 50 proc. ekwipunku zakładów wytwarza się już

w Brazylii i że wszyscy współpracownicy firmy są wykwalifikowanymi fachowcami.

Oprowadza nas po zakładach dyrektor Arnold Reissfeld.

Dyrektor Reissfeld jest inżynierem mechanikiem. Z Polski wyjechał w roku 1932, w Brazylii przebywa od sześciu lat i jak sam powiada, ani w domu, ani w pracy nie ma możliwości rozmawiać po polsku. Mimo to jego polszczyzna jest nienaganna.

Rozmawiamy o Polsce i o Grudziądzu, gdzie inż. Reissfeld kończył podchorążówkę kawalerii. Służył potem w 10 pułku ułanów w Białymstoku. Stąd prawdopodobnie zamiłowanie do koni i jazdy

konnej nie platoniczne bynajmniej, gdyż inż. Reissfeld jest czynnym członkiem Hípica Santo Amaro.

Artykuły luksusowe męskie. Artykuły importowane. Materiały krajowe i zagraniczne.

Pracownia krawiecka
(kierownictwo polskie)
KOSZULE NA MIARĘ

Dandy

J. Grunpeter (dawn. Katowice)
R. Oscar Freire 67 (esq. R. Augusta)
SÃO PAULO

Atmosfera przepojona była wyziewem ciał ludzkich, dymem tytoniowym i zapachem **pingi**. Poprzez wzrastający chwilami gwar przebiegał się dźwięk szklanek. Dwie latarnie naftowe z trudem rozpraszały czający się po kątach mrok.

Przy stolikach pito i grano w karty. Między ladą, za którą siedział opasły barman, a stolikami krążyły młode Mulatki, roznoszące potrawy i napoje. Towarzystwo było mocno mieszane: obdarci Mulaci i Murzyni, brudni biali, hałstra spędzona z różnych stron świata — wszyscy na ogół źle ubrani, w korkowych kaskach, siomkowych kapeluszach, w butach z cholewami, drewnianych trepach lub po prostu boso. Mulatki-kelnerki wdzięczyły się do gości i umawiały z każdym na spotkanie po pracy, do czego nie zawsze dochodziło, gdyż właściciel lokalu nie lubił konkurencji — miał własny dom publiczny w osadzie.

Nagle na progu ukazał się nowy gość. — Ludzie, wy się tu bawicie, — powiedział posępnym głosem — a nad rzeką zabito znowu **garimpeira**.

Gwar przycichł, wszyscy spojrzeli na przybysza. Był to chudy Mulat, bosi, w podartej koszuli.

— Trzeci trup w tym tygodniu — dodał. — Słyszeliście wycie?

Jakże w takiej wrzawie mogli słyszeć jakikolwiek głos z zewnątrz? Nawet gdyby za ścianą ryczała sama **onça**.

Nowe morderstwo — tego nie mogli zrozumieć. Żyli tu w katorżnej pracy, zajęci wyszukiwaniem cennych kamieni w zwirowatym korycie rzeki. Nie mieli czasu na kłótnie i zwady i na zabójstwa. Diamenty — oto był cel, któremu wszystko musiało się podporządkować. Gdyś znalazł kamyczek mialeś, człowieku, **pinge**, cygara i kobiety!

Przybysz zastanawiał się jeszcze, czy wejść, czy też się wycofać, gdy z kąta sali przywołano go skinieniem ręki. Siedzieli tam dwaj młodzi ludzie, na optykę — cudzoziemcy. Jeden, jasny blondyn, o niebieskich oczach i chłopięcej twarzy, mógł mieć lat dwadzieścia dwa lub dwadzieścia trzy, drugi — starszy, ciemny, odznaczał się obliczem suchym o ostrych rysach. Obaj byli uzbrojeni w rewolwery kalibru 44, fakony i krótkie noże.

Podczas, gdy młodszy podsunął Mulatowi szklankę z **pingą**, starszy ją go wypitywać o szczegóły morderstwa.

Zabity nazywał się Basilio, przybył nad Rio Preto przed dwoma tygodniami i już mu się poszczęściło: znalazł ładny kamyczek. Na trupa natknął się przed zapadnięciem zmroku. Mulat znajdował się akurat w pobliżu, płynął łodzią do osady. Zwały go krzyki towarzyszy zmarłego. Widział trupa — a jakże! Gość nie został zastrzelony ani zakłuty nożem. Mała ranka na plecach — to wszystko.

— To dziwne — powiedział starszy cudzoziemiec, marszcząc brwi. — Jest to

już piąty wypadek odkąd zamieszkalimy w osadzie i co ciekawsze — ludzie giną od jakiegoś nie znaczącego ułucia, ledwie widocznej ranki. Co sądzisz o tym, **amigo**?... **amigo**?...

— Nazywam się Adauto.

— Co powiesz, **seu Adauto**?

Mulat poskrobał się w głowę i mruknął niechętnie:

— A co? Nad rzeką dzieje się niedobrze.

— Słyszmy to od dawna. Ale czy nie masz jakichś podejrzeń?

— Podejrzeń? Ja wiem napewno, panowie. Te wszystkie morderstwa — dodał szeptem — są dziełem upióra.

Cudzoziemcy roześmieli się. Adauto przyglądał się im ze zgrozaniem.

— Nie macie się z czego śmiać. Szkoda, że nie słyszeliście wycia upióra, włosy od tego stają dęba na głowie. Inaczej byście mówili. Tak, tak, dziwne rzeczy dzieją się nad Rio Preto... Wszyscy tak sądzą. Popatrzcie, ludzie są poważnie zaniepokojeni.

Cudzoziemcy rozejrzeli się po sali. Popijano i w dalszym ciągu grano w karty, ale rozmowy prowadzone były półgłosem, nieufnie. Gwar przekształcił się w przytłumiony szum. Ten i ów spoglądał bacznie na drzwi i niby od niechcenia dotykał broni. Ten i ów odsuwał się na wszelki wypadek od stolika, żeby mieć większą swobodę ruchów w razie napaści. Tylko barman był niewzruszony. Uśmiechając się chytrze wycierał brudną ścierką umyte szklanki.

Upiór znad Czarnej Rzeki

ANDRZEJ ZAWROTNY

Stanisława Słupeckiego i starszego od niego o sześć lat Władysława Uziembło przywiodła nad ciemną, mętłą wodę Czarnej Rzeki, poza pragnieniem zdobycia fortuny, chęć poznania z bliska brazylijskiej dżungli, o której słyszeli wiele zanim jeszcze przybyli z Europy jako weterani wojny światowej.

Wylądowali w porcie Vitoria i tam każdy na własną rękę walczył o kawałek chleba. Słupecki pracował jako kierowca, a Uziembło jako mierniczy w firmie zajmującej się parcelacją gruntów podmiejskich. Po trzech latach doszli ze smutkiem do przekonania, że oprócz znajomości języka miejscowego nic więcej nie posiadli — ani pieniędzy, ani znajomości kraju. Wreszcie pewnego dnia postanowili na rok uciec do interioru.

Zaopatrzeni w przyrządy górnicze, broń i zapasy chininy wysiedli z **lanchy** w niewielkiej osadzie nadrzecznej zwanej, chyba bez przesady, Buraco do Diabo. Odtąd dzień w dzień, jak inni **garimpeirzy**, brodzili w brudnej, mulistej wodzie Czarnej Rzeki, przepłukując żwir i piasek. Praca była żmudna i przyjaciele przekonali się niezadługo, że jest to zajęcie nie tylko prymitywne ale i piekielnie jednostajne. Gdyby nie pijatyki w barze Syryjczyka, zwanego Turkiem lub Osmanem, i zdarzające się od czasu do czasu zabójstwa, możnaby się wściec z nudów. Ale zabójstwa były ostatnio zbyt częste, zaczynały źle wpływać na samopoczucie.

Energiczny i zapalczywy Uziembło więcej się tym przejmował, niż ocieęzały i pragnący przede wszystkim spokoju, Słupecki.

Tym razem również, po powrocie z baru, Uziembło długo nie mógł zasnąć. Wiercił się na tapczanie, rozmyślał o tajemniczych morderstwach, wreszcie późno w nocy doszedł do pewnego wniosku, który jednak nie zdołał się dostatecznie wykrystalizować w jego umyśle.

Nazajutrz wypadła niedziela. Ludzie harujący codziennie od rana do nocy, poświęcili ten dzień na odpoczynek, pijatykę, rozmowy i wzajemne odwiedzanie się. Większość udawała się do baru Turka, gdzie bez trudu mogła przekazać owoc swej pracy w ręce grubego właściciela lokalu.

Zaraz po kawie Uziembło wyciągnął kolegę na spacer. Wstąpili do chaty **garimpeira** zabitego dzisiejszej nocy. Zastali jego współnika, Roberta, zasuszonego człowieka z Ceará. Opowiedział, że zmarły nie miał wrogów i cieszył się jeżeli nie sympatią to w każdym razie obojętnością reszty **garimpeirów**. Pochodzili z tych samych okolic i pracowali dzieląc się uczciwie wydobytymi kamyczkami. Uzbierali kilkanaście niewielkich diamentów, które chcieli właśnie spieniężyć.

— Gdzież są te kamyczki? — zapytał Uziembło.

— Kolega wziął je ze sobą. Nie znalazł ich przy nim.

— Mógł je zgubić po drodze.

— To wykluczone. Takich rzeczy się nie gubi.

— A więc mord rabunkowy.

Z szałasów Roberta przyjaciele powędrowali do baru. Znajdowało się już tam kilkunastu **garimpeirów**. Byli poważnie zaniepokojeni ostatnimi wypadkami i gubili się w domysłach. Kilku zastanawiało się, czy nie opuścić Czarnej Rzeki i nie przenieść się do innej bezpieczniejszej miejscowości. Inni radzili pozostać, teren był dobry, należało tylko zdwoić ostrożność i nie wychodzić z szałasów po zachodzie słońca. Ale wielu **garimpeirów** mieszkało samotnie i nie mogło uniknąć w nocy zaskoczenia. Uziembło radził urządzić zasadzkę na złoczyńcę. Sprzeciwiono się jednak temu, wierzono bowiem, że chodzi tu o siły nadprzyrodzone, walka z którymi była beznadziejna.

Gdy Uziembło bronił nadal swego stanowiska zaatakował go zza lady Turek.

— Ci ludzie mają rację — stwierdził.

— Dżungla brazylijska kryje w sobie wiele zagadek, które lepiej pozostawić w spokoju. Niejeden śmiałek, pragnący je rozwiązać, przypłacił to życiem.

— Na pańskim miejscu byłbym innego zdania — uśmiechnął się Uziembło. — Jeżeli morderca nie zostanie schwytany okolica może się wyludnić i co pan wtedy poczniesz?

— Ha, cóż, przeniosę się gdzie indziej.

— Upiór może napaść na pana.

— Nie ma obawy. Do baru nie przyjdzie, bo zbyt dużo ludzi, a po puszczy się nie włóczyć, co bym tam miał robić.

Spokojny ton, jakim mówił Osman, zastanowił trochę Uziembło.

— Przynajmniej ten jeden nie wierzy w głupstwa — pomyślał z zadowoleniem.

Osada Buraco do Diabo składała się z kilkunastu baraków, zajmowanych prze-
ważnie przez rzemieślników, bez których
garimpeirzy nie mogli się obejść. Było
więc kilku krawców, rusznikarzy i szew-
ców. Był także burdel w jednym z więk-
szych baraków na uboczu osady. Mie-
szkały tam kobiety różnych ras i kolo-
rów. Zużycie ciała sprawiało, że osada w
głębi dżungli stała się dla nich ostatnią
przystanią życiową. Stąd odchodzili już
tylko w objęcia śmierci.

Od pewnego czasu Uziembło zaczął się
włóczyć po osadzie i w pobliżu burdelu.
Wyczuwał instynktownie, że tu właśnie
ukrywał się morderca. Były to, oczywi-
ście, tylko przypuszczenia, nie oparte na
żadnej podstawie. Tracił na tę łazęgę
moc czasu i Słupecki miał o to do niego
pretensję. Uziembło był jednak stanow-
czy i gdy raz coś postanowił nie łatwo
go było skłonić do rezygnacji.

I gdy Słupecki podkasywał nogawki i
wlażył z drewnianą bateją do wody, skąd
wyląwiał żwir, on wędrował od garim-
peira do garimpeira i ciągnął każdego
za język w nadziei, że dowie się czegoś
konkretnego, co pozwoli mu wpaść na
właściwy ślad.

Widok wałęsającego się Uziembły na-
suwał garimpeiom podejrzenia. Kto
mógł wiedzieć co sobie myślał? Człowiek
mówi jedno, a robi drugie. Zbывano go
tedy nic nie znaczącymi półsłówkami lub
niechętnymi mrucnięciami. Wreszcie
ktoś zapalczywszy powiedział mu otwar-
cie, żeby pilnował lepiej własnego nosa
i nie wtrącał się do cudzych spraw. U-
ziembło stropił się nieco, zwłaszcza, że
rada poparta była nieprzyjaznym błys-
kiem oczu i wiele znaczącym ruchem
ręki, poprawiającej niedbale pas.

— Niech diabli wezmą tych głupców!
— powiedział Uziembło, gdy zasiadł wie-
czorem z przyjacielem do kolacji. — Nie
rozumieją własnego interesu.

— Co chcesz — odparł Słupecki — lu-
dzie są podnieceni. Mówię ci, przestań
ich denerwować tym swoim śledztwem.
Nie trzeba nikogo uszczęśliwiać na siłę.

— Pewno, że dam spokój. Szlag niech
ich trafi!

Tego wieczora położyli się wcześniej
spać. W nocy obudzili się, zdawało im
się, że słyszą krzyk. Ale ponieważ w sel-
wie pohukiwały często sówki nie zwró-
cili na to specjalnej uwagi. Dopiero ra-
no, gdy zabierali się do płukania żwiru,
niedaleki sąsiad powitał ich nowiną:

— Afranio zabity!

Okazało się, że zamordowano go, gdy
wyszedł w nocy za swoją potrzebą. Znikł
też diament, który nosił przy sobie, war-
tości kilkunastu tysięcy. Rana, którą za-
dano ofierze, była jak zawsze niewielka,
ledwo dostrzegalna.

Zaledwie sąsiad przestał mówić z za-
rośli wynurzył się Batista, wspólnik za-
mordowanego Afrania. Był ponury jak
chmura gradowa.

— Wiedzieliś o diamencie Afrania?

Uziembło zachnął się.

— Skądże! Przecież nie zwierzał się z
tym nikomu.

— Wywęszyłeś to wczoraj.

Twarz Uziembły oblała się gorącym ru-
mieńcem. Popatrzył wyzywająco w ka-
prawie oczki Batisty.

— Na jakiej podstawie mnie podej-
rzewasz?

Batista stropił się nieco ale tylko na
chwilę.

— Ty tylko wałęsałeś się wczoraj koło
naszego szałas.

— I co z tego?

Tamten zakręcił się na pięcie i od-

szedł, ale Uziembło zrozumiał nagle ja-
kie niebezpieczeństwo mu zagraża.

— Obwinia cię o śmierć Afrania i zni-
knięcie diamentu — wyjaśnił niepotrzeb-
nie Słupecki.

— Nie mów mi tego, bo i tak mało
mnie szlag nie trafi! — warknął Uziem-
bło.

I rozgoryczony poszedł do rzeki. Z za-
ciśniętymi zębami wygarniał kupy żwiru,
płukał, wynosił na brzeg, wysypywał na
piasek i ostrożnie przegarniał dłoń w
nadziei ujżenia skarbu. Obiecywał so-
bie, że po pierwszym kamyku, który po-
kryby wydatki związane z pobytem w
Buraco do Diabo, wróci do Vitorii lub
pojedzie do Parany.

Ale był to dopiero początek kłopotów.
Kończyli właśnie obiad, gdy zjawiła się
gromada garimpeirów.

— Uzgodniliśmy między sobą, że w
przeciągu dwudziestu czterech godzin
wyniesiecie się stąd, — powiedział jeden
z nich. — W przeciwnym razie nie rę-
czymy za wasze życie.

Uziembło uniósł się z wolna na nogi.
Miał takie samo prawo, jak i oni do
uprawiania zawodu — książeczkę ga-
rimpeira — z jakiej więc racji chcą de-
cydować co mu wolno, a co nie.

— O co chodzi? — spytał, siląc się na
spokój.

— O to — odparł zapalczywie Batista,
— że mamy was dosyć! Od czasu, gdy
przybyliście nad rzekę spadają na nas
same nieszczęścia. O nic was nie oskar-
żamy, ale radzimy, żebyście ulotnili się
stąd jak najszybciej.

— Ludzie, czyście zwariowali? — za-
wołał Uziembło. — Zastanówcie się co
mówicie. Nie chcę być złym prorokiem:
my się stąd usuniemy, a morderstwa się
nie skończą.

Słupecki tracił go w ramię.

— Daj spokój. Przestań się targować.
Chcę, żebyśmy wyjechali, więc wyjedzie-
my. POCO się narażać niepotrzebnie?

— I ty także oszalałeś? Jak się wy-
dostaniemy, na skrzydłach? Lancha
przybędzie dopiero za kilka dni. Poz-
wólcie, do jasnej cholery pozostać przy-
najmniej póki nie przypłynie lancha.

Batista spojrział na garimpeirów. Ten i
ów kiwnął przyzwalająco głową. Po-
wiedział tedy:

— Możecie pozostać, aż do przybycia
lanchy. Ale nie tutaj tylko w osadzie.

Wygnańcy, albo jak chciał Słupecki:
wypędki, załadowali się na łódź i popły-
nęli w kierunku osady. Zamieszkali w
pustej szopie należącej do Turka. Nie-
gdyś w tej szopie przechowywano kau-
czuk, ale odkąd w Rio Preto odkryte zo-
stały diamenty, szopa opustoszała, gdyż
zbieracze kauczuku porzucili swe serin-
gale i przekształcili się w garimpeirów.

— I co teraz? — spytał Słupecki. —
Może udamy się o kilkanaście kilome-
trów w górę rzeki. Tam nie ma jeszcze
nikogo.

— Nie, — powiedział gwałtownie U-
ziembło. — Nie rusz się stąd krokiem.

— Widocznie znudziło ci się życie.
Chcesz, żeby cię zakopano pod krzakiem,
ty leśny detektywie.

— Zostaw mnie w spokoju. Chcę tro-
chę pomyśleć.

— Proszę bardzo. Nie mam zamiaru
ci przeszkadzać, — powiedział Słupecki
i ostentacyjnie wyszedł z szopy.

Wstąpił do baru ale nie bawił tam
długo. Wdzięczenie Mulatek wydawało
mu się natrętne. Razila go także cie-
kawość Turka, wypytującego co zamie-
rzają zrobić ze sobą.

Wrócił więc do szopy. Nie zastał w
niej Uziembły. Cekał na niego do póź-
nego wieczora, był już niespokojny.

Uziembło zjawił się przed samą półno-
cą jakiś rozgorączkowany, podniecony.

— Zdaje się, — powiedział — że je-
stem na właściwym tropie.

Słupecki roześmiał się sucho.

— No, to spiesz się, bo zaczyna mnie
to wszystko denerwować.

Wlażył do hamaku i dał do zrozumienia,
że nie ma ochoty na dalszą rozmowę.
Uziembło zjadł tymczasem kolację, po-
kręcił się trochę po szopie i wyszedł.

Poprzednio był w burdelu, pogadał z
 prostytutkami. Teraz udał się tam po-
nownie. Nie miał jednak zamiaru wcho-
dzić do środka; zaczął się w pobliżu ba-
raku, w zaroślach. Ruchu tej nocy nie



KUBKI PAPIEROWE

Do 1 ltr pojemności

BUTELKI PAPIEROWE

(Container's)

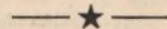
Talerzyki i kubki papierowe

Na uroczystości, pikniki, etc. (Fantasia)

Opakowania specjalne dla super-mercados, fabryk konserw, etc.

INDÚSTRIA INAJÁ

Artefatos, Copos, Embalagens de Papel S.A.



Escr.: R. 7 de Abril, 296 - 10.º andar - Fone: 34-0865 — SÃO PAULO

End. Electr.: "COPINDUS"

Przygoda w mieście

Władysław Romanowski



Szeroko jest rozpowszechnione mniemanie, że człowiek może się przyzwyczaić do wszystkiego. Twierdzenie to nie zawsze pokrywa się z rzeczywistością. Nie przywykłem zbyt do podróży powietrznych ale przecież i na ziemi dostaję czasem zawrotu głowy. Podejrzewam, że winę ponosi tu moja wątroba. Bardzo wiele osób w Brazylii uskarża się na tę dolegliwość. Niektórzy są zdania, że jest to skutek niewłaściwego odżywiania, inni zaś, że klimatu. Co do mnie — nie wiem. Troskę o to pozostawiam specjalistom.

A teraz chcę wam opowiedzieć o pewnej przygodzie, która przydarzyła mi się w Rio de Janeiro.

Było okropnie gorąco, gdy samolot wylądował na lotnisku Santos Dumont. Trudno było ujrzeć człowieka, który by się nie zalewał potem. Czulem się oszołomiony i na wpół głuchy. Ale gdy wciągnąłem pełną piersią ciepłe powietrze Rio, zrobiło mi się cokolwiek lepiej. Odebrałem walizki i kazałem je odwieźć do zamówionego uprzednio hotelu. Zapłaciłem tragarza, rzuciłem jeszcze przelotnie okiem na lądujący właśnie z gracją samolot i udałem się pieszo do śródmieścia. Stwierdziłem od razu, że Rio w ostatnich czasach niewiele się zmieniło. Tu i ówdzie widziało się nowe budynki, śmiało dźwigające się w górę, i kontrastujące silnie z wiekowymi domami tak jeszcze pospolitymi w tym mieście.

Ruch o tej porze był olbrzymi. Mijając narożnik ujrzałem w dali Corcovado, a na nim Chrystusa z szeroko rozwartymi ramionami, błogosławiącego niebu i ziemi. Otarłem pot z czoła i powiew wietrzyka wydał mi się ciepłym oddechem podnieconej kobiety. Obłok lotnych myśli, natrętnych jak muchy, zapełnił mój umysł. Nagle stwierdziłem, że nie orientuję się gdzie jestem. Rozejrzałem się bacznie dokoła i przekonałem się, że znajduję się na Avenida Rio Branco.

To mnie napełniło zadowoleniem, jak bym się zetknął z czymś czego poszukiwałem od dawna. Westchnienie ulgi wyrwało mi się z piersi. Oto znajdowałem się znowu w sercu miasta El-Rei'a. Rozglądając się dokoła zastanawiałem się. Właściwie po co przywdroawałem tu w taki upał? Potem uprzytomniłem sobie, że miałem zadepeszonąć żonie o szczęśliwym przybyciu do Rio. Angela wybacza mi wszystko, nawet niezliczone listy od zakochanych czytelniczek. Ale wymaga, żebym po przybyciu do jakiejś miejscowości natychmiast jej o tym donosił. I żeby nie dopuścić do innych wymagań z jej strony wykonuję to posłusznie, przeświadczony, że będzie mnie zawsze uważała za jednego z najwierniejszych mężów. Szczęśliwe pożycie małżeńskie bywa często uzależnione od takich drobniaków, na pozór błałych, pomyślałem, kierując kroki w stronę agencji telegraficznej.

Przyzwyczajony do dużych miast nie zwracałem uwagi na przechodniów, tłoczących się na chodnikach. Rzuciłem mimo woli okiem na zegarek — dobiegała dwunasta. Wiedziałem, że większość tych ludzi, obarczonych obowiązkami, miała za mało czasu na obiad.

Długi wąż samochodów oczekiwał na rozgrzanym asfalcie śródmieścia na zielone światło sygnału. Wzrok mój przesunął się bezmyślnie po tłumie. Nagle spostrzegłem przed sobą mężczyznę, wyróżniającego się swym wyglądem od innych. Był wysoki o wypiętej klatce piersiowej i twardym zdecydowanym kroku. Nadchodził w moim kierunku, dzieliła nas dość duża przestrzeń. Spojrzawszy nań pobieżnie zająłem się własnymi myślami. I popełniłem błąd. Patrzyłem właśnie na drugą stronę ulicy, gdy ktoś mnie popchnął z całej siły, tak, że potoczyłem się jak kula w sam środek tłumu. Nie mogłem z początku pojąć co się stało: ugodzono mnie czymś, czy ciśnięto o mur mijanego domu. W stanie połowicznego zamroczenia starałem się oprzytomnieć, szukając wzrokiem sprawcy zderzenia. Piersi mnie porządnie bolały. Miałem ochotę zaprotestować własnym okrzykiem ale zdołałem wydobyć z siebie zaledwie nędzny pomruk.

Spoglądałem bezsilnie na olbrzyma, idącego dalej z podniesioną wysoko głową. Więc to on uderzył mnie swym gorylim torsem. Serce zalała mi fala gniewu. Powinienem pójść za nim i zażądać zadośćuczynienia. Ale natychmiast z tego zrezygnowałem, gdy uświadomiłem sobie jego przewagę fizyczną. Czulem się złamany, upokorzony i nędzny. Miałem wrażenie, że jestem kukłą, istotą bez znaczenia i dlatego ów olbrzym wybrał mnie jako ofiarę swych brutalnych instynktów.

Zduśłem w sobie poczucie niższości. Byłem odurzony, piersi mnie bolały. Jeszcze raz spojrzałem poza siebie. Stwierdziłem, że

olbrzym posuwał się środkiem chodnika z szeroko rozstawionymi ramionami. Trzeba było zapomnieć o całym zdarzeniu. Usiłowałem umówić w sobie, że był to zwykły przypadek, a przypuszczenia moje pozbawione podstaw. Mruknąłem wreszcie przez zęby, że nie warto gniewać się na ludzi.

Przyspieszyłem kroku. W tym momencie ktoś przytrzymał mnie za ramię. Koło mnie dreptał niski, niepozorny człowieczek, dobrze ubrany, o oczach okrągłych. Zatrzymałem się zdumiony kontrastem pomiędzy tym człowieczkiem, a olbrzymem, który mnie potrącił przed chwilą. Przyznam się, że nie mogłem zrazu uwierzyć w możliwość takiego przeciwieństwa.

Człowieczek o okrągłych oczach zmarszczył szło i zapytał:

— Czy pan jest dziennikarzem?

To niestosowne pytanie, gdy jeszcze nie zdołałem ochłonąć po wypadku, wydało mi się żartem nie na miejscu. Zanim zdobyłem się na odpowiedź spojrzałem raz jeszcze na olbrzyma, który dość już ode mnie oddalony, kołysał barami nad głowami przechodniów. To utwierdziło mnie w przekonaniu, że istniały typy tak różne, dwa bieguny.

Spojrzałem z góry na człowieczka uwieszonego u mego ramienia i wyjaśniłem, że nie mam nic wspólnego z dziennikarstwem.

— Wyobrażałem sobie, — powiedział godnie, uważnie mi się przyglądając — że pan jest dziennikarzem.

— Dlaczego? — odparłem, zaskoczony, ale bez zapału.

— Ponieważ potrącenie, którego stał się pan ofiarą, było celowe — zapewnił mnie z przekonaniem.

— I cóż to ma do rzeczy? — powiedziałem podrażniony.

Człowieczek puścił rękaw mojej marynarki. Szedł koło mnie. Ogarnęło mnie pragnienie przejścia na drugą stronę ulicy lub zatrzymania się, żeby odczepić się od natręta. Ale zanim zdecydowałem się na cośkolwiek powiedział:

— Zapewniam pana, że tak było.

— Trudno... — mruknąłem.

— Trudno?... Traktuje się tak zazwyczaj dziennikarzy jako wstęp do dalszych działań. Pchnięto pana rozmyślnie. Szedłem z tyłu i doskonale to zauważyłem — ciągnął człowieczek tonem nie znoszącym sprzeciwu, jak gdyby zachęcając mnie do podjęcia inicjatywy.

— Być może. Mam jednak wątpliwości. Nie znajduję usprawiedliwienia dla podobnie brutalnego postępu, tym bardziej, że jestem tu obcy, przybyłem właśnie z południa i nigdy w życiu nie widziałem tego draba — spokojnie już informowałem niepozornego człowieczka, nie odstępującego mnie na krok.

— To dziwne, bardzo dziwne — powiedział, chwytając mnie ponownie za ramię.

Dokończenie na stronie 30

Indústria de Revestimentos TERRABONA LTDA.

- REBOCAL — massa fina para interno e externo, preparada com quartzito puro.
- GRANILITE — executamos todo e qualquer serviço.
- MASSAS PARA FACHADAS — fornecemos e executamos serviços em raspada - lixada - batida - lavada, imitação de travertino.
- PISO ROMANO — execuções em caco de mármore perfeitas.

ESCRITÓRIO: Rua Sete de Abril, 264 - 12.º - S/ 1206
Tels.: 36-8772 — 37-7336

FÁBRICA: Avenida Pavão, 955 - Tel.: 61-3191 (Indianópolis) — SÃO PAULO

Był sobie człowiek...

AURELIO DOMINGUES

W r. 1909 Urząd Imigracyjny w Rio de Janeiro mianował mnie lekarzem kolonii Vera Guarany w stanie Parana. Z Kurytyby pojechałem pociągiem w towarzystwie federalnego inspektora imigracyjnego, inż. Manoela Ferreira Correia. Nocowaliśmy w Ponta Grossa w hoteliku pewnego Polaka. Było już pod wieczór kiedy po całodziennej podróży wysiadłem na stacji Paulo Frontin; oczekiwał tu nas dyrektor kolonii Sebastian Saporski, Polak naturalizowany.

Jeszcze przed zmierzchem zdążyliśmy dotrzeć do Vera Guarany. Zeskoczyłem z konia przed frontem dużego budynku. W tych ścianach z piniorowych desek mieściło się biuro, obok zaś znajdowało się mieszkanie przeznaczone dla mnie i gabinet przyjęć.

W Vera Guarany prócz paru większych domów wznosiły się przeważnie baraki dla nadejżdżających transportów imigrantów. Mieszkali tam oni do czasu przydzielenia działki osadniczej. Na działce nowy osadnik otrzymywał chatę, nieco w każdym razie wygodniejszą od szałasów. W barakach panował bezustanny rwetes głównie dzięki licznej dzieciarni przybyszów.

Kolonia zaczęła dopiero jak niemowlę. Jeszcze pół roku temu stała tu nieprzebytą, dziewiczą puszcza. W zbitej gęstwinie piniorów zaczęły się pierwsze przeręby pikad i karczowisk.

Personel administracyjny składał się z dyrektora, lekarza, aptekarza, paru urzędników, dwóch czy trzech mierników i służby pomocniczej.

Był też w tym gronie tłumacz, który zmiej się zaskarbił sobie moją sympatię. Stał się od razu prawą ręką dla mnie. W gromadzie czekającej na pomoc lekarską miałem mnóstwo roboty, a jakże tu leczyć kiedy jest się niemową między niemowami.

Tłumacz był Polakiem, pochodzącym z Litwy. Jako syn narodu pozbawionego niepodległości żywił głęboką urazę do wszystkich trzech zaborców. Ukończył uniwersytet w Bonn, widział dyplom. Władzał językami: rosyjskim, ukraińskim, litewskim, polskim, niemieckim, angielskim oraz francuskim. Ponadto znał języki klasyczne grekę i łacinę. Przed wyjazdem do Brazylii prowadził czy też opiekował się potajemną szkołą polską. Zadenuncjowano go i musiał uchodzić za granicę. Podejrzywałem, że powody opuszczenia kraju nie ograniczały się do skąpych wyznań, którymi podzielił się ze mną, ale niedomówienia

dodawały mu tym większego uroku. W tułaczach swych zawadził o Paragwaj.

Nie potrafił utrzymać spokoju gdy mówił o nieszczęsnych losach ziemi ojczystej. Obrzucał gromami ciemiężców, złośliwie przemocy, aż twarz mu się zmieniła. Miał zresztą bardzo żywe usposobienie i popędliwą naturę. Ten człowiek tęsknił i cierpiał, a ból jego rodził się z klęsk narodowych, z własnych niepowodzeń i z niepomysłnych zapewne wiadomości od rodziny pozostawionej w Warszawie. Jedyną pociechę stanowiły listy i dzienniki, które otrzymywał z kraju.

Nazywał się Stanisław Kłobukowski. Jego barki dźwigały już szósty krzyżyk, lecz nie poddawały się ciężarowi lat, zawsze krzepkie. Miał jasną, czerstwą cerę; blond włosy zaczynały rzędnąć, na skroniach widniał dyskretny szron; oczy były błękitne, nos wydatny. Golił starannie wąsy i brodę. Tylko w opadłych lekko wargach czaił się cień dojrzałego wieku. Nosił binokle. Ubierał się stale w ciemne garnitury z dobrych materiałów, już nieco wytarte. Odzienie odświętne trzymał w walizkach; był tam nawet frak i cylinder.

Mieszkał samotnie. A cóż to był za nieznużony piechur! Nie usiadł na miejscu, gdy miał wolną chwilę. Lubił dalekie wycieczki.

Na fortepianie grał niczym artysta. W mieszkaniu jednego z miejscowych kupców, który był dostawcą naszej administracji, stało — o dziwo! — pianino. Stare było bo stare. Ileż to razy przysłuchiwałem się jak Kłobukowski grał zaczynając zazwyczaj od ulubionych utworów Chopina i przechodząc, następnie, do piosenek ludowych znad Wisły, raz rzewliwych, raz skocznych. Śpiewał sobie przy tym i przytupywał. Daje słowo, że niekiedy miał łzy w oczach, łzy za utraconą ojczyzną. Nie rozumiałem słów pieśni. Wystarczał mi jeden jedyny, często powtarzany wyraz: "Polska! Polska! Polska!"

Do monsieur Kłobukowskiego (tak go lubiłem nazywać z francuska) odnosiłem się z uszanowaniem i podziwem — zarówno ze względu na jego wysoką kulturę, jak i — żarliwy patriotyzm i godną postawę życiową. Znał gramatykę wszystkich języków, którymi władał. Na początku naszej znajomości rozmawialiśmy po francusku, gdyż nie opanował wówczas w pełni portugalskiego. Lepiej się posługiwał guarani, z którym zetknął się w czasie dłuższego pobytu w Paragwaju.

Współzycie moje ze Stanisławem Kłobukowskim układało się bardzo harmonijnie. Chętnie przebywałem w jego towarzystwie nawet poza godzinami urzędowania.

Dyrektor kolonii pan Saporski (pan w języku polskim znaczy to samo co portugalski Senhor) mieszkał dość daleko od ośrodka. Wpadał do biura przelotnie, co kilka dni, dla załatwienia bieżących spraw. Gdy komu było pilno musiał rad nie rad biegać po pikadach. Odnajdywał tam dyrektora przy wytyczaniu dróg i działek dla osadników. Los kolonistów nie był mu obojętny, miał w stosunku do nich ojcowskie zrozumienie.

Do potykania się z dżunglą parańską zjechał z morza lud jakby umyślnie w tym celu wybrany: słowiański lud z Polski i Rusi, nieco jeszcze pierwotny, surowy. Obserwując imigrantów, ich sposób bycia, miałem wrażenie, że widzę do brych moich znajomych, leśnych "matutos" z północnej Brazylii albo też okolicznych kabokli z "rossy". Cień wieków pańszczyźnianych, mroki niewoli u obcych przywlokły się za wędrowną rzeszą aż do tej wolnej, beztroskiej ziemi.

W następnym roku los skierował mnie w inne okolice m.i. do Europy na studia. Do Parany wróciłem dopiero w latach pierwszej wojny światowej, znalazłem się tam przejazdem jako lekarz jednej z instytucji ubezpieczeniowych. Dane mi było odnowić dawną znajomość, uściśnić koleżeńską dłoń Stanisława Kłobukowskiego. Oznajmił mi z tryumfem, że sprzymierzeni odbudują jego ojczyznę.

Przysięgam, że odmłodził. "Jeszcze Polska nie zginęła!"

Źródło: Aurelio Domingues — "Passado" (Rio de Janeiro, 1938.)

Przełożył PAWEŁ NIKODEM

R O D O F I E L S. A.

E X C E L Ê N C I A E M

T R A N S P O R T E

IKA

FABRICA DE MALAS E ARTIGOS
DE VIAGEM

Najnowocześniejsza* i najlepsza fabryka
walizek w Ameryce Łacińskiej

CURITIBA - PARANA

Fábrica e escritório:

Av. N. S. Aparecida, 3381 (Seminário)

Fone: 4-2864 - escritório,

4-2606 - fábrica

Caixa Postal, 210

WILIA AUGUSTA

Napisała : Mira Lampe-Sławińska.

Ilustrował : Henryk Mirgałowski.

Ubielonego po pas, wracającego z pracy w kopalni kredy, witał u schodów wielki czarny kot. Sierżant Tłołka nienawidził kotów i zaraz po wprowadzeniu się na półpięterko ceglanego domu przy Anlaby Road, dał to do zrozumienia starej "land-lady" — właścicielce domu. Czcigodnej Mrs. Tilbury z trudem udało się opanować święte oburzenie. Układając zwiędłe usta w grymas, naśladujący uśmiech, wyrzuciła z siebie kilka gam nieartykułowanych dźwięków, z których Tłołka domyślił się raczej, niż zrozumiał, że "in this country" czyli w Anglii, wszyscy przepadają za kotami i to czarnymi. Poza tym jej puszysty Timmy jest ulubieńcem całej okolicy od Willerby po same Hull i, z czasem także i on, August Tłołka, polubi jej "peta" czyli pieszczocha.

Niestety, nie mógł przyzwyczaić się do czarnego kocura. Żeby to był pies - August kochał psy - ale kot, bezduszny pasożyt, zbyt głupi i sobkowaty, by dzielić przeżycia pana, jak to potrafi pies. Brrr - wzdrygnął się na samą myśl o złych mocach, jakie na pocziwego człowieka ciągnąć może ten niesamowity stwór z dżungli i piekła rodem. Tymczasem Timmy najwyraźniej, na swój koci sposób, emablował nowego lokatora. Co dzień o jednej porze oczekiwał go u schodów, a na widok wchodzącego podrywał się ucieszony, wypręzał czarny, lśniący grzbiet, to znów łasił się i ocierał o nogi Tłołki. Ten zupełnie obojętnie przechodził obok kociej zalotności, z czasem zaczęła go nawet drażnić. Któregoś wieczoru wezbrała w nim nagle antypatia do kocura. Odwrócił się nieoczekiwanie w połowie schodów i wlokącego się za nim Tima, trzepnął zwinieciem w rolkę "Dziennikiem". Za pierwszym razem uderzył go na wpół żartem; następne uderzenia były coraz mocniejsze, aż doszło do tego, że kiedyś porządnie dał Timowi w skórę.

— Psia kręc, diable natrętny, kocia twoja... — syczał rozsierdzony Tłołka, wytrząsając nad przełkniętym stworzeniem swój arcybogaty sierżanci słownik. — Czego ty mi w drogę włazisz, no czego, czego, czego?

Od tego wieczoru biedny Timmy już na sam zgrzyt klucza w zamku zmykał, jak oparzony do "basementu" czyli do suterenu.



Mijał czas, stapiając się w tygodnie i miesiące, a mozolnie oszczędzane przez Augusta pensy i szylingi — w funty i gwineę.

Marzył Tłołka o wyfrunięciu z mokrej Anglii. Miał brata w Brazylii, półbrata właściwie, bo z pierwszego małżeństwa matki. Osiedły od wielu lat na północy Parany, chwalił sobie nową ojczyznę. Listy od niego były zachęcające, pełne obietnic.

— Przyjeżdżaj, bracie, nie pożalujes. Wspaniały kraj, ludzie serdeczni, urządzisz się, jak zechcesz. W parę lat możesz stać się milionerem. Przywieź ze sobą ze sto funtów, na początek, no i "odprawę" ma się rozumieć.

August nie śnił o milionach, ale o spokojnym życiu i dobrych ludziach. Jak dotąd, nie miał do nich szczęścia.

Zbliżało się Boże Narodzenie.

— Następne spędzę już tam — cieszył się przyszły "fazendeiro".

O urzędzeniu sobie wili nie myślał wcale. "Wyśpię się" stanowiło jedyną pozycję w jego programie świątecznym. Myśl odwiedzenia znajomych w obozie odrzucił w momencie jej powstania. Mało mu nadokuczali? Przecież to przez nich wyniósł się z obozowego baraku, jednego z tych, które wisielczy humor uchodźców ochrzcił mianem "beczki śmiechu" do pobliskiego miasteczka.

Nie, naprawdę, nie miał szczęścia do ludzi. Żeby choć wiedział dlaczego? Bóg świadkiem, nie zrobił nikomu nic złego. Nikomu?

Wyciągnięty na wąskim żelaznym łóżku, poruszył się niespokojnie, jak zwykle gdy pomyślał o matce. Jej wyrządził krzywdę samym przyjściem na świat. Narodził się Jewie Tłołkowej późno, za późno. Była wtedy już dobrze po czterdziestce, a stary Tłołka od kwartału w grobie. Urodził się August z wielką rudą głową starca i tak szpetny, że na jego widok kobiecie nie łyzy w oczach się zakreśliły. Ale to tylko w pierwszej chwili. Po nakarmieniu nie wypuściła go już z matczynego uścisku i do końca życia pozostał jej najmiłszym, jedynym "syńciugustlikiem".

Gustlik — było spuścizną po ojcu, Augustie Tłołce, a kłatwą na całą młodość.

— Tłołka — wołali chłopcy w szkole — włosy ci się tłom — uważaj, łeb ci płonie!

— August, fiknij kozła — żartowali koledzy w wojsku — pospaceruj na linie!

Nigdy nie mógł darować matce tego błazeńskiego imienia. Żal, jaki czuł o to, wpłynął na niechętnie ustosunkowanie się do niej. Rósł krnąbrny, opryskliwy, nieuczynny. Drzewa nie narąbał, wody ze studni nie наносił, po chleb nie poszedł. Chyba, że już na dobre matkę złożyło.



Pamięta ową wilię najsmutniejszą...

Ma lat dwanaście. Już spore z niego chłopaczysko, silne, rosłe, na swój wiek. Mieszka z matką na skraju lasu, dzielącego osadę Pasięki od wsi Żywice. Zbliża się właśnie Boże Narodzenie. Mama od tygodnia przypomina o opłatku. Groch o ścianę jej słowa. Już i dzień wigilijny. Mama znów prosi:

— Idź-że, syńciu, jam słaba, styrana, nogi mi obrzękły, sama pójść nie mogę. A czas już najwyższy, Gustlik.

Przekomarza się, burczy pod nosem, wreszcie namyśla się łaskawie i wdziewa kożuch, co po ojcu został. Idzie wolnym, leniwym krokiem. Mamie na złość.

788
Za "Augusta", za "pogróbka", za rudy łeb, za niedostatek.

Pelen buntu i goryczy zbliża się do zagrody piekarza. Za późno! Na drzwiach piekarni straszy wielka kłoda. Stary Cienciała zdążył do obiadu pieczywo wyprzedać, zamknął budę i do synostwa na święta się wybrał.

Gustlik stoi bezradny. Co robić? Może poprosi gdzie o opłatek? Nie, wstyd by mu było. Do kościoła daleko i także wstyd: już z pięć niedziel, jak nie był na żadnym nabożeństwie. Raz miał służyć do mszy, to uciekł.

Coraz ciemniej. Pod stopami chrzęści śnieg, mróz szczypie w nos, policzki i czubki palców. Nad Gustlikiem zapalają się gwiazdy jedna po drugiej, jedna po drugiej... Zawraca. Posuwa się wolno, zapatrzone w niebo. Szuka tej jednej jedynej gwiazdy - zwiastunki, która mu figle płać zaczyna, wśród tysiąca gwiazd w chowanego się z nim zabawia.

Trzeźwieje wreszcie. O retyle! Przecie tam czekają na niego! I jak z procy wyrwa ku domowi. Biegnie co tchu, aż mu samemu dziwno, że tak potrafi, gdy chce.

Jest już niedaleko domu, bo słyszy znajome rżenie koni. To goście przyjechali. Mama wylekniona stoi przed chałupą. Pokasłuje i choć otulona w grubą krasiastą chustę, drży cała. Mało nie zapłaczę, gdy mówi:

— Syńciu, bój się Boga, takem się o ciebie troskała. Wszystkom zgotowała, czekają, a ciebie nie widać. Oj, syńciu Gustlik, bez co ty dla mnie taki, no, bez co?

Skostniałymi rękami zdejmuję mu z szyi pokręcony włóczkowy szal i prowadzi do izby.

Przy wielkim dębowym stole, odświętnie przybranym - obrus na sianku, zieleń wokół misek, strudel jabłkowy cymentem pachnący - siedzą już ciotka Klara z Nowego Targu, Marynka - ciotki córka, wuj Zeflik - mamin brat, kuma Agnuszka, kum, stryjanka i dziadek Hubert, blisko stuletni.

Miedzy drzwiami a komodą rozparł się chojak z uciętym czubem. Zieloności nie dojrzeć spoza łańcuchów, zabawek z "glancowanego" papieru i kolorowych bibulek - przeważnie cioci Klarcy roboty. Spod chojaka wyzieraają jakoweś pakuneczki, ale Gustlik między dziadkiem a mamą siedzący, ani śmie spojrzeć w tamtą stronę, ani na nikogo.

Dziadek podniósł się z trudem, siwe brwi zmarszczył i powiada:

— Tylem wigilij przeżył a ta pierwsza bez nijkiego opłatka. No, ale trudno, to tak sobie powinszuję.

Do końca życia nie zapomni Gustlik tej wieczery, ostatniej z matką. Dotąd czuje na wargach chropowatość spracowanej dłoni matczynej, mydlinami przesiąklej. Za to jak miękki, szalwią i rumiankiem pachnący, był jej policzek...

Ogarnia Augusta niewysłowiona tęsknota za nią. Gdyby teraz mógł staruszkę objąć i przeprosić. Ale już dawno jej nie ma.

Oczy ma wilgotne. Czuje się tak bardzo sam. Wie, że nikt go dzisiaj nie odwiedzi. I on nigdzie nie pójdzie. Do obozu kawał drogi. Za późno zresztą: wilia za oknami.

Wtem —

— uchyliły się nieomknięte drzwi i w rombie światła, który wbił się w ciemność pokoju, August



ujrzał Tima. Kot stanął na progu nieruchomy, oczekujący. Jego okrągłe ślepia lśniły, jak dwa szklane smaragdowo-srebrzyste paciory.

I stała się rzecz niezwykła. Sierżantowi Tłołce przywidziało się, że przedzierzgnął się w Gustlika z pasieckiej osady, a w szeroko rozwartych oczach Tima, których blask stopił się z pełnym bólem i trwogą wzrokiem matki, wyczytał głęboki wyrzut:

— Bez co ty dla mnie taki, Gustlik, no bez co? Szarpnęło Augustem.

Cichym, pokornym głosem przywołał Tima. Ten, jakby ociągał się chwilę, ale już wskoczył na łóżko i przywarł do Augusta.

Usypiając błogo, jak dziecko, z kotem w ramionach, czuł sierżant Tłołka, jak z jego umęczonej głowy i zgorzkniałego serca spływał wszystkich żal, jaki nosił w sobie do Boga, do ludzi, do matki nawet, wreszcie do siebie samego.

Nad cichym, obcym Anlaby, jak ongiś nad rodzinnymi Pasiekami, skrzyło się niebo tysiącem gwiazd i chłonęło unoszące się ku niemu dźwięki starej, czarownej kolędy.

... Cicha noc... święta noc...

Mira Lampe-Sławińska

Najładniejszy podarunek na GWIAZDKĘ I NOWY ROK

Perfumy, woda kolońska 44 i inne wody kwiatowe, mydła toaletowe na lanolinie najlepszej jakości W PRZEŚLICZNYCH OPAKOWANIACH z plastyku

Kupujcie bezpośrednio w wytwórni:

INDÚSTRIAS COSMÉTICAS FRANCEZAS

Rua Vitorino Carmilo, 330, São Paulo. — Tel.: 52-4095

Zakupy w São Paulo wysyłamy do domu, na prowincję wysyłamy pocztą za zaliczeniem.

PARANA

w literaturze polskiej

MIECZYSLAW LEPECKI

Przedruk z nieznacznymi skrótami z "Przeglądu Kulturalnego" za
zezwoleńiem autora.

Do Parany udawało się wielu polskich pisarzy, ale przeważali pośród nich publicyści, badający stosunki polityczno-społeczno-geograficzne pod kątem widzenia informacyjnym. Dlatego też Parana ukazuje się w naszej literaturze głównie jako temat opisu. Rzadko i tylko w okresie późniejszym przedstawia się nam również jako arena, na której rozgrywa się akcja polskiej powieści. Ale odnajdujemy ją i pod taką postacią.

Pierwszym Polakiem, który wyruszył do Brazylii w celu napisania o niej książki, był Adolf Dygasiński. Wysłał go tam w roku 1890 "Kurier Warszawski" polecając zbadanie tego kraju, jako miejsca polskiej emigracji. Z podróży nadesłał szereg artykułów, z których zbioru powstał reportaż pod tytułem "Listy z Brazylii" (Warszawa, 1891). Głębokim odczuciem w nich ludzkiej nędzy budził sumienia i skłaniał szerokie masy społeczeństwa do zainteresowania się nabrzmiałym podówczas problemem emigracji.

Następnym z kolei przygodnym podróżnikiem był ks. Zygmunt Chelmiński, który napisał o swojej kilkutygodniowej podróży dwa okazałe tomy pt.: "W Brazylii" (Warszawa, 1892). Jego książka, to suche i dość bezbarwne sprawozdanie z podróży, pozbawione tej serdecznej troski o los emigrantów, którą tak głęboko były przepełnione "Listy z Brazylii" Dygasińskiego.

Piękny ślad po swoich podróżach, odbytych w latach 1891 — 1892, pozostawił Antoni Hempel. Wydana przez niego książka "Polacy w Brazylii" (Lwów, 1894) jest pełna dramatycznych opisów piekła, jakie przechodzili nasi chłopcy w okresie "gorączki brazylijskiej". W odniesieniu do emigracji zajął bezstronne stanowisko. Nie widział w ówczesnych stosunkach społecznych, panujących na ziemiach polskich, sposobu jej zahamowania. W swych poglądach zbliżał się do zwolenników "mniejszego zła", to znaczy takich, którzy uważali, że skoro emigracja istnieje, a nie można zapobiec powstawaniu jej przyczyn, to należy się nią zająć i stworzyć emigrantom znośniejsze warunki.

Józef Siemiradzki, profesor Uniwersytetu Lwowskiego, został wysłany przez galicyjski Wydział Krajowy do południo-

wej Brazylii, aby zbadać na miejscu przyczyny wzmożonej emigracji, która zaczęła się właśnie szerzyć w Galicji. Rezultatem jego ośmiomiesięcznej podróży było wydanie obszernego dzieła p. t.: "Szlakiem wychodźców" (Warszawa, 1900), w którym uporządkował wszystkie wiadomości o emigracji polskiej w Brazylii, rozproszone do owego czasu po czasopiśmie i chaotyczne. Z bezstronnością, nie reagując na naciski swego otoczenia, dał rzeczywisty obraz stanu polskiego wychodźstwa w Paranie z końca ubiegłego wieku. Jego książka zwróciła uwagę społeczeństwa polskiego we wszystkich trzech zaborach na żywiołowe koncentrowanie się Polaków w Paranie.

Stanisław Kłobukowski podróżował po Brazylii i przebywał w niej przez lat kilkanaście. Wydał "Wspomnienia z podróży" (Lwów, 1899), które po uzupełnieniu opublikował po raz drugi pod tytułem "Wycieczka do Parany" (Lwów, 1909). Kłobukowski był głównym inicjatorem utworzenia w Paranie "Nowej Polski". W swej książce starał się podkreślać znaczenie Polaków w Brazylii i niejednokrotnie robił to z przesadą. Niemniej jednak jego opisy osad są ściśle. Interesowali go głównie ludzie, a kraj tylko jako miejsce osadzania się Polaków. Przyrodą zajmował się mało. Na podkreślenie w jego książce zasługuje pierwszy w literaturze polskiej opis wódospadów na rzece Iguaçu (Cataratas do Iguaçu), większych od Niagary.

Roman Dmowski, który udał się do Parany w roku 1899 na skutek zainteresowania się koncepcjami lwowskimi o "Nowej Polsce", szerzonymi przez Towarzystwo Handlowo-Geograficzne, pozostawił rzecz publicystyczną "Wychodźstwo i osadnictwo" (Lwów, 1900) oraz szereg artykułów w "Przeglądzie Wschodnim". Dawał w nich wyraz poglądom, że Polska jest skazana na emigrację sezonową do Niemiec albo, gdyby Niemcy z jakichś względów rak polskich nie potrzebowały, na emigrację zamorską. Twierdził, że Polska sama nie potrafi zatrudnić swojej ludności.

Chłodno ustosunkował się do emigracji w Paranie Artur Gruszecki, aczkolwiek samo jej zjawisko uważał za rzecz naturalną. W swej książce "W kraju palm i słońca" (Kraków), będącej zbiorem re-

portaży drukowanych w latach 1899 — 1900, zaatakował ostro dra. Józefa Siemiradzkiego za jego rzekome przecenianie elementu polskiego w Brazylii, a ponadto potępił go za przetłumaczenie brazylijskiej broszury propagandowej p. t.: "Opis stanu Parany" (Lwów, 1896), przedstawiającej ten stan w zbyt różnych kolorach.

Gruszecki spotkał się w Kurytybie z Romanem Dmowskim i odbył znaczną część podróży po Paranie razem z nim. W tym czasie zapewne wyłagł się ich wspólny pogląd na kwestię emigracji.

Podobnie jak Dygasiński, również i Gruszecki poruszał problemy emigracji i życia polskich osadników w Paranie nie tylko we wspomnieniach z odbytej podróży, ale w innych utworach. Między innymi napisał "Na drugą półkulę" (Warszawa, 1904).

Pod koniec ubiegłego wieku zwiedził Parane Stefan Barszczewski, długoletni współpracownik "Kuriera Warszawskiego". Oprócz wydrukowania wielu artykułów, wydał w roku 1925 książkę p. t.: "Na ciemnych wodach Paragwaju", ale o Paranie w niej nie wspomina.

Pisząc o Paranie jako temacie w literaturze polskiej nie sposób nie wspomnieć o "Panu Balcerze w Brazylii" Marii Konopnickiej. Autorka wystrzega się starannie wymieniania nazw geograficznych. W "Panu Balcerze" jest mowa o górach, stepach, rzekach, portach i miastach, ale wszystko to są góry, stepy, rzeki, porty i miasta bezimienne. Stąd, trudno powiedzieć, czy akcja poematu rozgrywa się w Paranie, czy też w jakiej innej części Brazylii.

Konopnicka odtwarza w swej książce niektóre sceny opisowe z wielką intuicją. Szczególnie opis lasu dziewiczego pozwala zapominać o tym, że autorka sama go nigdy nie widziała na oczy. Również odczucie nostalgii, to znowu radości ze spotkania dawno nie widzianych rodaków są u niej nieporównane i zadziwiają prawdą. Jeśli chodzi jednak o stosunki panujące w ówczesnej Brazylii, to w ich opisach widać raczej Polskę, a nie Amerykę Południową.

Szczególnie rażące jest używanie w stosunku do krajowców nazwy "Murzyni". W "Panu Balcerze" nie ma właściwie innych wieśniaków brazylijskich, jak Mu-

rzyni, co nie odpowiada rzeczywistości. Również scena napadu małp na naszych chłopów nie mogła się zdarzyć, gdyż małpy na ludzi nie napadają, a już nie do pomyślenia jest, aby rzucały na nich kijami.

Z innych książek o Paranie, wydanych przed wybuchem pierwszej wojny światowej, można wymienić jeszcze dwie: — "Brazylię" Aleksego Kurcjusza i "Polskie kolonie rolnicze w Paranie" Ludwika Włodka.

"Brazylia" (Warszawa, 1911) jest kompilacją z dzieł obcojęzycznych, w której spostrzeżeń oryginalnych właściwie się nie zauważa. Zawiera dość dużo informacji o roślinach uprawnych i prowadzeniu gospodarstwa. Z jej kart widać pewną niechęć do opisywanego kraju.

Książka "Polskie kolonie rolnicze w Paranie" (Warszawa, 1911), jest interesującym dziełem, dającym przejrzysty obraz tego, czym była polska Parana w pierwszym dziesiętku lat bieżącego wieku. Włódka interesowała w przeciwieństwie do wielu jego poprzedników głównie zagadnienia gospodarcze, a nie przyroda opisywanego kraju i obyczaje jego mieszkańców. Stąd można znaleźć w niej wiele danych o możliwościach rozwoju ekonomicznego kraju, o rynku pracy i warunkach, w jakich się ta praca odbywała.

Pozycją cenną z tego okresu jest również książeczka Michała Pankiewicza p. t.: "Z Parany i o Paranie" (Warszawa,

1913). Jako jeden z głównych entuzjastów polskiej Parany, wydał ją Pankiewicz z myślą zachęcenia polskich chłopów do osadzania się w tym stanie.

W okresie dwudziestolecia Parana pod względem publicystycznym była już bardzo opracowana, stąd też nie powstawała potrzeba kierowania do niej specjalnych ekspedycji typu dziewiętnastowiecznego. Ponadto znajdowała się ona wówczas już poza nurtem emigracyjnym, który w pierwszych latach naszej niepodległości prowadził prawie wyłącznie do Ameryki Północnej, a od roku 1934 został praktycznie do Brazylii zupełnie wstrzymany. Dlatego też i zainteresowanie Paraną w Polsce miało już inny aspekt. Ostatnim eksploratorem dawnego typu był Emil Lucjan Migasiński, który przybył do Parany w roku 1922 i po rocznym pobycie wydał w Polsce informacyjną książkę p. t.: "Polacy w Paranie współczesnej" (Warszawa, 1923).

Książki, które ukazywały się później, wychodziły przeważnie bądź spod piór urzędników polskich, zatrudnionych w Kurytybie, bądź też osób przebywających w Paranie jako stypendyści. Rzadko zjawiali się w Paranie publicyści czy też literaci zawodowi.

Poważne miejsce w literaturze polskiej o Paranie zajmuje Tadeusz Chrostowski. Zamiłowany w ornitologii, podróżował przed pierwszą wojną światową po Paranie, gdzie zbierał materiały faunistyczne dla różnych muzeów europejskich. Napisał o swoich wędrówkach piękną

książkę p. t.: "Parana" (Poznań, 1922), pełną barwnych opisów przyrody parańskiej i jej ptasiej fauny. Chrostowski stał na czele Polskiej Ekspedycji Zoologicznej, badającej wnętrze Parany w latach 1923 — 1924. Zmarł na malarię w czasie jej trwania.

Tadeusz Jaczewski, członek wyżej wspomnianej ekspedycji, napisał po angielsku "Polska Ekspedycja Zoologiczna w Paranie" (Warszawa, 1927) oraz "Ku pamięci Tadeusza Chrostowskiego" (Kurytyba, 1924). Przedstawił w nich pokrótce historię ekspedycji.

Cenną pracą z okresu międzywojennego jest książka pierwszego konsula w Kurytybie, Kazimierza Głuchowskiego. W obszernym dziele, które nie najszczęśliwiej nazwał "Wśród pionierów polskich na antypodach" (Warszawa, 1927), zebrał obszerny materiał do historii osadnictwa polskiego, a w szczególności zobrazował polski stan posiadania na południu Brazylii zaraz po zakończeniu pierwszej wojny światowej. Poszerzając pracę dra. Józefa Siemiradzkiego, sporządził mapę rozsiedlenia Polaków w Paranie, zebrał niektóre cyfry dotyczące

D. c. na str. 25

R O D O F I E L S. A.

EXCELENCIA EM

TRANSPORTE

O Apartamento Moderno exige Revestimento Moderno



UM PRODUTO DA
COMPANHIA QUÍMICA INDUSTRIAL DE
LAMINADOS
Av. Rio Branco, 57, 5.º andar — Tel.: 23-9515
Rede Int. — Rio de Janeiro
Av. Paulista, 2113 — Conjunto nacional
Tel.: 32-8312



REN-O-MAX

Ind. Eletromecânica Ltda.

Produtos de fabricação da "REN-O-MAX"

- ★ Chaves de faca abertas e blindadas, de abertura e fechamento rápidos.
- ★ Fusi-automatos (conjuntos de chave de faca e chave magnética, botoeira e lâmpada piloto na mesma caixa).
- ★ Quadros de distribuição de luz com disjuntores termomagnéticos ou com fusíveis.
- ★ Cabines e quadros para distribuição e comando de força e luz.
- ★ Cubículos blindados tipo "Unit Substantion".
- ★ Calhas com barramento tipo "Busduct".
- ★ Chaves e bases blindadas tipo "Plug in" para encaixe nas calhas.
- ★ Disjuntores automáticos de fabr. representada "Federal Pacific Electric Co."

FABRICA:

Rua Madre de Deus, 217/227 (Moóca) — Tel. 9-5669
C. Postal, 2.504 - S. PAULO - End. Teleg.: "Eletroarco"

całości emigracji polskiej do Brazylii, omówił strukturę społeczną Polonii i przedstawił kierunki jej ekspansji.

Z innych poważniejszych pozycji zasługuje na wymienienie "Wśród polskich konkwistadorów" (Warszawa, 1927), dra. Apoloniusza Zarychty. Autor jako 23-letni młodzieniec wyjechał do Parany pociągnięty chęcią zasmakowania życia w tropikach. Z tej jego wędrówki i z doświadczeń nauczycielskich w szkołach polskich w Irati i Marechal Malet powstała urocza książka, która mimo ubiegłych już od jej wydania dziesiątków lat nic nie straciła na swojej świeżości. Zarychta jest w niej entuzjastą zaradności chłopów polskich w kraju podzwrotnikowym i porównuje ich z anglosaskimi pionierami w Ameryce Północnej.

"Ziemia Świętego Krzyża" (Warszawa, 1929) Jerzego Ostrowskiego, to książka, w której autor zajmuje krytyczne stanowisko do wielu opisów Parany. Również leje w niej nieco zimnej wody na głowy entuzjastów "Nowej Polski", pomniejszając i liczbę i znaczenie Polaków w tej części Brazylii.

Jerzy Ostrowski wydał ponadto "Brazylię" (Warszawa, 1933) oraz powieść z życia emigrantów polskich w Brazylii p. t.: "Kobuz" (Warszawa, 1931) i opowiadanie "Cathangora, król Botokudów" (Warszawa, 1931).

Wybitny pisarz podróżniczy, Janusz Makarczyk, również wędrował po Brazylii. W roku 1927 odbył podróż po Minas Gerais, São Paulo i Paranie, z której powstała interesująca książka p. t.: "Nowa Brazylia" (Warszawa, 1929), poprzedzona bardzo pochlebną przedmową Aleksandra Świętochowskiego. Zawiera wnikliwe impresje na temat charakteru kraju i jego mieszkańców. Makarczyk, który uprzednio zwiedził ośrodki polskiej emigracji w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, znalazł w Paranie wiele materiału porównawczego.

Po wieloletnim pobycie w Paranie wrócił do Polski Franciszek Łyp i wydał obszerne dzieło informacyjne p. t.: "Brazylia" (Warszawa, 1930). Na pierwszym miejscu porusza w nim problemy ekonomiczne, przytaczając dużo danych statystycznych.

W roku 1928 znalazł się w Paranie młody człowiek z Poznania, który robił zbiory ornitologiczne dla muzeów europejskich. Nazywał się Arkady Fiedler. Włóczył się po lasach górnego dorzecza rzeki Ivaí, zaglądał do licznych tam polskich osadników, gawędził, odwiedzał kabokli, polował. Lubił zwierzęta. Gdy tylko mógł, gromadził je przy sobie, oswajał, obserwował. O tych swoich przyjaciółkach robił notatki, aż wreszcie napisał jeden, potem drugi artykuł i wysyłał do Warszawy, do "Gazety Polskiej".

"Pewnego dnia — opowiadał mi Kazimierz Wierzyński, ówczesny kierownik

literacki tego dziennika — schyliłem się do kosza, z którego chciałem wyjąć omyłkowo rzuconą notatkę. No i zobaczyłem tam rękopis, beztrząsco odrzucony. Zainteresowało mnie w nim jakieś zdanie o zwierzętach. Zacząłem czytać..."

Ten rękopis w koszu redakcyjnym był właśnie jednym z artykułów Arkadego Fiedlera. Do Parany, nad daleką rzekę Ivaí poszła depesza, pieniądze. Los różnie się plecie, prawdziwy talent podobno zawsze zwycięża, ale schylenie się Wierzyńskiego do tego okrutnego kosza redakcyjnego na pewno losowi pomogło. Z niego urodziły się piękne "Bichos, moi brazylijscy przyjaciele" (Poznań, 1935), jedna z najlepszych książek naszego czolowego podróżno-pisarza.

Wśród literatury polskiej o Paranie znajdujemy też kilka utworów na pograniczu opisu i beletrystyki. Nie bez pewnego zdziwienia wielu przeczyta, że rubrykę tę otwiera Antoni Słomiński. Dotarł on do Parany w roku 1925 i opisał podróż do niej w milej książce p. t.: "Pod zwrotnikami", nie wiedząc na pewno, że identycznego tytułu użył kilkanaście lat przed nim Witold Szyszyło do swoich wspomnień o podróży po Antyllach.

Beztrząski uczeń szkoły morskiej w Gdyni, Zbigniew Zaniewicki, marynarz ze "Lwowa", pierwszego okrętu pod polską flagą, który zawinął do parańskiego portu Paranaguá, też został uwiedziony słońcem. Z jego smutnych przygód i bląkania się po plantacjach powstała ni to opowieść, ni to książka podróżnicza p. t.: "Zielone piekło", w której odziera z uroku egzotyzm krainy tropikalnej na długo jeszcze przed rewelacyjną książką Petra Fleminga ("Przygoda brazylijska").

Bohdan Pawłowicz spędził dwa lata w Paranie i po powrocie do Polski wydał obszerną powieść z życia osadników polskich w lasach dziewiczych p. t.: "Pionierzy" (Warszawa, 1930), a następnie drugą p. t.: "Wojciech Mierzwa w Paranie" (Lwów, 1938).

Osobna pozycja to Zbigniew Uniłowski. Stypendysta międzywojennego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, ulubiony gość urzędników konsulatu polskiego w Kurytybie i przyjaciel całej tamtejszej polskiej inteligencji, bląkał się po Paranie z górą rok. Jego książka "Żyto w dżungli" (Warszawa, 1936) mało mówi o kraju, ale w szczególny sposób przedstawia jego nastrój, zwłaszcza w porze deszczowej. Olbrzymie przestrzenie przebywane w krytej budą bryce, zaprzężonej w osiem mułów, poprzez wyboiste drogi i pustkowia zamieszkałe przez naszych chłopów, przedstawia Uniłowski sugestywnie i autentycznie. Jego towarzysz, o którym pisze, że miał "dupotwarz", to śmieszny, ale zdolny człowiek (już nie żyje) o gołębiej sercu, który szyderstw Uniłowskiego nie brał na serio i przyjaźnił się z nim do ostatka.

Kazimierz Warchałowski wydał "Pica-dę" (Warszawa, 1930), w której opisał

swoją podróż na górę Taio, miejsce święte Botokudów. Ponadto jako redaktor "Polaka w Brazylii" był autorem wielu opowiadań zamieszczanych zarówno w tym piśmie, jak i w wielu krajowych.

Bohdan Teofil Lepecki napisał ciekawy opis podróży do Argentyny i Brazylii, odbytej w latach 1930 — 33, p. t.: "W miastach i puszczech Ameryki Południowej" (Warszawa, 1934). Paranie poświęca w niej najwięcej uwagi, przedstawiając obiektywnie nie zawsze wesoły los naszych osadników.

Ojciec kolonizacji polskiej w Paranie, Edmund Sebastian Woś-Saporski, napisał po portugalsku "Pamiętniki", które wyszły w polskim tłumaczeniu z przedmową. M. Lepeckiego w Warszawie w roku 1938. Oświecla w nich dokładnie początki osadnictwa polskiego w Paranie, którego sam był inicjatorem. Niestety, nie posiadał ani daru narratorskiego, ani zmysłu obserwacyjnego, stąd książka jego sprawia czytelnikowi zawód.

Do niezwykle ciekawych i cennych pozycji należy zaliczyć szesnaście pamiętników napisanych przez polskich osadników parańskich i santakatarskich. Zostały one włączone do grubego tomu, wydanego przez Instytut Gospodarstwa Społecznego p. t.: "Pamiętniki emigrantów z Ameryki Południowej" (Warszawa, 1939). Nie ze względu na formę, surową i pozbawioną wszelkiej ornamentyki, lecz na treść dramatyczną i przejmującą, należą do prawdziwych pereł polskiej literatury pamiętnikarskiej o Paranie. — Wspomnienia spisywali w latach 1935 — 1936 przeważnie ludzie starzy, traktując najobszerniej zdarzenia ze swej młodości, która przypadała właśnie na okres "gorączki brazylijskiej" lub lata po rewolucji 1905 roku. Dzięki temu zbiorowi pamiętników, pisanych przez ludzi prostych, posługujących się piórem z trudnością, lecz wypowiadających się szczerze i z głębi serca, dzieje emigracji polskiej stają się przejrzyste i nie mogą być przez nikogo zafałszowane.

Wśród innych książek można jeszcze wymienić: "Dwadzieścia lat w Paranie" (Warszawa, 1938) Marii Ficińskiej, zbiór poezji Szymona Kosobudzkiego, opowiadania Mieczysława Nnostitz-Jackowskiego ("Maria Antonina", "Tumba", "Ojciec nasz") oraz "Drogę pielgrzymów" (Potulice, 1938) — wspomnienia z podróży ks. Ignacego Posadzkiego.

Druga wojna światowa przecięła polską twórczość podróżniczą dotyczącą Parany na lat bez mała dwadzieścia. Do roku 1959 nie ukazała się ani jedna książka o tym kraju (1). Wyjątkiem są powieści Eugeniusza Grudy, należące do kategorii książek "z kluczem" ("Saudade", "Zły Bóg" "Mboi") oraz doskonała "Brazylia i jej dzieje" (Kraków, 1947) pióra dra. Tadeusza Grabowskiego, międzywojennego posła w Rio de Janeiro, a obecnie profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Dokończenie na str. 29

Chłodny wiatr trzepał plastykiem tworzącym rodzaj dachu nad hamakiem, aż w pewnej chwili plastik zsunął się po linie i zleciał na ziemię. Promienie porannego słońca skorzystały z tego i wśliznęły mi się pod rozespiane powieki. Naciągnąłem kominiarkę na twarz, nie chciało mi się wygrzebywać z nagrzanego śpiworu. Łóżko jest z pewnością wygodniejsze ale dobrze zawieszony hamak i ciepły śpiwór wydają się przytulniejsze, są jak wysłane puchem gniazdo.

Była siódma. Jesienne liście szeleściły na drzewach, kołowały w powietrzu i lekko opadały na ziemię. W lesie i za rzeką nawoływały się **zao**: fu fu-u, fu fu-u... Gruchały gołębie, a z głębi dżungli dolatywał krzyk olbrzymiego, podobnego do głuszca, **mutumu**, przypominający do złudzenia ryk krowy: mmu, mmu, mmu-u-u.

Nie mogłem się zorientować, czy ptak znajduje się blisko, czy daleko. Głos jego wydobywał się jak gdyby z głębokiej studni.

Obok w namiocie panowała cisza. Chłopców już nie było. Ognisko dymiło jeszcze. Na różnie wisiał zamysłony, pękaty i osmolony czajnik. Perspektywa gorącej kawy była zbyt nęcąca. Wygramoliłem się z wąskiego śpiworu i poczłapałem do rzeki. Zimna kąpiel przywróciła mi przytomność.

Później wdrapałem się na wysoki piaszczysty brzeg.

Przedemną lśniła w słońcu gładka, szeroka tafla Araguai, zamknięta z jednej strony żółtym pierścieniem mielizn, a z drugiej — urwistymi wzgórzami. Dalej, aż po horyzont ciągnął się zielony dywan niskich krzewów, z których wyłaniały się rozłożyste korony olbrzymich drzew. Wysoka, błękitna kopuła nieba nakrywała jak kloszem ten wspaniały krajobraz.

Usiadłem na puszce od benzyny i popijając kawę wpatrywałem się w wysoką ścianę starego lasu. Kręta, ledwo dostrzegalna ścieżyna prowadziła tam do szeregu połączonych ze sobą długich, wąskich jezior, pozostałych po wylewie rzeki w porze deszczowej. W miarę zagłębiania się w knieję jeziora stawały się coraz węższe i płytsze, aż ginęły w bagnach. Można tu było spotkać zawsze **zao**, a w południe, tuż przy brzegu, wygrzewające się słońcu żarłoczne **trairy**.

W lesie gruchnęły strzały.

— Chłopcy natknęli się na całą rodzinną żakę — pomyślałem.

Nie miałem dziś najmniejszej ochoty na włóczęgę po lesie. Wolałem zostać w obozie.

NAD ARAGUAIA

WŁADYSŁAW DOWBÓR

Po śniadaniu nazbierałem i narażałem drzewa, pozmywałem talerze i garnki i rozplątałem kawon.

Kawonów i mandioki mieliśmy pod dostatkiem. Nic więcej nie można było dostać od tubylców.

— Nie rośnie — powiadali.

— A dlaczego nie rośnie?

— Bo trzeba zasadzić.

Kawony magazynowałem w rzece zagrzebane w piasku. Były słodkie, chłodne i soczyste.

Jedząc kawon skórki i pestki rzucałem do rzeki, obserwując w wodzie smugi rzucających się na nie ryb.

— Trzeba spróbować...

Wybrałem wędkę o stalowej linie i nasadziłem na haczyk twardą pestkę kawonu. Natychmiast wzięło. Poderwałem. Na haczyku wiła się **pirania**.

Mało się widuje tak pięknych w kształcie i kolorze ryb jak **piranie**. Są szerokie, płaskie, jasno niebieskie, mieniące się srebrem. Mają potworne zęby o piekielnej ostrości.

Zdjąłem **piranie** z haczyka, nie było to łatwe. Na stalowej linie pozostały ślady jej zębów.

Zarzuciłem jeszcze kilka razy wędkę i złapałem parę **piranii**. W końcu przestało mnie to bawić.

Zabrałem się teraz do czynności gospodarskich. Sprawdziłem naj-

pierw czy mrówki wyjadły już resztki mięsa z pancerza wielkiego żółwia, upolowanego przed kilkoma dniami i czy wyschła rozpięta na słońcu skóra kapiwary. Następnie, rozpaliłem ognisko. Gotując makaron czyściłem jednocześnie i oliwiłem strzelbę. Słowem wykonywałem wszystkie roboty, przypadające w udziale "temu kto pozostał w obozie".

Chłopcy powrócili około dziesiątej, przynosząc dwa żaku, pięć **zao** i jedną małpę.

Maruś opowiedział, że małpy przeprowały się przez jezioro. Musiały przepłynąć jednym skokiem całą szerokość jeziora. Bały się, wrzeszczały ale skakały i żadna nie wpadła do wody.

Każdy z chłopców zabrał się do patroszenia zwierzyny, którą ubił — taki już panował myśliwski zwyczaj. Dla przyspieszenia operacji zdzierali z ptaków skórę wraz z pierzem i wrzucali do rzeki na pastwę **piraniom**.

Byłem tego dnia kucharzem. Jadalospis nasz składał się z tradycyjnego ryżu, makaronu, ryb i pieczonych na różnie ptaków. Apetyty rosły z każdym dniem i doszliśmy już do niezłych rezultatów, zjadając po **zao** za jednym zamachem, a **zao** waży co najmniej półtora kilo.

Indústria Metalúrgica STELLA Ltda.



Fabryki :

rua Serra de Japí, 31 — Tel.: 9-0262 — SÃO PAULO
Via Monteiro Lobato — GUARULHOS

Biuro: — rua Conselheiro Crispiniano 53 9.º
Tel.: — 35-9180 i 35-9189

RURY KANALIZACYJNE
I PRZEMYSŁOWE

Po południu chłopcy przeprawili się łodzią na drugą stronę rzeki, żeby wytropić kapiwarę i przygotować zasadzkę na noc. Ja zaś wyruszyłem w przeciwnym kierunku — do wysokiego lasu.

O tej porze dnia i roku panuje jeszcze w tych okolicach upał ale w puszczy jest znośnie. Szedłem nie spiesząc się i od czasu do czasu zerkając na kompas, aby nie stracić kierunku. Las był niezbyt gęsty, można się było poruszać bez pomocy fakonu. Od dawna już nie padał deszcz i po ziemi zasłanej suchymi liśćmi i kruchymi gałęziami niepodobna było chodzić bez hałasu, chociaż na nogach miałem płócienne pantofle na sznurkowej podeszwie. W czasie pobytu nad Araguaia, nie spotkałem ani jednego jadowitego węża, uważałem więc, że można używać bezpiecznie lekkie obuwie. Buty myśliwskie, sięgające do połowy łydek, wisiały w obozie na drzewie, pięknie wysmarowane tłuszczem.

Minęła już prawie godzina od czasu wyruszenia na wycieczkę. Spuściwałem właśnie do żao, który wyrwał mi się niespodziewanie spod nóg, gdy wyszedłem na wąskie jezioro leśne.

Spodziewając się kaczek lub kapiwary stąpałem ostrożnie wzdłuż brzegu, okrążając gęste krzaki zwisające nad taflą jeziora, gdy raptem zobaczyłem tuż przed sobą sterzące z wody nozdrza i oczy wielkiego żakare. Widział mnie już z pewnością od dawna i gotów był dać nura w każdej chwili. Uniosłem woli strzelbę i wypaliłem. Żakare zwinął się, pokazał biały brzuch i znikł w mętnej głębinie. Wiedziałem, że postrzał był śmiertelny.

Po pewnym czasie krokodyl wychylił się z wody, wlaź w trzcinę po przeciwnej stronie jeziora i znieruchomiał. Miał ze dwa metry długości, bardzo mi zależało na jego skórze.

Spróbowałem przejść jezioro w bród ale było w tym miejscu za głębokie. Idąc wzdłuż brzegu natrafiłem na wielkie drzewa, które zwaliły się w poprzek jeziora. Przeprawiłem się bez trudności na drugą stronę i wkrótce odnalazłem swego żakare. Jeszcze się ruszał ale były to jego ostatnie podrygi. Nie chciałem popsuć skóry gada strzelając z dubeltówki, a pistoletu nie miałem ze sobą.

Zaryzykowałem, wszedłem do wody po kolana i uchwyciłem go moc-

no za koniec ogona, przygotowany na gwałtowną reakcję. Ale już nie żył. Wyciągnąłem go na brzeg, był potwornie ciężki.

Zaznaczyłem miejsce obłupując ze wszystkich stron korę na jednym z drzew i ruszyłem w głąb lasu. Żao odzywały się ze wszystkich stron; zacząłem je podchodzić, gdy posłyszałem basowy śpiew mutumu. Udałem się w kierunku tego śpiewu, zwalniając stopniowo krok, żeby nie spłoszyć ptaka.

Znowu ukazało się jezioro. Miało tu ono nie więcej, niż piętnaście metrów szerokości. Mutum beczał w lewo za łagodnym wzniesieniem po przeciwnej stronie jeziora.

Mętna woda miała podejrzany wygląd ale pokusa była zbyt wielka. Zawiesiłem naboje na szyi, uniosłem strzelbę i wszedłem do jeziora, przesuając ostrożnie stopy po bulgoczącym, bagnistym dnie. Woda sięgała mi po pas, gdy poczułem nagle straszliwy wstrząs. Zdawało mi się, że znajduję się na ringu i uderzono mnie w szczękę dobrze wymierzonym sierpowym. Zanim zdążyłem się opamiętać nastąpił nowy wstrząs.

Stałem w wodzie z rękami podniesionymi do góry trzymając kurczowo dubeltówkę, niezdolny do jakiegokolwiek reakcji ani do myślenia. Wkrótce dosięgnął mnie trzeci cios.

Nie wiem jak długo trwał ten stan całkowitego sparaliżowania ciała i woli. Wiem tylko, że w pewnej chwili

li wrzasnąłem dziko i wyskoczyłem na brzeg. Teraz dopiero uświadomiłem sobie, że wstrząsy były wyładowaniami elektrycznymi wysokiego napięcia, którymi poczęstowała mnie raja. Trzy wyładowania po sześćset pięćdziesiąt volt każde i do tego w wodzie to nie bagatela. Do dziś nie rozumiem jak wyszedłem z tej opresji cało.

Odechciało mi się mutumu, odechciało mi się skóry żakare. Biegłem do obozu na przełaj najkrótszą drogą, nie mogąc otrząsnąć się z wrażenia.

R O D O F I E L S. A.

E X C E L Ê N C I A E M

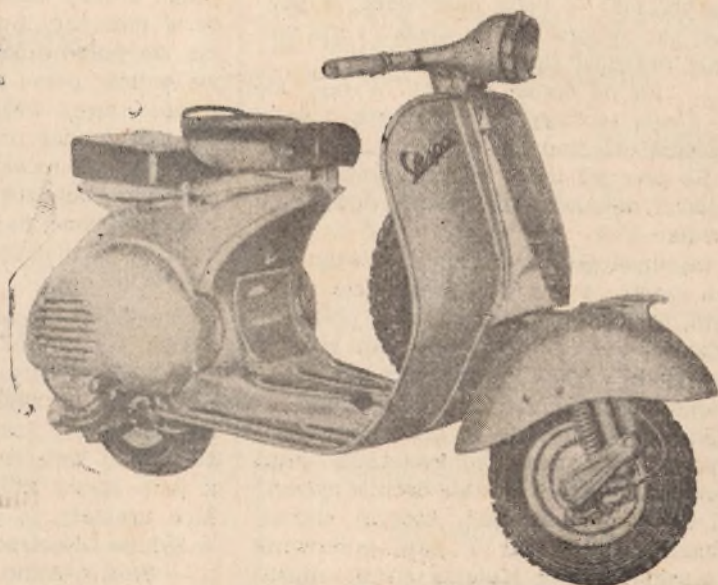
T R A N S P O R T E

Construções Mecânicas Rozenowicz Ltda.

Transportadores
Alimentadores
Elevadores
Peneiras
Moinhos de martelos
Estruturas metálicas

Rua da Balsa, 10 PIQUERI
Cx. Postal, 11.912 — SÃO PAULO

Vespa



STARMOTOR COMÉRCIO E IMPORTAÇÃO S. A.

Rua Martins Fontes, 185. - Tel.: 32-2027 - SÃO PAULO

Czytelnicy nasi piszą....

List do pułkownika Koszutskiego

Jakże nie odpowiedzieć na śliczny artykuł o Oberlangen, w "Przeglądzie Polskim"? Jak po piętnastu latach, już nie jak to w wojsku się wymagało, a tak zupełnie po cywilnemu, po domowemu, nie powiedzieć raz jeszcze tego, co się wówczas cisnęło na usta poprzez szalone od szczęścia serce:

— Dziękuję raz jeszcze, panie pułkowniku! Dziękujemy!...

Więc to tak wyglądało z waszej strony, w oczach wojska, dywizji... Już trochę wiedziałam od Jamara z jego "Śladami Gąsienic Pierwszej Dywizji Pancerniej", jak to było. Ale to jest jeszcze co innego. Tam pisał ktoś trzeci, jak Pan właśnie "zamierzał zdjąć buty, które mężczyźni nieco nogi" po tygodniach harówki i walk, kiedy podporucznik Papée przybył z nagłą wiadomością o polskim obozie w Oberlangen. Tu pisze Pan sam, bezpośrednio.

Jakże mało wiedzieliśmy wówczas o sobie! My z naszym elementarnym wykształceniem wojskowym, wyobrażaliśmy sobie, że wasz wyjazd do Oberlangen musiał być decyzją przynajmniej trzech generałów i całego sztabu. Myśmy nie wiedzieli, że u was obowiązywały poza rozkazami te same odruchy, które obowiązują nie w regulaminie, a w życiu.

"Pamiętacie, jak to wtedy wiosną pachniało?" — pisze pułkownik. A później tak zwyczajnie, po ludzku i nie według prawideł służby polowej:

— "Idź do diabła, Papée! Wynos się — z całą tą "wyprawą krzyżową o wyzwolenie uciśnionych."

Bo przecież mógł was sprzątnąć byle oddział niemiecki, byle przeciwpancerne działko.

Myśmy tego nie wiedzieli, witając wasze czołgi. A wy nie wiedzieliście nic o tym, co kryło się za "malutką postacią, odzianą w długie, prawie do ziemi płaszcze żołnierskie". Nie wiedzieliście z jakiego to piekła zrodziło się owo Oberlangen, z jakiej siły, rozpacz i grozy wyniesionych z Warszawskiego Powstania, zbudowane były te wszystkie drobne sylwetki młodych dziewcząt, którym starszy strzelec Witkowski i pan pułkownik Czapski i doktor Kulesza i inni, nieślicie nieoceniona, niewymierna wartość:

— Jesteście wolne!

Co tam!... Minęło. Zapomniało się. Inne przyszły zmartwienia, tamto pozo-

stało dla nas, wtajemniczonych. Dla pana, dla mnie, dla mojej matki która tam była ze mną, dla Witkowskiego, dla tych którzy jeszcze żyją. Myśmy zaprzysiężni. My rozumiemy. Inni nie mogą.

Cieszę się, ogromnie się cieszę, że tak daleko od "krainy utraconych snów, gdzie niezadługo tonąć będzie w kwiatkach polski biały sad", o którym pan tak ślicznie pisze, odnaleźliśmy się, jak gdyby w innym świecie. My wtajemniczeni, rozeznający się po znaku słowa dla nas zrozumiałego.

Co tam!... Z tego drobnego fragmentu Pana przygód wojennych, z tego mojego wielkiego przeżycia jedynego w życiu — uwolnienia przez dywizję, właśnie przez dywizję — kiedyś wyrośnie historia. Taka sama jak ta z pod San Domingo i Samosierry i z Rokitny i z Cudu nad Wisłą.

To na później. Dziś, dla nas, najbardziej historycznym jest spontaniczny okrzyk Witkowskiego, którego Pan nie zapominał:

— Rany boskie, ile tu bab!

Tak, tak... Historia. Już dziś to jest przeszłość i zacisk wokół serca, chorego na niemożność powrotu. Czemuż tak się to zakończyło, panie pułkowniku?

Uwolnienie Oberlangen. Fragment dla pana, drobne zaawanturowanie się obfite w momenty humorystycznego zatarcia się pułkownika Czapskiego we własze czołgu, pełne trudu decyzji dowódcy i pełne czegoś wilgotnego koło oczu, kiedy pan do nas przemawiał. Tak dalece fragment, że nawet pewne szczegóły pan pomylił. Nic dziwnego. Ale może chce pan posłuchać, panie pułkowniku, moich sprostowań i uzupełnień? I moich wrażeń? Oto one:

Ten dzień w którym się pan "zadecydował po stronie awantury", nie był dniem 16 kwietnia. To był dzień 12. Napewno. Ja wiem. Ja tego nie mogę nie pamiętać. Jak nie mogę nie pamiętać takiej śmiesznej, dziecinnej sprawy, z tych spraw które w obozach jenieckich urastały do głębokiej wiary nawet w Sybille i Nostradamusów:

— Siostró Anno, — bo byłam wtedy "siostrą Anną" jeszcze ze szpitala w Warszawie. — A który to kwietnia dzisiaj?

— Dwunasty, Stasiu.

— No, a oni nie przychodzą i nie przychodzą...

Bo tak było, żeśmy szukały rady i pociechy wszędzie. U żywych i umarłych. I jakiś umarły duch powiedział, że nas dwunastego uwolnią alianci. Ci alianci, o których Niemka-poganiaczka Geritze mówiła:

— Biedne! Jesteście zagrożone dostaniem się w ręce aliantów, a oni wszystkich mordują!

Jeszcześmy przed śmiercią z waszych rąk, dostały po kawałku brukwi. Ze to witaminy. Ogromnie już wtedy były dobre obie Niemki, Geritze i "Mojza". Chleba nie było od tygodnia, ale brukiew dały.

A później któregoś dnia baraki przysiadły jak wystraszone kury, bo właśnie leciał w powietrze niedaleki most na kanale. I zaraz potem przybiegł wynędzniały Wioch i gęsto trąkotał tym co rozumiały, że polskie oddziały niedaleko.

— Polskie oddziały?

Później jeszcze pustka oczekiwania. Wreszcie kiedyś — wszystkie do okien:

— Ej, dziewczyny! Wojsko! Jakiś czołg wali od Holandii na Lathen!

Widzę i ja. W szpitalu ciężko ranne, nie mamy obie z matką chwili odpoczynku, ale na moment jesteśmy i my przy oknach. A potem czyjś krzyk:

— Matko Boska! Biało-czerwony znak na czołgu!

Później serie strzałów. Jedne po drugich. Zabroniono nam wychodzić z baraków. To "coś" ma się rozegrać bez świadków. Trzask rozwalanej bramy, zapominamy jakoś o biało-czerwonych znakach. Pewnie się której przywidziało.

— What the nationality?

— No to przecież miał być polski obóz!

Witkowski jest głęboko zdumiony. Dopiero później się to wyjaśnia. I zaraz potem ten historyczny okrzyk na temat "bab". Tyle ich jest! I wszystkie naraz dostały kołowaczyny. Właśnie tak, jak to pan napisał.

Było nas dużo. Więcej niż Pan podaje, bo aż 1726 i 34 w izbie chorych. Wszystkie ranne z Powstania. A niemożliwe aż 9 sztuk. I komendantka Jaga też się inaczej nazywała, nie Kossowska. Ale mniejsza o to. Nie to jest ważne.

Ważne że i my i doktor Dobrowolska byliśmy bezradne. Niemcy zrabowali nam wszystkie lekarstwa jakie miałyśmy z Warszawy. Szczęściem gdy już pan odjechał, ambulanse zabrały najcięższe ranne, wraz z małą łączniczką Stasią, która od września z przestrzeloną miednicą była przywiązana do łóżka. Słyszałam że się później świetnie wyleczyła.

Potem już była codziennie niedziela. Na izbie chorych tłok się powiększył, bo się od przejedzenia pobuntowały wszystkie wątroby, ślepe kiszki i żołądki, ale kto by tam na to zważał! Były ważniejsze sprawy.

Polacy na smutek układają piosenki.
Na radość też. Śpiewaliśmy taką oto,
wątpliwą co do talentu wartość:

*Doprawdy w głowie się nie mieści,
Jak dziwne losy dał nam Bóg:
Zaledwie wczoraj, tylko wieści
Przynosił armat huk.*

*Zaledwie wczoraj los nas złościł
I beznadziejnie wólkę się czas,
Dzisiaj śpiewamy z radości:
Nasi uwolnili nas!*

*Doprawdy w głowie się nie mieści,
Jak dziwne losy dał nam Bóg:
Wszystko się dzieje jak w powieści,
Przed nami tysiąc dróg!*

*Gdziekolwiek życie wieść nas będzie
I jakkolwiek dołą da,
Miłe nam zawsze i wszędzie
Jest wspomnienie tego dnia.*

*Już przeminęły niewoli dni,
Nad Oberlangen dumny orzeł lśni!
Szandar powiewa, z serc radosny wstaje
śpiew:
"Jestem już wolna! Już nie jestem*

KFG!" *)

Fabryka płaszczy z nylonu

wysokiej jakości

ABMA LTDA.

Sprzedaż po cenach fabrycznych

we własnym sklepie przy ulicy

Bento Freitas, 192, — Tel.: 36-8295

SÃO PAULO

MIRVAINÉ

Importação Ltda.

— ★ —

Importação de relógios

Rua Cons. Crispiniano, 379

6.º Andar — Sala 604

Telefone: 35-3846

SÃO PAULO

Rozpoczęły się pielgrzymki. Ktoś od-
nalaził siostrę, ktoś matkę, inny żonę.
Część pojechała na studia.

— A! Siostra Anna! — witano mnie
potem w Brukseli i w Paryżu.

Skończyło się najgorsze. "Jesteście
wolne! I niech żyje Polska!" Tak to pan
powiedział, panie pułkowniku.

Pojechaliśmy z matką do pracy w Pol-
skim Czerwonym Krzyżu. Na waszych
terenach dywizji była centrala na całe
Niemcy. Kiedy was zabrano do Anglii,
Niemcy już nie byli takie same i rów-
niny Oldenburga posmutniały jeszcze
bardziej. Nie stało polskich znaków dro-
gowych, po polsku na elegancki kant za-
prasowanych zakładek battle-dresso-
wych, czarnych beretów. Nie stało też
nadziei na powrót do Polski.

Jeszcze później woda oceanu i delfi-
ny, które pluskały przed dziobem statku.
Obcość i dalekość.

A teraz nieoczekiwany powrót do tam-
tych dni.

"Tak uwolniliśmy Oberlangen" — czy-
tam w pana opowiadaniu.

I jeszcze:

"Biało-czerwona chorągiew rozprężyła
się na wietrze. Z szeregów płynie:
"Marsz, marsz, Dąbrowski..."

Dużo minęło lat, dużo było goryczy.
Dziś jeśli jaki uśmiech w przyszłość —
to do moich dzieci. Każdy inny — to uś-
miech wstecz. Bo przecież tamto pozo-
stało i będzie się o nim pamiętać. Coś
przekaze się i dzieciom, żeby wiedziały.

A ja panu pułkownikowi dziękuję za
tamtą awanturę z Oberlangen.

*) Kriegsgefangene — jeniec wojenny.
DANUTA WÓJCIK

O fim do outono na minha terra.

à Li Kioko

*Saudades da aréia quente
dos braços nus queimando
sob o ambôr do céu —
o ambôr virou chumbo
a praia cemitério
das miragens estivais.*

*Através dos galhos
que o vento desnuda
o sol — já sem fogo —
coa uns miseros raios
sorrisos de conforto
ao louco do rés-do-chão.*

*Alvoradas tardias
gelam bagas d'orvalho
nascem pérolas mortas
em conchas de folhas
o louco quer enfiá-las
nas cordas do seu violão.*

*As noites caem cedo
ocultam a melancolia
do fim triste dos pardais
no terraço da viúva!
adormecem como ela
de fome e pneumonia.*

Mira Carla

PARANA W LITERATURZE POLSKIEJ

Dokończenie ze str. 25

Dopiero w marcu 1957 roku pojawili się
pośród naszej Polonii parańskiej pierwsi
po wojnie polscy pisarze: Michał Rusinek
i Antoni Olcha. Rezultatem tej wyprawy
są dwie książki: "Zielone złoto" (w dru-
ku) Rusinka i "Szumią dęby nad Igua-
cú" (Warszawa, 1959) Olchy.

(1) — Nie wliczam tu książek traktujących
o całej Brazylii, względnie jej części poza Pa-
raną. Z tych ostatnich ukazały się między
innymi: kompilacyjna "Brazylia" (2 wyd.
Warszawa, 1956) Anny Tuszyńskiej. "Do zo-
baczenia, Brazylia" (Warszawa, 1956) Jana
Gitlina i "Na przełaj przez dżunglę" (War-
szawa, 1958) Gauzego. Pominąłem też włas-
ne książki o problematyce parańskiej, a mia-
nowicie: "W krainie jaguarów" (Warszawa,
1925), "Na cmentarzyskach Indian" (War-
szawa, 1926), "Ochotnicy z Brazylii", powieść
(Warszawa, 1926), "Opis stanu Parana"
(Warszawa, 1928), "W sercu czerwonego łą-
du" (Warszawa, 1928), "Opis polskich tere-
nów kolonizacyjnych w Ameryce Południo-
wej" (Warszawa, 1931), oraz "Od Amazonki
do Ziemi Ognistej" (Warszawa, 1958).

Dlaczego ten numer jest podwójny

Z przyczyn natury technicznej
Redakcja była zmuszona połączyć
nr. 5 i 6 "Przeglądu Polskiego". Nu-
mer niniejszy wydajemy wprawdzie
w zwiększonym wymiarze, rozumie-
my jednak, że dla Czytelników sta-
nowi to w pewnej mierze zawód.

W przyszłości "Przegląd Polski"
będzie się drukować regularnie.
Następny numer, który wyjdzie w
początkach lutego 1961 roku zawie-
rać będzie ciekawe opowiadania i
bogaty materiał informacyjny.

Redakcja.

R O D O F I E L S. A.
E X C E L Ê N C I A E M
T R A N S P O R T E

STANISŁAW OSSOWIECKI

(Soc. Fin. Barros-Handley)

Sprzedaż nieruchomości

Orientacja fachowa

SÃO PAULO, rua Barão de Itapeti-
ninga, 224, 1.º — Fone: 32-3131
e residência 80-7045

Z WIERSZY KAUKASKICH

Seweryn A. Hartman

ZEMSTA

Góry różowią się o słońca
zachodzie. Krew to twoja, Wartanie,
na polach śnieżnych rozlana.
Wróg strzelił nagle z zasadzki,
jeździec zwał się z konia. Bieda!
Noga jedna została w strzemieniu.
Koń przerażony wlecze ciało nieżywe.
Bismillah, głowy, głowy nie rozbijaj!
Strumień czerwony płynie po kamieniach.
O, bracie, bracie, nieszczesny!

Hej, góry, biorę was za świadka,
że nie spocznę, póki nie wezmę zapłaty
za nadzieje niespełnione, dzieci niezrodzone,
warkocze krasawicy, których nie rozplotłeś,
bracie, w noc poślubną!
Będę jak pies czarny szukał śladu
wśród pyłu dróg, w lasów gestwinie,
aż znajdę go, aż dopadnę,
gdy w gronie przyjaciół pić będzie wino.

Hej, — powiem, — odsuwając stołumbasę:
Pij z pełnej czary, człowieku.
Albowiem to ostatnia czara, z której pijesz,
bo oto krew pomiesza się z winem.

Przygoda w Mieście

Dokończenie ze strony 19

Natarczywość ta w połączeniu z poufalskością zaczynała mnie drażnić. Poruszyłem ramionami, jakby chcąc się opędzić przed nim i przyspieszyłem kroku ale człowieczek nie ustępował.
— Potrącił pana rozmyślnie, z całą pewnością.

Ogarnęło mnie uczucie niesmaku. Krew uderzyła mi do głowy. Z trudem powstrzymałem szorstkie słowo; miałem je już na końcu języka. Obdarzyłem człowieczka nieprzychylnym spojrzeniem. Kroczył spokojnie obok mnie, usiłując przekonać, że potrącenie było wynikiem zinnego wyrachowania.

— Bardzo możliwe — zgodziłem się wreszcie, gdy dochodziliśmy do ulicy Ouvidor.

— Wiem, że wykonane to zostało z premedytacją — nalegał w dalszym ciągu jakby mu specjalnie zależało, żebym spotkał się ponownie z owym wালিগরą.

Nie mogłem już wytrzymać dłużej. Zatrzymałem się i zatapiając wzrok w jego okrągłych oczach, powiedziałem:

— Drogi panie, nie jestem dziennikarzem, jestem pisarzem.

Myślałem, że wystarczy to, żeby się odczepił ale on wyraźnie się ucieszył. Skłonił głowę i zrobił ruch jakby chciał podać mi rękę. Udałem, że tego nie widzę i aby zyskać nad nim przewagę zapytałem:

— Czytał pan już moją powieść: "Ciume da Morte"?

— Nie...

Wydawał się cokolwiek zaniepokojony moim pytaniem.

— Radzę panu przeczytać — odparłem niezwłocznie, przekonany, że nadeszła kolej na zemstę.

— Dlaczego? — spytał, marszcząc czoło i szeroko otwierając usta.

— Powinien pan to zrobić jak najszybciej — ciągnąłem — ponieważ głównym bohaterem mojej powieści jest obłąkany lekarz, który twierdzi, że nie ma wariatów, ani ludzi normalnych, są tylko punkty widzenia.

— Nie rozumiem, — szepnął, obrzucając mnie podejrzliwym spojrzeniem.

— A przecież to takie proste. Olbrzym wybrał mnie jako ofiarę swojej bawolnej siły fizycznej. W jego pojęciu wszystko jest w porządku. Nawet mnie nie przeprosił, nie zainteresował się, czy nie ucierpiałem poważnie i poszedł dalej wpięty i nadęty.

— Rzeczywiście, to bardzo dziwne...

PORWANIE

Ciemna noc, chmury suną po niebie,
a ja na koniu wronym pędzę przez las.
Ciemna noc, czekałki się śmieją.
Nad rzeką śmieją się czekałki.
Pędzę przez las, pędzę przez las,
a za mną dżigitów gromada.
Każdy ma kindżał u pasa,
burki za nimi jak skrzydła,
burki czarne jak noc.
Alła, burki czarne jak noc!

Ha! kował nic nie przeczuwa.
śni mu się kuźnia ciemna,
a w kuźni ogień czerwony.
Młot o młot! Młot o młot!
Śpi kował, nic nie przeczuwa.

Hej, obudź się, obudź, człowieku,
bo dziś wykradnę ci córkę,
czarnobrewą ci córkę zabiorę.
Za dziewiątą wieś, za dziewiątą górę
wywiozę ją, krasawicę.
Tam ją pojme za żonę.

Otwórz okno, dziewczyno,
Otwórz okno pocichu.
Koń już na ciebie czeka.
Pomkniemy nim jutrzienka zapali się na niebie,
nim wszędzie słońce czerwone.
Otwórz okno i skocz na siodło.
Hej, popędzimy daleko
przez lasy, przez góry!
A za nami dżigici,
a za nimi burki
czarne jak noc!...

POTOK

W górach las, w lesie kasztany.
Na potoku most, nad nim szejtany
tańczą lezginę ognistą.
A ja w nich, ja w nich jak mgłę białą...
Alłach, woda czysta,
w wodzie peri ujrzałem.
Na kindżał kłnę się stalowy
ujrzałem ją jak ciebie.
Włos miała płowy
i oczy jak lazur w niebie...

— Nie ma w tym nic dziwnego. Był to jego punkt widzenia, który praktycznie rzecz biorąc jest dla mnie mniej szkodliwy, niż pański.

— Nie rozumiem...

— Mniej szkodliwy, ponieważ olbrzym poszedł swoją drogą, a pan stara się mnie przekonać, żebym pobiegł za nim i domagał się zadośćuczynienia. A więc pański punkt widzenia polega na tym, żebym spotkał się ponownie z owym człowiekiem, żeby wynikła awantura, i żeby mógł się pan przyjrzeć naszej nierównej walce.

Człowieczek zaczerwienił się. Następnie, wydobył z kieszeni bilet wizytowy i podał mi go, mówiąc:

— Zdaje się, że źle mnie pan zrozumiał. Jestem profesorem wydziału prawa na północy kraju.

— Bardzo mi przyjemnie poznać pana, profesorze — powiedziałem. — Ale zapewniam, że dobrze pana zrozumiałem. Nie mam jedynie ochoty zaraz po przyjeździe dostawać lanie. Nie bardzo mi to nawet przystoi jako pisarzowi. Jeśli się pan zastanowi nad tym — napewno zrozumie mój punkt widzenia.

Podąłem mu rękę na pożegnanie i odszedłem. Nie zrobiłem może nawet trzech kroków, gdy spostrzegłem z przerażeniem urcającego olbrzyma. Przebiegłem szybko na drugą stronę ulicy.

Przełożył z portugalskiego: Jan Krawczyk

było żadnego. Deszcz wisiał w powietrzu i garimpeirzy nie opuszczali swoich szafasów. Dokoła panowała głucha cisza.

Wtem z głębi selwy wynurzył się cień i przypadł do chaty:

— Canindé! Canindé!...

Wewnątrz chaty panowała śmiertelna cisza. Mieszkanki albo nic nie słyszały albo bały się pokazywać. Po chwili cień odlepił się od ściany i wślizgnął jak wąż w ciemne krzewy. Uziembło podążył za nim.

☆

Nazajutrz z rana, gdy nasi przyjaciele siedzieli w barze do sali wtargnęła duża grupa garimpeirów. Przewodził im wielki, ospowaty drab; na imię mu było Reinaldo.

— Ocho, — powiedział Słupecki — zdaje się, że to do nas.

Nie mylił się. Garimpeirzy otoczyli ich stolik.

— Zabierajcie łachy — krzyknął zdławionym głosem Reinaldo — i wynocha. Ani chwili dłużej, bo kula w łeb.

Zdecydowanym ruchem położył dłoń na kolbie rewolweru i dodał ponuro:

— Dotychczas nikogo jeszcze nie zabiłem. Ale teraz, jak mi Bóg miły, ręka mnie swędzi.

— Co się stało? — spytał chłodno Uziembło. — Umówiliśmy się przecież, że nie ruszymy się z osady dopóki nie nadejdzie lancha.

— Co się stało? — powtórzył Reinaldo. — Nie będziesz przecież grał komedii przed nami. Tej nocy wykończyłeś Bapistę. Była to zemsta za jego wczorajsze wystąpienie. Jutro rozprawisz się ze mną, pojutrze z kim innym. Bądź zadowolony, że puszczamy cię cało.

Uziembło przyjrzał się najpierw garimpeiom, następnie przeniósł wzrok na Turka. Ów stał nieporuszony za ladą, czytając obojętnie jakąś starą gazetę, ale widać było, że chciwie oczekuje wyniku zatargu.

— A gdybym powiedział wam — za-

czął Uziembło, — gdybym powiedział, że mogę każdej chwili schwytać upiora...

— Ejże, — roześmiał się Reinaldo — coś mi się wydaje, że umiesz się przechwalać.

— Nie, gdybyście mieli trochę oleju w głowie i posłuchali mnie jutro o tej samej porze upiór już by dyndał na wysokim drzewie.

— To są brednie!

— Oto moja ręka — powiedział z mocą Uziembło. — Jeżeli do jutra nie złapiemy mordercy możecie mnie nawet pokrajać na kawałki. Wszystko o co was proszę to odroczenie decyzji do jutra.

5.

Noc już zapadła głęboka, gdy we trzech zaczęli się skradać z kocią zrzecznością w kierunku chaty **madamy**. Na przedzie posuwał się Uziembło, za nim — Słupecki, a na końcu sam Reinaldo, którego garimpeirzy ze względu na brak zaufania do **estranżeirów** przeznaczili tym dwóm do pomocy i jako eskortę jednocześnie.

W pobliżu chaty przywarowali w gęstych zaroślach. Czas płynął powoli. Księżyc ukazał się na pogodnym niebie i osrebrzył słomiany dach chaty, w której panowała cisza jako, że pora była późna. Po pewnym czasie księżyc zsunął się za puszcę. Mrok natychmiast wychynął z zarośli i rozpostarł się dokoła.

Czas płynął, a dotychczas nikt się nie zjawiał ani od strony osady, ani z dzungli. Czyżby upiór co noc krążący koło baraku został przez kogoś ostrzeżony? Uziembło zaniepokojony nie wiedział co o tym sądzić.

W zaroślach grały usypiająco świerszcze, a od rzeki dolatywał monotonny rechot żab. I nic... Nagle gdzieś niedaleko buchnął strzał i potoczył się ponurym echem w zamarłej ciszy dzungli. I niemal w tejże chwili rozległy się dzikie wrzaski. Później zaległa niezmaczona, głucha i przynębiająca cisza.

Uziembło poderwał się na nogi, za nim inni i na oślep, przedzierając się przez płataninę krzaków, potykając się przez pnienie i korzenie, pobiegli w kierunku strzału. Minęli jeden szafas, drugi,

trzeci... Wreszcie koło jednej z chat dostrzegli kilkanaście uwijających się w świetle ogniska postaci. Przy ognisku leżał skrepowany Indianin. Był średniego wzrostu, silnie zbudowany, młody. Mógł mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat. Z twarzy o rysach męskich i znamionujących odwagę patrzyły oczy pełne nienawiści. Miał na sobie bawełniane spodnie i cienką, postrzępioną koszulę. Oddychał z wysiłkiem, zmęczony stoczoną przed chwilą walką. Bose stopy kopały niecierpliwie ziemię.

— Z trudem go ujęliśmy — powiedział jeden z garimpeirów. — Strzał go ogłuszył, inaczej nie dał by się wziąć żywcem. Mocny bestia i zwinnie jak pantera.

Ktoś kopnął długą, bambusową rurkę, walającą się na ziemi.

— Oto narzędzie zbrodni — powiedział — śmiercionośna **zarabatana**. Wydmuchiwał z niej zatrute strzałki.

— Następnie strzałki te usuwał z ciała, żeby nie można się było domyśleć co było powodem śmierci — dodał Uziembło. — Czy ktoś zna guarani?

Okazało się to zbyt trudne. Indianin był na pół cywilizowany, na tyle przebywał między białymi, że można się było z nim od biedy porozumieć w języku portugalskim. Przystąpiono niezwłocznie do badania. Wyznał, że nazywa się Tigoré. Odpowiedział jeszcze, następnie, na kilka pytań. Nie łudził się co do losu, który go oczekiwał. Na dalsze pytania mruzczał nieodmiennie:

— Zabijcie mnie!

Nic więcej nie mogli z niego wydobyć.

— To wystarczy — powiedział Uziembło. — Dowody są dostateczne. Opo- wiem wam teraz jak wpadłem na ślad działalności tego Indianina. Wpierw jednak zabierzcie go do szafasu. Jutro postanowimy co z nim zrobić. Z nastaniem dnia czekają nas jeszcze inne sprawy, nie koniec bowiem na tym...

Garimpeirzy spojrzeli na Uziembłą z niemym podziwem.

— Przypominacie sobie zapewne — zaczął — wieczór w barze, kiedy dowiedzieliśmy się o śmierci jednego z naszych towarzyszy. Miałem już wówczas pewien plan, niezbyt jeszcze co prawda jasny. Musiałem się przede wszystkim dowiedzieć, czy nie przebywa w osadzie ktoś obcy, ukrywający się przed władzami. Kto to mógł wiedzieć najlepiej, pomyślałem, jak nie **madama**, której lokal odwiedzają wszyscy mężczyźni w Buraco do Diabo? Porozmawiałem na ten temat z dziewczętami. Otóż dowiedziałem się między innymi, że przed kilkoma miesiącami Turek dostarczył **madamie** kobietę indiańską imieniem Canindé. Wszystkie mieszkanki burdelu zaświadczyły zgodnie, że kobieta ta była krnąbrna, nieposłuszna i rzucała się na bywalców lokalu. Sądzę, że niektórzy z was widzieli tę Indiankę.

— Tak — mruknął ktoś półgłosem. — Długo tam jednak nie bawiła.

— Istotnie — ciągnął dalej Uziembło. — W kilka dni później Turek zabrał ją pod pretekstem zwrócenia prawowitemu małżonkowi. Czy oddał — zaraz się dowiemy. Dziewczęta powiedziały, że zaraz następnej nocy po zniknięciu Indianki posłyszały czyjeś kroki, a potem dobiegło je ciche nawoływanie: "Canindé! Canindé!..." Był to niezawodnie mąż owej Indianki, której Turek mimo obietnicy nie zwrócił jej towarzyszowi. Można by się zapytać dlaczego tego nie zrobił i dlaczego Indianin krążył wokół chaty tylko w nocy? Musiał mieć zapewne powody, żeby go nikt nie widział.

Dokończenie na str. 32

PLASTICOS DO BRASIL S.A.

Rua Cons. Crispiniano, 58 — Tel.: 34-7127

SÃO PAULO — BRASIL

PRODUKCJA:

Okladziny i taśmy hamulcowe "THERMOID"

dla samochodów osobowych i ciężarówek

Dekoracyjne i techniczne płyty plastyczne "FORMICA"

Rezynty syntetyczne "PLASTIKOL"

Sylwetki zasłużonych działaczy ROMAN PAUL

M A R I A N H E S S E L

Do ostatnich dni swego pracowitego żywota Roman Paul zamieszkiwał w Marechal Mallet. Kiedy dnia 24 września 1958 r. rozszła się wieść o jego zgonie wielu przedstawicieli kolonii polskiej wyruszyło do Malletu, żeby oddać mu ostatnią przysługę. Wstrzymano ruch kołowy, wszystko się przyoblekło w ciężką żałobę. Nawet sklepy pozamykano. Pogrzeb odbył się przy udziale kilku tysięcy osób. Niedużą fioletową trumnę niesiono na ramionach przy dźwiękach marsza żałobnego Chopina. Zalzawione oczy wskazywały jaką ciężką żałobę.

Na cmentarzu dopiero w nocy skończyły się mowy żałobne, bo nie tylko ludność polska żegnała Romana Paula. Byli tam Polacy, Brazylijczycy, Ukraińcy. Byli księża obrządków rzymsko-katolickiego i grecko-katolickiego, miejscowe władze municypalne. W imieniu każdej grupy wygłaszano mowy pożegnalne.

Roman Paul zasłużył na tę spontaniczną i rozczulającą manifestację publiczną. Mieszkał w Malletcie prawie 70 lat i potrafił sobie zaskarbić ogólny szacunek i poważanie. Tam gdzie trzeba było pomóc nigdy go nie zabrakło.

Największą zasługą Romana Paula było przyczynienie się do założenia w r. 1911 Kolegium Malletańskiego, szkoły średniej, która wychowała znaczny poczet uczniów zajmujących w tej chwili wysokie stanowiska w kraju. (Przy tej sposobności rzucam myśl zorganizowania zjazdu wychowanków tej szkoły. Może z takiego zjazdu i przypomnienia koleżeńskich czasów "chmurnych i górnych" zrodziła by się jakaś wspólna akcja, dajmy na to założenie Stowarzyszenia Malletańczyków).

Drugą zasługą Romana Paula było stworzenie miejscowego szpitala, którym opiekował się do końca życia, wyposażając w nowoczesne urządzenia.

Pełnił też Roman Paul przez wiele lat honorowy urząd sędziego i dał się poznać na tym stanowisku jako człowiek sprawiedliwy, dbający o interesy obywateli.

Syn Romana, inżynier Witold Tadeusz Paul, zmarł przedwcześnie 19 maja 1952 r., piastował wysokie stanowiska przy rządzie stanu Paraná. Był to również wychowanek szkoły malletańskiej.

wpływem przerażenia wobec dokonanej zbrodni lub też pragnął przywołać w ten sposób Canindé.

— Do diabła! — zaklął Reinaldo. — Kto by się spodziewał tego po Turku. Każdy o tym wie, że nie ma on czystych rąk. Niegdyś oszukiwał na wadze kauczuku, teraz przy skupie diamentów. Ale nigdy bym nie uwierzył, że jest zdolny do zbrodni.

— A co zrobimy z Indianinem? — zapytał ktoś.

— Należy najpierw ująć Turka i skonfrontować z Tigoré. Później zadecydujemy.

Myśl podobała się wszystkim.

Rozwidniło się, ptactwo wszczęło swój zwykły rejewach poranny, zaczęto się szykować do pochodu na bar. Dwóch garimpeirów skoczyło po Indianina. Wkrótce z szafasu rozległy się okrzyki zdziwienia. Jeniec znikł. W czasie, gdy garimpeirzy słuchali z otwartą gębą opowiadania Uziembły on uwolnił się z więzów, rozpruł siomiane poszycie chaty i czmychnął.

— Zdażył już zaalarmować Turka — powiedział Reinaldo — i obaj dali nura w puszcze.

Garimpeirzy ruszyli biegiem do osady, aż ziemia zadudniła pod dziesiątkami stóp. Mrok zaczynał się zaledwie cofać przed blaskiem wstającego dnia i w osadzie wszyscy jeszcze spali w najlepsze.

W barze na ladzie leżał Turek z oczyma wytrzeszczonymi w powalę. Gardło miał poderżnięte.

— Nie mamy już tu co robić — powiedział Uziembło. — Tigoré sam wymierzył lotrowi sprawiedliwość. Jeżeli zaś idzie o niego samego to pobiegł pewno szukać Canindé. Nikt go nie znajdzie w tej piekielnej dżungli, tak jak nikt nie wie gdzie się ukrywał dotychczas, gdy mordował garimpeirów nad Rio Preto.

Andrzej Zawrotny

UPIÓR ZNAD CZARNEJ RZEKI

Dokończenie ze str. 31

I skojarzyło się to w moim umyśle z tajemniczymi morderstwami. Postanowiłem wysledzić Indianina. Udało mi się to, jak widzicie...

— Dlaczego zabił? — zapytał Reinaldo.

— Zaraz na to odpowiem. Nie będę was prowadził krętymi ścieżkami własnych domysłów, gdyż było by to zbyt zawiłe. Otóż gdzieś tam w nieokreślonym zakątku dżungli żyło sobie nad rzeką dwoje młodych Indian, na pół cywilizowanych: Tigoré i Canindé, zajmujących się zbieraniem kauczuku. Nieszczęście chciało, że odkryto w Czarnej Rzece diamenty. Turek przestał się interesować kauczukiem, przynosiło to za mały zysk. Zwiertzył lepszy interes: skup diamentów i burdel. Pewnego dnia porwał Indianinowi żonę. Tigoré pozostał mu podobno winien jakąś większą sumę. Czy tak było w rzeczywistości nikt nie wie. Indianin twierdzi, że to nieprawda. Canindé była ładna, Osman przypuszczał zapewne, że da mu dobry dochód w burdelu. W kilka dni po tym wypadku zjawił się u niego Tigoré domagając się zwrotu żony. Jaki ta rozmowa miała przebieg trudno dociec. Wiadomo tylko, że Turek zgodził się oddać Canindé w zamian za diamenty zrabowane garimpeirów. Tigoré zgodził się na wszystko. Niechętnie jednak zabił. Świadczy o tym fakt, że co noc krążył w pobliżu burdelu i wywoływał Canindé, którą przezorny Turek zdołał już ukryć gdzie indziej. Był tylko bezwolnym wykonawcą diabelskich pomysłów Turka. Osman

dowadywał się kto znalazł diamenty i w nocy wysłał do ofiary Indianina z zarabataną. Ofiara, zraniona zatrutą strzaiką, umierała natychmiast. Okrzyk, towarzyszący każdorazowemu zabójstwu, można tłumaczyć dwojako: wyrzywał się on z ust nieszczęsnego Indianina pod

RODOFIEL S. A.

EXCELENCIA EM

TRANSPORTE

CONTITEC
CIA. CONTINENTAL TÉCNICA



RURY STALOWE BEZ SZWU, CIĄGNIONE NA ZIMNO
4,0 do 50,0 m/m średnicy i 0,5 do 2,75 m/m grubości ściany
Rury bez szwu miedziane, mosiężne i aluminiowe.

Praça Sta. Helena, 26 — Caixa Postal, 8451 — Fone: 63-6054
End. Telegráfico "CONTITEC" — SÃO PAULO

Rio Grande do Sul ma glos

ACOLHIDA DISPENSADA PELA COLETIVIDADE POLONÊSA DO RIO GRANDE DO SUL AO ESCRITOR MICHAL RUSINEK

Especial para o "Przegląd Polski" em São Paulo

CONFRATERNIZAÇÃO ENTRE OS PATRIOTAS E HERÓIS DA LIBERDADE DA POLÔNIA MILENAR! — O laureado escritor polonês Michal Rusinek, durante a sua segunda visita ao Rio Grande do Sul, (grças ao cavalheirismo do ilustre engenheiro Edmundo Gardoliński e o patriotismo de sua fidalga e encantadora espósa, d. Zenia Gardoliński, que providenciaram na sua vinda até esta gloriosa Terra Farroupilha e lhe deram a devida acolhida em sua magnífica residência, verdadeira caixinha de surpresas de arte, bom gosto e cultura), foi alvo das mais carinhosas demonstrações de apreço, quer de seus patrícios polonêses, quer de seus colegas riograndenses. Entre as entidades que festejaram carinhosamente o ilustre homem de letras, destaca-se a SOCIEDADE POLÔNIA, com sede à rua São Pedro, 778, em Pôrto Alegre. O encontro do escritor Michal Rusinek com uma pleiade de seus compatriotas polonêses cobertos de glórias nos campos de batalhas, foi emocionante. O brilhante escritor polonês Michal Rusinek teve a oportunidade de ser abraçado e festejado por homens que, atendendo ao pregão da Pátria invadida pelas hordas nazistas, não tiveram dúvidas em comparecer aos campos de batalhas e lutar pela sua Liberdade, mostrando ao mundo que a Polônia é imperecível, que a Polônia é inconquistável, que a Polônia é indestrutível, que a Polônia Católica há-de continuar sobrevivendo para a glória da humanidade e garantia da própria civilização. Nos salões da Sociedade Polônia, o laureado escritor Michal Rusinek foi abraçado por uma pleiade de seus compatriotas que voltaram do campo de batalha, cumprida a nobre e sagrada missão, com a alegria do dever cumprido e com a honra levantada, trazendo o peito coberto de meda-lhas, triunfos que falam com toda a eloquência de seu heroísmo. Verificou, ali, naqueles instantes emocionantes, o escritor Michal Rusinek, que a Polônia há-de sobreviver para a eternidade dos séculos, porque os seus filhos dispersos por todos os recantos do mundo inteiro, zelam pela sua integridade e lutam pela sua Liberdade, a fim de que possa cumprir com a sua nobre missão civilizadora entre os povos que procuram dar o melhor de seus esforços pela confraternização da humanidade. Naquêles salões e naquêles instantes idescritíveis de emoção patriótica, o escritor Michal Rusinek foi festejado por uma Polônia Livre e Democrática, se encontrando entre uma Polônia Combatente, onde continua acesa a sagrada chama da Liberdade, exaltada, em todos os momentos, pelos seus filhos distantes, saudosos da Pátria que ficou do outro lado do imenso Atlântico. O escritor Michal Rusinek, esteta, homem sensível, literato e jornalista, chorou como todo o homem de sentimentos nobres chora em semelhantes situações, quando a Pátria é colocada acima de tudo e de todos, especialmente em solo estrangeiro, embora amigo. E com o Rusinek, comprimindo-se uns aos outros, também choraram os circunstantes. Naquelas lágrimas que rolavam pelos rostos abaixo, brilhava a imagem divina da Polônia milenar, martirizada e traída. Era ela, a Pátria distante, o fator de tanta alegria, de tanto estravassamento de patriotismo, de tanta saudade que todos deixaram transparecer sem formalismos ou convencionalismos.

Todos tocavam o Rusinek como se fosse uma criatura diferente, sem carne e sem ossos. Todos queriam ouvi-lo. Todos desejavam estreitá-lo em seus braços, beijá-lo, apalpá-lo e senti-lo bem perto de si. Todos queriam ver e saber se Rusinek tinha o mesmo coração e se o coração dele pulsava com tanta força e tanto calor como o deles, embora distantes da Pátria amada. Verificaram que era igual aos demais presentes. Constataram que as suas reações patrióticas eram iguais. Certificaram-se que ele era um deles, servindo com o seu talento e com a sua pena aos superiores interesses da Polônia, dentro e fora de suas fronteiras. Adquiriram a certeza de que Rusinek, como o imortal Frederico Chopin, só se preocupa em somar amizades para a sua Polônia, além de levar a todos os quadrantes dos povos civilizados a cultura milenar de sua Pátria. E porque todos sabem que não está distante o dia em que a Polônia terá que apelar para todos os homens de bem, existentes em todos os continentes, para pedir colaboração em defesa de seus superiores interesses.



Escritor Michal Rusinek e Redator J. T. Konarzewski

Ninguém, de bom senso, tem dúvidas de que se esboça um plano diabólico, tecido pelos responsáveis pela tremenda catástrofe de que foi vítima a humanidade, em busca de recuperação de territórios que indevidamente haviam arrebatado da Polónia, há séculos passados, por golpes de traições e mistificações de toda ordem. A hidra nazista não está morta. O chagal está a espera do instante oportuno para avançar sobre a presa almejada, a Polónia, que está na sua mira sinistra e secular. E justamente neste momento dramático a Polónia terá que apelar novamente à sensibilidade jurídica e moral da opinião pública internacional. Precisar-se-á de novos e fabulosos conselheiros, em sua defesa como foi o imortal Rui Barbosa, nas conferências internacionais, onde não teve receios dos arreganhos do despotismo

imperante, constituindo-se em um dos maiores defensores dos direitos de soberania e da recuperação da liberdade da Polónia, cujo povo tantas vezes martirizado, chegou ao ponto de ter sido traído até pelo Napoleão Bonaparte, cujo crime pagou muito caro nas estepes russas, porque os polonêses convencidos da indiferença do grande corso, embriagado pelas suas vitórias e embalado nas sucessivas glórias, desinteressaram-se pela cobertura de sua retaguarda e provisão de suas tropas, que terminaram encontrando, a sepultura coletiva nas grossas camadas de neve, na sua catastrófica retirada.

Neste ambiente da exaltação das glórias da lendária e heróica Polónia Milenar, a primeira Nação da Europa que adotou oficialmente a Religião Católica, dentre todos os povos do Velho Mundo, o escritor Michal Rusinek pronunciou a sua maravilhosa conferência sobre o imortal e romântico Frederico Chopin. Foi uma conferência evocativa, versando em torno da Polónia Romântica, daquela Pátria que com tanto heroísmo lutou pela sua sobrevivência e a liberdade compatível com a dignidade da criatura humana. Chopin, esquecendo-se de si mesmo, abandonando a sua própria saúde, só se preocupava com a sorte de seus amigos, seus irmãos e com o que ocorria em sua Pátria com o seu povo altivo, que enfrentava decidida e corajosamente o despotismo tzarista, através de seus concêrtoes e de suas músicas, todas elas repassadas de dor, suplicava aos povos cultos e livres um pouco de piedade, um pouco de respeito, um pouco de carinho e um pouco de liberdade para a sua gente, para o seu povo para a sua Pátria exaurida, em que se devia em um verdadeiro mar de sangue e de cadáveres que rolavam pelas ruas incendiadas da Varsóvia em chamas. Chopin, que consagrou toda a sua vida em prol da Liberdade de sua Polónia martirizada, morreu no exílio, mas deixou um fabuloso patrimônio artístico, que constitui uma das mais eloquentes afirmações da capacidade cultural e criadora do povo polonês. Deixou aos moços de sua Pátria e do Universo, o exemplo de que, muito acima de todos os bens materiais e das comodidades e luxúrias passageiras, deve se olhar para a Pátria, servindo à ela com toda a devoção, lutando pela sua grandeza e liberdade de seu povo. Chopin, como bem o acentuou o emérito professor Russomano, da Faculdade de Direito de Pelotas, da Universidade Federal do Rio Grande do Sul, "é um exemplo para a mocidade viril, patriota e que sabe dignificar uma raça e defender uma Pátria". Como era natural, as lendárias e emotivas invocações de Chopin, lembrando aquela Polónia heróica e martirizada, provocaram lágrimas de todos os circunstantes. Foi um belo trabalho que o laureado Michal Rusinek realizou na Sociedade Polónia. A sua conferência foi ouvida em meio de um respeito absoluto. Ao concluir a sua notável conferência, Rusinek foi abraçado e felicitado por todos os presentes, que contavam nada menos de centenas de criaturas que foram ouvi-lo e festejá-lo, em razão de relevantes serviços prestados na conquista de amizades para a Polónia, na divulgação dos avanços

Conclue na página 38

UWAGI DO WIERSZY KAUKASKICH (str. 30)

STOLUMBASZA — (abchaskie) — osoba, do której należy kierownictwo uczty. — CZIKALKA — (abchaskie) — szakal. — DZIGIT — jeździec. — PERI — boginka leśna.

Wrześniowe wspomnienia

JAN KRAWCZYK

193
Dzień zrodził się szary, chłodny, nie różniący się niczym od poprzednich szarych dni. Nisko wiszące ołowiane chmury zapowiadały deszcz. Ulice ożywiały się zwolna ludźmi, spieszącymi do codziennych zajęć. Tramwaje toczyły się głucho po szynach, warkot autobusów i ciężarówek rozbrzmiewał w porannym powietrzu.

Przed kioskiem z gazetami zatrzymało się kilku robotników, gestykulujących zawzięcie nad rozwiniętą plachtą gazety. Minął bym ich obojętnie, gdyby nie rzucił mi się w oczy tytuł wydrukowany dużymi literami na pierwszej stronie dziennika: GUERRA NA EUROPA!

Kupiłem gazetę. Czytając nie słyszałem komentarzy stojących obok ludzi, a raczej nie rozumiałem sensu ich uwag, mając umysł zaprzątyniety sprawami toczącymi się daleko, a przecież tak bliskimi dla każdego Polaka.

Tak oto zaczął się dla mnie niezapomniany "polski wrzesień" w Porto Alegre. Ale nie tylko dla mnie. Całe społeczeństwo polskie w tym mieście oczekiwało niecierpliwie na podawane przez radio ostatnie komunikaty z placu boju. I tak samo jak wszyscy ludzilem się również, że odwrót armii polskiej był zwykłym wybiegiem strategicznym mającym na celu wciągnięcie najeźdźcy do zawczasu przygotowanej zasadzki. Rzeczywistość była, jak wiadomo, zupełnie odmienna.

Ówczesna Polonia w Porto Alegre skupiała się przede wszystkim w dwóch towarzystwach — "Polonia" przy ul. São Paulo i "Kultura" przy ul. Santos Dumont. Najazd hord hitlerowskich na Polskę był dla niej więcej, niż ciężkim ciosem. Pierwsze dni inwazji komentowano gorąco w szerszym gronie rodaków w lokalach tych organizacji. Krzepiono się słowami otuchy, snując jednocześnie daleko idące przewidywania nie tylko co do wyników wojny ale również co do powojennego układu sił politycznych i militarnych. Każdy czuł w sobie drzemiacę dotychczas zdolności polityka, umiejętnego odczytywać w ciemnej przyszłości losy całych narodów.

Pamiętam jak trzy razy w tygodniu zbierała się w "Kulturze" "rada wojenna", uczestnicy której po wysłuchaniu komunikatów wojennych krajali niemiłosiernie Europę i obdarzali własną ojczyznę zdobycznymi terytoriami.

Wiadomości z frontu były coraz mniej pomyślne. Front łamał się, kruszył, rozsypywał. Rząd opuścił już Polskę, a Warszawa broniła się resztkami sił.

Nie brakło nam jednak zapалу w owe dni. Jeśli wieści z Polski nie napawały otuchą to z własnego miejscowego terenu były pokrzepiające.

Oto ni mniej ni więcej wojna polsko-niemiecka została przeniesiona na obszar Porto Alegre. Pierwszą ofiarą "działań wojennych" padł jakiś Niemiec, który w rozmowie z robotnikiem Polakiem zaczął się natrzasać z polskiej "mocarstwowości". W wyniku na pobojuwisku pozo-

stał Polak, a Niemca odwiozła do szpitala karetka pogotowia. Nazajutrz niejaki B., właściciel restauracji, nie mogąc ścierpieć przechwałek wielbicieli Hitlera, połamał na ich twardych łbach co lepsze krzesła ze swojego lokalu. Inny obywatel K., niemniej krewki, wyrzucił z tramwaju wygłupiającego się Niemiszka.

Podobnych wiadomości było więcej. Serce się od nich radowało i wzrastała nadzieja, zwłaszcza, że społeczeństwo brazylijskie od pierwszego dnia wypowiedziało się zdecydowanie po stronie polskiej. Wszystkie niemal pisma w Porto Alegre wyrażały się o Polsce pochlebnie, nie szczędząc ciepłych słów Polakom. Na każdym kroku odczuwało się sympatię i to sprawiało, że w tych dniach skrajnej nieraz rozpacz mieliśmy wrażenie, że znajdujemy się u siebie w domu. Można by sądzić, że okres nacjonalizacyjny, który niedawno się rozpoczął i szczególnie dotkliwie odbił się na Polakach, nie istniał nigdy. Wszędzie — na ulicy, w autobusie, w restauracji — rozmawiano swobodnie po polsku. Towarzystwa polskie funkcjonowały normalnie, nie było szykan ze strony władz, żadnych ograniczeń.

Nie mogli tego powiedzieć obywatele osi Berlin-Rzym. Policja miała ich na oku i aczkolwiek Brazylia trzymała się jeszcze na uboczu, nie angażując się w rozgrywki wojenne, Niemcy i Włosi przebywający w Brazylii, znajdowali się pod obserwacją, utrudniano im swobodne objawianie zachwytów dla sukcesów wojennych Führera i Duce.

W atmosferze tej szczerej sympatii i zrozumienia dla spraw polskich ze strony społeczeństwa brazylijskiego zrodziła się w "Kulturze" myśl udzielenia Polsce pomocy. Ponieważ marzenia ochotników zgłaszających się do konsulatu polskiego nie mogły być, przynajmniej na razie, zrealizowane, zorganizowano "Komitet Niesienia Pomocy Ofiarom Wojny w Polsce", działający pod protektorem Brazylijskiego Czerwonego Krzyża. Poza miejscowymi działaczami polonijnymi weszły do niego czołowe osobistości z brazylijskiego świata kulturalnego w Porto Alegre. Komitet powołał do życia polskie audycje radiowe w języku portugalskim mające na celu prostowanie kłamstw niemieckich przenikających do radia i prasy w Porto Alegre. Prowadził je z niemalym poświęceniem pisarz parański, Władysław Romanowski.

H. Lesińska, J. Anusz, inż. S. Sobczak, G. Kawęcki, St. Karpiński, R. Gajewski, Skrocki, Sobolewski, Dziura, Kowalczyk, Wierzchowski, Kasprzak. Krupiński, J. Rain, J. Adamiak, J. Konat,

Smoleń, bracia Łysakowie, bracia Krawczykowie — oto zaledwie kilka nazwisk z zastępów osób, które włączyły się czynnie do pracy przy zbieraniu funduszków na rzecz ofiar najazdu faszystowskiego. W "Kulturze" stary, zasłużony jej członek, B. Szyszko, niemal na każdym posiedzeniu płakał jak małe dziecko i wołał wielkim głosem o aktywniejszą działalność Komitetu. Ks. Jan Wróbel ze zgromadzenia Księży Misjonarzy, mimo złego stanu zdrowia i podeszłego wieku udzielał się pracom Komitetu prawie z młodzieńczą energią. Jednym słowem cała Polonia w Porto Alegre zaprzęgała się do roboty.

Niemcy, "jako ofiary wojny" zorganizowali również podobny "komitet" na rzecz swych "poszkodowanych" przez wojnę rodaków, ale władze brazylijskie nie zatwierdziły tej organizacji.

Zarówno "Polonia", jak i "Kultura" prześcigały się nawzajem w zdobywaniu funduszków dla Komitetu. Wszyscy członkowie "Kultury" opodatkowali się dobrowolnie, przeznaczając jedną dniówkę w miesiącu w okresie wojny na zasilenie funduszu zbiorowego. Dużym powodzeniem finansowym cieszył się kolportaż książki adwokata Loreiro Prunes p.t.: "Polonia", której dwa wydania rozeszły się bardzo szybko.

Wszystko to jednak było za mało. Polacy w Porto Alegre, ogarnięci pragnieniem czynu, dusili się wprost od nadmiaru energii. Walka z bronią w rękę wydawała się najlepszym sposobem służenia ujarzmionej ojczyźnie. To też konsulat przy ul. Riachuelo był stale oblegany przez zgłaszających się do wojska ochotników, a konsul Wróblewski rozkładał bezradnie ręce. Nie było żadnych możliwości wyjazdu do Anglii. Na przeszkodzie stała neutralność Brazylii. W tym stanie rzeczy kto mógł wymykał się cichaczem do niedalekiego Montevideo w Urugwaju i okrętował się tam na statki alianckie. Szczęśliwców tych było, niestety, niewielu.

Sprawa poprawiła się, gdy Brazylia wypowiedziała wojnę państwu osi. Dwa autobusy pełne ochotników wyruszyły jako pierwszy transport z Porto Alegre do Rio, stamtąd zaś via Kanada do Anglii.

"Polonia" żegnała ich pamiętną wieczorzą, w czasie której niemal wszyscy płakali, zarówno odjeżdżający jak i pozostający. Ale były to łyzy szczęścia, łyzy radości, że nadszedł oto upragniony moment czynnego służenia ojczyźnie.

JAN KRAWCZYK

NOWA TARYFA CELNA

Począwszy od 15 listopada br. wszystkie przedmioty i towary przywożone osobiście z zagranicy oraz nadsyłane w paczkach, clone będą według nowych zasad i znacznie zmienionych stawek. Dotychczas istniały jednolite stawki opłat celnych dla wszystkich towarów przywożonych z zagranicy.

Nowa ustawa różnicuje je natomiast w zasadniczy sposób, wprowadza ona mianowicie w miejsce tego jednolitego systemu — uszeregowane w dwóch tzw. kolumnach — dwa rodzaje stawek celnych.

Pierwszy rodzaj stawek celnych, ujętych przez nową taryfę w odrębnej rubryce, dotyczy towarów, które nadsyłane są zazwyczaj w niewielkich ilościach i noszą charakter darów przeznaczonych dla osobistego użytku ich odbiorców. Zaliczane są do nich np. lekarstwa, owoce południowe, artykuły kolonialne, słodczyce, papierosy, odzież nowa i używana, niektóre tkaniny i artykuły konfekcyjne, obuwie, wiele artykułów piśmiennych itd.

Wszystkie tego rodzaju towary podlegają bardzo niskim opłatom celnym, bądź też w ogóle zwolnione zostały od cła. Odnosi się to jednak tylko do ściśle określonych ilości tych towarów w jednej przesyłce.

Jeśli w paczce nadesłanej z zagranicy znajdzie się większa liczba np. par obuwia niż dopuszczone dla nich maksimum, to za tę nadwyżkę trzeba będzie płacić cło podwyższone i to bardzo znacznie, bo od 50 do 150 proc.

Te właśnie wyższe cła za nadwyżki przedmiotów stanowiących dary oraz wszystkie inne towary, nie mające tego charakteru, stanowią drugi rodzaj stawek opłat celnych.

W myśl nowych przepisów nie podlegają np. żadnej opłacie celnej pomarańcze lub banany w ilości nie przekraczającej 10 kg w jednej przesyłce. Natomiast za każdy dodatkowy kilogram tych owoców pobierane będzie cło w wysokości 25 złotych.

Również lekarstwa w dalszym ciągu wolne są od cła, ale tylko do wagi 0,5 kg w jednej paczce. Za każdy następny kilogram będzie już obowiązywała opłata celna w wysokości 500 zł.

Herbata do 1 kg — clona będzie w wysokości 50 zł, a za każdy następny kilogram, podwyższone cło wyniesie 150 zł.

Od trzech dopuszczalnych w jednej paczce swetrów z włókien sztucznych, zarówno nowych jak i używanych, opłata wyniesie 500 zł, w stosunku do 1 kg. Następne swetry, zawarte w tej samej przesyłce, podlegają cłu w wysokości 1000 zł za

1 kg. Podobnie za trzy pary obuwia zapłacimy cło po 100 złotych od pary, a za każdą następną dodatkową parę wyniesie ono już całe 300 zł itd.

Dla wszystkich tych oraz wielu innych jeszcze przedmiotów, których dopuszczalne na jedną przesyłkę ilości clone będą według niższych stawek, zastosowane jednak zostaną podwyższone opłaty celne, jeśli — jak mówią nowe przepisy — częstotliwość przesyłek tych towarów, albo inne okoliczności wskazywać będą, iż nie są one przeznaczone do osobistego użytku odbiorcy lub jego rodziny. O ile więc np. ta sama osoba otrzymywać będzie co kilka dni paczkę zawierającą 1 kg herbaty, to za każdą taką przesyłkę zapłaci ona nie 50 zł, ale podwyższoną stawkę celną w wysokości 150 zł.

Nowa przywózowa taryfa celna nie przewiduje już w zasadzie żadnych ulgowych stawek dla przedmiotów używanych. Wyjątek stanowią tu tylko osoby pobierające rentę oraz korzystające z pomocy społecznej. Mogą one korzystać z ulgowego cła przy otrzymywaniu przesyłek zawierających używaną odzież, bieliznę, pościel, konfekcję oraz obuwie.

Nie dla wszystkich jednak przedmiotów nadsyłanych, bądź przywożonych z zagranicy nowa taryfa wprowadza — zależnie od ich ilości w przesyłkach — dwie różne stawki celne. Dla wielu towarów nie zaliczanych do artykułów pierwszej potrzeby i nie stanowiących tak często zawartości paczek, obowiązywać będzie jednolite cło niezależnie od ilości tych towarów.

I tak np. za zegarki naręczne w kopertach z metali nieszlachetnych bez względu na ich ilość w jednej przesyłce, cło wyniesie 400 zł od sztuki, za każdy aparat fotograficzny najwyższej klasy — 800 zł, za wózek dziecienny — 100 zł, za dwukółkowy rower — 250 zł, telewizor — 3.000 zł itd.

Natomiast spośród instrumentów muzycznych najwyżej w nowych przepisach "wyceniona" została harfa, bo cło za nią wynosi aż 3 tys. zł, a najniższej — harmonijka ustna — tylko 10 zł od sztuki.

Nowa taryfa celna wymienia także szereg artykułów, które w każdych ilościach są wolne od wszelkich opłat celnych. Należą do nich m.in. nasiona zbóż i roślin strączkowych, mięso i jego przetwory, masło, miód pszczeli i sztuczny, żywe pszczoły wraz z ulami, cukier, cegły i dachówki, drewno użytkowe, wszelkie nawozy, węgiel itd.

Wolne od cła są ponadto także nadsyłane z zagranicy książki, czasopisma, nuty czy obrazy jednakże w liczbie co najwyżej 20 sztuk z każdego rodzaju. Przywóz większej ilości książek lub czasopism wymaga już zezwolenia ministra handlu zagranicznego.

Wiadomości z Kraju

W odniesieniu natomiast do przedmiotów przywożonych przez podróżnych osobiście z zagranicy, nowa taryfa nie uchyla dotychczas obowiązującej zasady. Podróżni ci mogą więc nadal wwozić w granice kraju bez uiszczania jakichkolwiek należności celnych towary, od których opłaty celne nie przekraczają 1500 zł. Zasada ta ma na razie obowiązywać nadal, do czasu ustalenia w tej dziedzinie nowych przepisów.

PREZENTY Z POLSKI

Dowiadujemy się, że w Warszawie istnieje biuro wysyłkowe, zajmujące się wysyłaniem drobnych upominków za granicę.

Biurem tym jest sklep Polonii przy ul. Hożej 19. Każdy kupujący może zażądać wysłania zakupionych w sklepie podarunków za granicę. Uiszcza przy tym (na miejscu w sklepie) należność za cło i opłatę pocztową. Za samą usługę sklep nie pobiera.

Transakcję można również załatwiać w drodze zamówienia pocztowego — ze wszystkich miast Polski.

CZY REPATRIANT MOŻE ZAMIESZKAĆ W WARSZAWIE?

W zasadzie, Warszawa (i niektóre inne miasta) jest miastem zamkniętym dla repatriantów ze względu na brak mieszkań. Wyjątkowo można otrzymać zezwolenie, jeżeli rodzina repatriantów, mieszkająca w Warszawie, zapewni im mieszkanie u siebie. Ponieważ jednak zdarzały się liczne przykłady, gdy po miesiacu czy dwóch takiego wspólnego mieszkania repatrianci — nie mogąc się zmieścić w ciasnocie — domagali się oddzielnych mieszkań od Wydziału Kwaterunkowego, dlatego zezwolenie udziela się tylko wyjątkowo.

LEK Z ZAGRANICY NIE ODEBRANA PACZKA

Czy transakcje dokonywane przez PKO podlegają opodatkowaniu?

Podajemy kilka ciekawych pytań i odpowiedzi zamieszczonych w piśmie warszawskim: "Życie Warszawy", dotyczących zagadnień, które powinny zainteresować naszych czytelników.

Pytanie :

Otrzymuję leki z zagranicy, wiele z nich nie chce przyjmować punkt skupu, a tymczasem

trzeba je koniecznie upłynnić, bo każdy lek ma określony termin ważności. Kilka lat temu informowałem się u prokuratora czy mam prawo te leki sprzedawać na wolnym rynku. Prokurator powiedział, że jeśli będę pobierał ceny nie wyższe niż zatwierdzone przez Min. Zdrowia, nie popełnię żadnego nadużycia. Jak to się teraz przedstawia?

Odpowiedź :

Jak nas poinformowano w Stołecznej Prokuraturze, w myśl ustawy o aptekach — do sprzedaży leków upoważnione są apteki, przy czym niektóre najpopularniejsze specyfiki dopuszczone są również do sprzedaży w drogeriach. Tak więc zasadniczo nie ma Pan prawa sprzedawać leków pochodzących z paczek zagranicznych na wolnym rynku. Sporadyczne wypadki jednak, kiedy nie ma w nich elementu spekulacji, nie są ścigane przez prokuraturę.

Pytanie :

Na początku października rodzina z Anglii wysłała mi paczkę z używaną odzieżą. Otrzymam ją prawdopodobnie po 15 listopada br. Nie będę w stanie opłacić nowego cła. Co stanie się z paczką?

Odpowiedź :

Z chwilą nadejścia paczki otrzyma Pani zawiadomienie z podaniem wysokości cła, które należy uiścić. Jeśli Pani nie będzie mogła pokryć należności celnej, paczka zostanie zwrócona przez pocztę z powrotem ofiarodawcom.

Pytanie :

Chcę sprowadzić do Polski pieniądze przez PKO i kupić domek. Czy Urząd Skarbowy każe mi płacić podatek, jak duży i jaki. Wiem, że sumy sprowadzane przez PKO nie podlegają podatkowi.

Odpowiedź :

Transakcje dokonywane przez PKO nie podlegają opodatkowaniu. Urząd Finansowy, który być może — ma do tego pełne prawo, a nawet obowiązek — zainteresuje się źródłem pochodzenia środków na kupno domku, nie będzie miał żadnych pretensji podatkowych w wypadku stwierdzenia, że chodzi tu o dar krewnych czy pomoc osób bliskich.

Dokończenie ze strony 37

Co nowego w przemyśle krajowym

NOWE FABRYKI CHEMICZNE

Przemysł chemiczny w Polsce włącza w br. do eksploatacji około 400 nowo wybudowanych bądź przebudowanych obiektów.

Jednym z najważniejszych zakładów, który rozpocznie produkcję za dwa miesiące jest nowy oddział w Bydgoskich Zakładach Chemicznych: wytwórnia fenolu syntetycznego. Piszemy o tym na innym miejscu.

Na pierwszym jednak miejscu wymienić trzeba tarnobrzęskie inwestycje siarkowe. A więc ruszy montowana obecnie olbrzymia kopalnia czechosłowacka o wydajności dochodzącej do 1200 metrów sześć. na godzinę, a wraz z nią cała sieć transporterów i innych urządzeń odkrywkowej kopalni rudy siarkowej w Piasecznie pod Tarnobrzegiem. W samym Tarnobrzegu, a ściślej w pobliskim Machowie, ruszy zakład przeróbki rudy siarkowej, który już w przyszłym roku wyprodukuje około 125 tysięcy ton czystej siarki. Równocześnie kończy się budowę jednego segmentu (chemicy nazywają to "nitką") fabryki kwasu siarkowego. Ta pierwsza "nitka" produkować ma około 100 tysięcy ton kwasu siarkowego rocznie. W roku 1965 zakład w Tarnobrzegu ma dać 400 tys. ton siarki, a plany perspektywiczne przewidują w dalszym okresie produkowanie miliona ton siarki rocznie.

Bliskie jest już uruchomienie nowego wydziału w Chodakowskich Zakładach Włókien Sztucznych. Nowa przędzalnia wyposażona w 28 nowoczesnych maszyn produkcji amerykańskiej wytwarzać będzie rocznie 1000 ton syntetycznego jedwabiu. Będzie to piąta z kolei przędzalnia w Chodakowie.

W Bydgoszczy ruszy nowy wydział fabryki chemicznej, który produkować będzie rocznie 5 tysięcy ton niepalnych transporterów górniczych. W pobliskim Toruniu kończy się już prace przy budowie nowego oddziału, którego zdolność produkcyjna wyniesie około 100 tys. ton superfosfatu rocznie.

Kombinat chemiczny w Kędzierzynie przygotowuje uruchomienie nowej wytwórni tzw. bezwodnika ftalowego o wydajności 3.600 ton rocznie. Druga, taka sama wytwórnia, uruchomiona będzie w roku przyszłym.

Zakłady farmaceutyczne w Tarchominie koło Warszawy kończą już prace przy dwóch nowych wytwórniach. Będzie to fabryka streptomycyny o wydajności rocznej 10 ton i biomycyny — 6 ton. Równocześnie w Kutnie ruszy fabryka dekstranu. Za tą fachową, laikowi nie mówiącą nazwą, kryje się sztuczna krew!

WIELKIE OBIEKTY PRZEMYSŁOWE I SIŁOWNIE POWSTANĄ W WIELKOPOLSKIM ZAGŁĘBIU WĘGLOWYM

W wielkim zagłębiu węgla brunatnego w Koninie w okresie najbliższych pięciu lat powstaną wielkie obiekty przemysłowe: huta aluminium, wielka brykietownia, zakład przerobu lignitów (zweglone drewno, wydobywane z węglem brunatnym), zakład ceramiki czerwonej i fabryka proszków ściernych. Największy z projektowanych obiektów — huta aluminium — zatrudni 5 tys. pracowników, dając pierwszą produkcję już w 1964 r. Wszystkie nowe zakłady będą czerpały moc i energię cieplną z elektrowni "Konin" i 2 wielkich elektrowni "Patnów" i "Adamów". Te wielkie siłownie opalane będą tanim paliwem energetycznym — węglem brunatnym znajdującym się w rejonach Konin-Patnów-Turek.

WIELKA RAFINERIA W PŁOCKU PRZERABIAĆ BĘDZIE 6 MLN TON ROPY ROCZNIE

W Płocku ma powstać rafineria ropy naftowej, która przerabiać będzie 6 mln ton ropy naftowej, dostarczanej rurociągiem ze Związku Radzieckiego.

Rafineria, która będzie nowoczesnym i wysokowydajnym zakładem, dostarczać ma od 1964 roku benzynę, olej napędowy i olej opałowy. Ponadto kraj otrzyma oleje smarowe, asfalty (m. in. drogowe), parafinę i inne produkty. Gazy rafineryjne powstające przy przeróbce ropy stanowiąc będą bazę surowcową dla produkcji petrochemicznej. Zakłada się więc np. uzyskanie z gazów rafineryjnych ok. 30 tys. ton polietylenu, tyleż kauczuków (butylowego i izoprenowego), ok. 150 tys. ton mocznika, a także tysiące ton takich produktów, jak fenol, aceton, środki piorące i wiele innych.

Właściwe roboty przy budowie części rafineryjnej kombinatu zaczną się w przyszłym roku. Wzniesione zostaną urządzenia rafinerii o zdolności przerobowej 2 mln ton ropy naftowej oraz pierwsza część elektrociepłowni.

NIEZNANA WIELKA CHEMIA

Bydgoskie Zakłady Chemiczne są na ogół mało znane nie tylko za granicą ale i w Polsce. Tymczasem Bydgoszcz daje już teraz rocznie 4 tys. ton fenolu, czyli 30 proc. produkcji krajowej tego cennego półfabrykatu, potrzebnego m. in. do produkcji tworzyw sztucznych. A w IV kwartale br. ma tu ruszyć no-

wa linia, która stopniowo osiągnie 10 tys. ton fenolu rocznie. Od roku 1963 aż do końca lat siedemdziesiątych Bydgoszcz będzie dawała 50 — 60 proc. krajowej produkcji fenolu, stanie się więc zakładem fenolowym Nr. 1.

Bydgoskie Zakłady Chemiczne są niemal wyłącznym producentem aniliny, której wytwarzają w tym roku prawdopodobnie 9 tys. ton. Większość aniliny idzie na eksport — przeszło 200 dolarów za tonę.

Tylko Bydgoszcz produkuje polwinity — materiały izolacyjne do kabli.

W Bydgoskich Zakładach Chemicznych rozwinięto poważną już produkcję barwników, a także folii — płaszczowej i galanterijnej, taśmy i nici polistyrenowych, nitrobenzenu i wielu innych produktów.

Nowa linia fenolowa to cała duża fabryka. Oto kilka danych o niej: 25 budynków, ponad 2000 ton aparatów, około 250 silników elektrycznych, 100 pomp, 35 km rur. Gazownia tej linii wystarczaby dla obsłużenia całej Bydgoszczy. Całość wygląda imponująco i tym bardziej przyjemnie, że i projekty i zainstalowane maszyny — wszystko to jest polskie.

Bydgoszcz produkuje barwniki helionowe czyli światłoodporne dla polskiego przemysłu włókienniczego i na eksport — różne żółcień i czerwienie, a także farby zwykłe od żółcień do brunatów, ponadto barwniki tłuszczowe, barwniki do wełny, pigmenty i laki do tworzyw sztucznych itd.

Kilka słów o czerni pigmentowej. Jest to barwnik używany do tworzyw sztucznych, folii, płyt patefonowych i farb drukarskich. W roku ubiegłym Bydgoskie Zakłady opracowały własną metodę produkcji czerni pigmentowej — z bardzo dobrym wynikiem. Zapotrzebowanie krajowe zostało zaspokojone.

Produkowane w Bydgoszczy barwniki tłuszczowe są w Polsce nowością. Obecnie Zakłady pracują nad czerwienią i szkarłatem tłuszczowym dla Centrali Produktów Naftowych. Barwniki te będą służyły do znakowania paliw — stawia się więc przed nimi bardzo wysokie wymagania, aby nie szkodziły silnikom.

Bydgoskie Zakłady Chemiczne ze swymi 680 tonami barwników w roku bieżącym zajmują w skali krajowej drugie miejsce.

W dziale tworzyw sztucznych najbardziej zrozumiałym, bo rynkowym produktem jest folia — płaszczowa i galanterijna (na torby, portmonetki itp.). Produkuje się jej obecnie około 100 ton miesięcznie, z czego część idzie na eksport.

W roku przyszłym Zakłady

zainstalują maszynę drukarską i ruszy produkcja czterokolorowych obrusów.

PRZEMYSŁ MASZYNOWY W 1961 — 65

W latach 1961—1965 planuje się rozpoczęcie budowy tylko 8 nowych zakładów, natomiast rozbudowa obejmie 90 fabryk.

Szczególnie silnie rozbudowywane będą przemysły eksportujące — przemysł maszyn ciężkich, okrętowy, obrabiarkowy i przemysł taboru kolejowego, przemysły zaopatrujące rolnictwo w ciągniki, maszyny rolnicze i melioracyjne oraz elektrotechnika.

FLOTA HANDLOWA POLSKA

W pierwszym półroczu br. flotę handlową polską zasililo 9 statków o łącznym tonażu 57 tys. ton. Tym samym stan floty wzrósł do 121 statków o łącznym tonażu 660 tys. DWT.

W BRAZYLII O POLSCE W POLSCE O BRAZYLII

D. c. na str. 37

DR ALBERTO BYINGTON O POLSCE I BRAZYLII

Dr Alberto Byington reprezentował Brazylię na XV Zgromadzeniu Plenarnym Światowej Federacji Towarzystw ONZ w Warszawie.

Tygodnik "Stolica" zadał dr Byingtonowi dwa następujące pytania:

1. Jakie wrażenie odniósł Pan z pobytu w naszym mieście?
2. Jak rozpatrywane jest zagadnienie walki z głodem w kraju, który Pan reprezentuje?

Dr. Byington odpowiedział:

1. Zaskoczyła mnie rekonstrukcja Warszawy — nie przypuszczałem, że będzie ona aż tak duża. Stale porównuję ją z naszą stolicą Brazylii. Różnice są kolosalne, nieporównywalne. Myśmy obecną stolicę budować cztery lata, myśląc tylko o przyszłości, a nie uwzględniając żadnych tradycji. U was przeszłość z przyszłością idą w parze i to jest chyba zasadniczą różnicą między Polską a Brazylią. Osobiście jestem zdania, że bez doświadczeń przeszłości nie można myśleć o przyszłości.

2. Problemem zasadniczym dla nas jest nie tylko zagadnienie rozdzielności dóbr, ale przede wszystkim przechowywanie zapasów. A z tym ostatnim mamy duże trudności ze względu na tropikalny klimat, przez który rocznie tracimy 40 proc. zbiorów. Jeżeli to przezwyciężymy, to Brazylii będzie w stanie wyżywić 500 milionów mieszkańców.

BYLI KACETOWCY POLACY-UWAGA!

B. WIĘZNIOWIE OBOZÓW MOGĄ SIĘ UBIEGAĆ W NIEMCZACH O ODSZKODOWANIE

W ostatnich dniach października ogłoszony został jednocześnie w Genewie i w Bonn tekst układu zawartego i podpisanego w dniu 5 października br. między Wysokim Komisarzem Narodów Zjednoczonych dla uchodźców i rządem Niemieckiej Republiki Federalnej. Układ wszedł w życie z dniem podpisania. Dotyczy on wszystkich uchodźców prześladowanych ze względu na ich narodowość, ma więc znaczenie przede wszystkim dla tysięcy Polaków b. więźniów, dotychczas traktowanych negatywnie przez niemiecką ustawę odszkodowawczą. Mimo, że w układzie nie zostały uwzględnione wszystkie słuszne żądania tej grupy poszkodowanych, stanowi on poważną poprawę dotychczasowego, bardzo krzywdzącego stanu rzeczy.

Najważniejszy jest art. 1 układu, w którym rząd NRF zobowiązuje się osoby, które z powodu swej przynależności narodowej zostały przez reżim hitlerowski z pogwałceniem praw człowieka trwale poszkodowane na zdrowiu lub ciele — traktować w zakresie wysokości świadczeń za te szkody na równi z osobami prześladowanymi ze względu na rasę, religię, światopogląd czy też z powodu przeciwności politycznej w stosunku do narodowego socjalizmu. Wnioski o odszkodowanie za utratę zdrowia rozpatrywać będzie Federalny Urząd Administracyjny w Kolonii (Bundesverwaltungsamt); wnioski powinny wpłynąć do urzędu tego najdalej do dnia 31 grudnia 1962 r.; urząd może także rozpatrywać sprawy, w których już poprzednio zapadły ostateczne odmowne decyzje jakiegokolwiek organu odszkodowawczego czy sądu.

W art. 2 układu rząd NRF zobowiązuje się oddać do dyspozycji Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych kwotę DM 45 milionów, by umożliwić mu świadczenia:

(a) na rzecz ofiar hitleryzmu poszkodowanych ze względu na ich narodowość z pogwałceniem praw człowieka, jeżeli były w

dnia 1.10.1953 r. uchodźcami w rozumieniu Konwencji Genewskiej;

(b) dla pozostałych najbliższych członków rodzin osób, określonych w poprzednim ustępie, jeżeli ci najbliżsi byli uchodźcami w rozumieniu Konwencji Genewskiej w dniu 1.10.1953.

Dalsze postanowienia układu z dn. 5 października 1960 roku przewidują m.i. współpracę Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych z przedstawicielstwem organizacji społecznych i uchodźczych.

Protokół dołączony do układu z dn. 5 października 1960 roku zawiera m.in. uzgodnioną między stronami definicję osoby poszkodowanej ze względu na narodowość. Obowiązująca dotychczas ustawa niemiecka nie przewiduje takiej definicji. Protokół wspomina również o rozważaniu w przyszłości przez strony kontraktujące kwestii związanych z wykonaniem układu oraz określa uprawnienia Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych w tej sprawie.

Układ z dn. 5 października 1960 r. wymagać będzie zarządzeń wykonawczych, dotąd nie ogłoszonych. Szereg postanowień wymagać będzie ponadto bliższej precyzji, która by zapełniła niewłaściwej ich interpretacji przez władzę niemiecką. Warunki korzystania z będącego w dyspozycji Wysokiego Komisarza funduszu muszą być wynikiem starannych rozważań. We wszystkich tych sprawach centralne organizacje ofiar hitleryzmu oraz Zarząd Związku b. Kacetowców w Londynie (20, Queens Gate Terrace, London, S.W. 7) podejmują odpowiednie starania i — jak dotychczas — pozostawiają będąc w kontakcie z urzędem Wysokiego Komisarza jak i interweniować w razie potrzeby u władz niemieckich. Zarząd Związku i Komisja Prawnicza w Londynie udzielać będą wyjaśnień i porad począwszy od dnia 1 listopada b.r., ustnie i pisemnie.

WIADOMOŚCI Z KRAJU

Dokończenie ze strony 35

CENY W POLSCE

W dalszym ciągu podajemy niektóre ceny w Polsce (patrz nr. 4 naszego pisma).

Konfekcja damska i tkaniny:

Spódniczki gotowe w różnych wzorach i kolorach: zł 100 i 120.
Bluzeczki flanelowe ciepłe: od 80 do 100 zł.

Tkaniny spódniczkowe t. zw. niskoprocentowe: od zł. 45 do 170 za metr.

Tkaniny wełnopodobne t. zw. tropik — 53 zł za metr.

Sztuczne jedwabie na suknie damskie, bluzki, kostiumy, opalacze itp.: satyna jedwabna w barwne kwiaty — od 41 do 52 zł. za metr.

Stylony wzorzyste — od 64 do 78 zł za metr.

Rypsy wzorzyste od 42 do 52 zł za metr.

Rypsy gładkie — od 34 do 66 zł za metr.

Tafty — od 47 do 54 zł za metr.

Plusz barwny — 50 zł za metr.
Garsonki ze 100 proc. wełny, dziane — 800 i 890 zł.

Spódniczki ciepłe — 300 zł.

Bluzeczki damskie ze 100 proc. wełny, dziane — 300 zł.

Sweterki damskie ze 100 proc. wełny od 500 do 1.000 zł.

Rękawiczki jesienne — od 45 zł.

Pledy wełniane — od 550 do 750 zł.

Wyroby skórzanego i z plastiku:

Torby damskie z plastiku — od 160 do 270 zł.

Torby damskie skórzane — od 270 do 450 zł.

Torby podróżne — od 220 do 370 zł.

Teczki skórzane — od 150 do 750 zł.

Rękawiczki męskie, renifery — 168 i 208 zł.

Czółenka produkcji ręcznej damskie w cenie 530 i 720 zł.

Czółenka produkcji półmechanicznej — 340 zł.

Balerinki damskie na spodach z mikrogumy od 190 do 220 zł.

Przybory podróżne:

Walizka z tektury dług. 50 cm. — 84 zł. dług. 65 cm. — 100 zł.

Nesoser meski mały — 195 zł. większy — 350 zł.

Serwety:

Serwety lniane duże z serwetkami od 64 do 190 zł.

Porcelana:

Komplet do kawy z podwójnymi talerzykami — 669 zł.

Talerze pojedyncze — od 11 do 40 zł. za sztukę.

Zywność:

Owoce i warzywa (koniec września): arbuzy — 6 zł. kg. renklody — 6 zł. kg. jabłka od 2,50 do 4 zł. za kg, gruszki od 1,50 do 4,50 za kg, buraki 1,50 za kg, kalafiory od 2 do 3 zł. za sztukę, kapusta biała — 1,40 zł. za kg, marchew — 1,50 zł. za kg, ogórki kwaszone — 7 zł. za kg.

Drób: kaczki — I gat. 44 zł. za kg, II gat. 38, III gat. 22; gęsi — I gat. 41 zł. za kg, II gat. 35 zł. III gat. 20,50; kury: I gat. 47 zł. za kg, II gat. 42 zł, III gat. 23,50 zł.

Jaja: (okres zimowy) świeże I gat. 2,20 za sztukę, II gat. 2 zł. za sztukę; chłodnicze 2 zł. za sztukę, wapnowane 1,80 za sztukę.

BRAKI W ZAOPATRZENIU W MASŁO

Od pewnego czasu na rynku krajowym daje się odczuć brak masła. Prasa krajowa tłumaczy trudności zaopatrzenia rynku w masło obniżeniem się skupu mleka i w rezultacie mniejszą produkcją masła w ostatnich

miesiącach. Od stycznia do września zamiast planowanych 3.120 milionów litrów mleka zakupiono 2.910 milionów litrów. Wskutek tego wyprodukowano mniej masła o 4.000 ton.

Przyczyną obniżenia się skupu mleka było z jednej strony zmniejszenie się pogłowia krów (z 6.025 tys. w r. 1959 do 5.883 tys. w r. 1960), a z drugiej — z powodu długotrwałych tegorocznych deszczów zmniejszenie się paszy. Sytuacja paszowa ulegnie poprawie z chwilą sprowadzenia z zagranicy 100 tys. ton makuchów.

W BRAZYLII O POLSCE W POLSCE O BRAZYLII

Dokończenie ze strony 39

humoru wyzutych. Nie dodaje już, by nie podniecać snobizmów, że "Testament psa" w Ateneum to nie tylko pierwsza premiera polska tej sztuki, ale pra-premiera w skali całej Europy.

PROTEST KARDYNAŁA WYSZYŃSKIEGO

"Estado de São Paulo" w numerze z dn. 28 sierpnia donosi, że kardynał Stefan Wyszyński, przemawiając w Częstochowie do 170.000 pątników z okazji 305 rocznicy obrony Jasnej Góry przed Szwedami określił jako zniesławiające artykuły opublikowane przez kilka dzienników krajowych, w których pielgrzymów udających się do Częstochowy określa się jako ludzi ciemnych, wyzyskiwanych w czasie pielgrzymki przez złodziei i oszustów.

"Jesteśmy wolnymi obywatelami, którzy walczyli o wolność tego kraju" — powiedział kardynał Wyszyński; — kapłani brali również udział w tej walce nie tylko z ambony lecz wielokrotnie z bronią w ręku. Dziś nie potrzebujemy używać troni musimy jednak prowadzić walkę duchową".

KS. KARDYNAŁ STEFAN WYSZYŃSKI W OBRONIE GRANIC NA ODRĘ I NYŚ

Jak donosi dziennik "Estado de São Paulo" w nr. z dn. 24 września br. X. kardynał Stefan Wyszyński zaatakował ostatnio ostro kanclerza NRF Adenauera w związku z jego rewizjonistycznym stanowiskiem w sprawie polskich ziem zachodnich. W kazaniu zamieszczonym dn. 23 września na łamach tygodnika katolickiego "Tygodnik Powszechny", Ks. Prymas podejmuje energiczną obronę granic polskich nad Odrą i Nysą.

Obszerniej o tym wystąpieniu Ks. Kardynała S. Wyszyńskiego napiszemy w następnym numerze naszego czasopisma.

Dokończenie na str. 36

Janio Quadros

aos

Brazileiros Naturalizados

Brasileiros naturalizados que somos, adotando o Brasil como nossa segunda Pátria, acompanhamos portanto, vivamente interessados e mesmo entusiasmados, o desenrolar efervescente, os debates calorosos e manifestações apaixonadas dessa recente campanha eleitoral, cujos resultados, muito embora previamente reconhecidos e esperados pelos colégios eleitorais, foram além de todas as expectativas calculistas. Acompanhamos, atentamente, a apresentação das plataformas, discursos e declarações, temas e debates, substanciados pelos três candidatos à Suprema Magistratura que, subsequentemente, vieram originar essa grandiosa e inédita "Revolução Branca" na qual tomaram parte todas as classes de elite, média e operosa, visando o coroamento desse mesmo fim, qual seja a total renovação de valores políticos nacionais.

Não obstante o empenho dantesco que se dispuseram os três candidatos, empregando o máximo de seus recursos gerais, a fim de apresentar ao grande eleitorado as soluções para os inúmeros problemas que afligem a Nação brasileira, deve-se considerar e reconhecer o clima de tranquilidade então reinante em todas as esferas políticas do país, o que vem mais uma vez comprovar que o povo brasileiro caminha realmente para atingir, alcançar e conquistar o mais alto grau de maturidade política, isso graças ao ambiente de segurança com que vem se impondo para a escolha mais certa de seus candidatos, livres portanto de qualquer pressão nefasta, arbitrária ou demagógica por parte de quem quer que seja e que venha tolher sua livre e espontânea escolha para os melhores de seus futuros governantes e na assertiva de "que cada povo tem o governo que merece".

Dentre os inúmeros pronunciamentos dos três candidatos à Presidência da República, é-nos lícito destacar e registrar — e o fazemos em sã consciência e na mais livre expressão de pensamento — a apresentação do programa político de grande visão e com profundo conhecimento de todos os problemas nacionais do então candidato Jânio Quadros, ora já Presidente eleito do Brasil. É a ascensão gradativa, pois, da completa politização do povo brasileiro demonstrada pelos resultados das urnas.

Nas demarches e contra-marchas de sua grandiosa campanha, Sr. Jânio Quadros soube levantar e compreender a importância e o valor do elemento humano no desenvolvimento do país que, consequentemente, deve ser protegido e amparado pelo Estado, dentro de seus direitos constitucionais, independentemente de raça, religião e origens diversas, uma vez comprovado seu patriotismo. Dentre esses valores humanos, soube Jânio Quadros ir ao encontro dos brasileiros naturalizados. No seu "Manifesto aos Brasileiros Naturalizados" de 30 de setembro p.p., ao qual deu a imprensa do país irrestrito apoio e divulgação, conclamou todos os brasileiros naturalizados a cerrarem fileira com os brasileiros natos, com o mais alto espírito de patriotismo, na marcha memorável do 3 de outubro, para a maior grandeza do Brasil. Foi, dessarte, o primeiro candidato à Presidência do Brasil que descobriu essa nova força dinâmica representada pelos emigrantes e seus descendentes no imenso território nacional. Assim, pois, com palavras humanamente objetivas e atitudes altaneiramente democráticas, protendendo abolir de vez as injustiças sociais e discriminações injustificáveis, soube Jânio Quadros conquistar as simpatias e o valoroso apoio da maioria absoluta dos brasileiros naturalizados. É, pois, com a mais viva satisfação que transcrevemos a seguir o manifesto em apreço do Presidente eleito Sr. Jânio Quadros:

Veja página 39

MIECZYSLAW FULARSKI

ACOLHIDA DE M. RUSINEK

Conclusão da página 33

espetaculares de sua Pátria nos mais distintos campos de atividades culturais, universitárias, científicas, artísticas, jornalísticas, educacionais, materiais, econômicas e industriais. É porque a Polónia moderna atravessa uma fase espetacular de progresso indescritível em todos os setores criadores de riquezas e de aprimoramento cultural da criação civilizada. A Polónia lidera uma verdadeira revolução no setor de artes, de urbanismo e de movimento cultural e arquitetura da Europa.

— Vemos, acima, um aspecto parcial da cabeceira da mesa da recepção que foi oferecida em honra de Rusinek, após a sua brilhante conferência, pela diretoria da Sociedade Polónia, destacando-se o laureado escritor polonês entre o Padre José Grzeliński, C.M., Vigário da Igreja Polonesa de Porto Alegre, Matka Boska Częstochowska, e fidalga e culta dama polonesa, d. Zenia Gardoliński, esposa do ilustre engenheiro Edmundo Gardoliński, colaborador do DIÁRIO DE NOTÍCIAS, historiador e destacado líder da coletividade polonesa radicada no Rio Grande do Sul, que se encontra na extrema direita do presente flagrante. Participam, ainda, da mesa, o sr. Tadeusz Kowalczyk, dinâmico e prestigioso presidente da Sociedade Polónia, de Porto Alegre, figura de incontestável valor, pois, que, nos campos de batalhas em prol da recuperação da liberdade da Polónia, conquistou quatro condecorações



conferidas pela Grã-Bretanha e duas condecorações conferidas pelo Comando do Exército Polonês que participou da invasão da Europa, eloquentes afirmações de sua bravura; sr. Estanislau Karpiński, sr. Estanislau Kowalski, sr. Ladislau Zurawski, vice-presidente da Sociedade Polónia; d. Ilda Zurawski, d. Angela Kowalczyk, escritor Jan Wójcik — outra figura que participou das batalhas pela liberdade da Polónia, tendo sido oficial do Exército Polonês; d. Danuta Wójcik, sr. Paulo Bartoszyk, sra. A. Bartoszyk, além de uma infinidade de outras pessoas que não conseguimos anotar. A festa prolongou-se até altas horas da noite, durante a qual foram levantados brindes em honra da crescente prosperidade da Polónia e do Brasil, bem como da felicidade dos respectivos povos amigos. Também, todos almejarão ao vitorioso escritor Michal Rusinek, nova série de triunfos, de cujos benefícios participará a sua Polónia, que tanto hoje necessita da colaboração de todos os seus filhos espalhados por todos os continentes, na batalha pela consolidação da sua independência, para a glória da Democracia, da Liberdade e da própria Civilização.

J. Thadéo Konarzewski de Onar, - redator do DIÁRIO DE NOTÍCIAS.

RODOFIEL S. A.

EXCELENCIA EM

TRANSPORTE

W Brazylii o Polsce - w Polsce o Brazylii

MICHAŁ RUSINEK
O BRAZYLII

W dwóch felietonach zamieszczonych w "Życiu Warszawy" Michał Rusinek kreśli swoje wrażenia z pobytu w Brazylii, gdzie był delegatem na XXXI Międzynarodowy Kongres Penclubów. Podajemy ciekawsze wyjątki z tych felietonów.

O prez. Kubitchku Rusinek wyraża się z uznaniem:

Z obecnym prezydentem Brazylii miałem zaszczyt rozmawiać w jego Palacio da Alvorada (Pałac Jutrzenki) w nowej stolicy. Jest to mąż stanu o ujmującej powierzchowności, nader przystępny, dowcipny i, jak tu mówią, człowiek charakteru, który mimo gwałtownych sprzeciwów i oporów dopiął swego, tj. przeniósł stolicę w głąb kraju. Poza tym zjednał sobie goszczynnych u siebie ludzi pióra ciekawym przemówieniem, w którym apelował, by pisarze przyczynili się do pokoju i koegzystencji poważniejszego świata.

Nowa stolica, Brasília, wywarła na pisarzu duże wrażenie.

Zwiedzenie nowej stolicy nie jest łatwe. Poszczególne dzielnice są rozrzucone, odległe od siebie o 15 — 20 km. Między tymi — już zbudowanymi — fragmentami wiją się nowe jezdnie, które na każdym skrzyżowaniu wplatają się w dwie kondygnacje. Dla pieszych przeprowadzono tunele, którymi na razie nikt nie chodzi.

Podziw zwiedzającego budzi zarówno ten plan urbanistyczny pełen rozmachu, jak i pełna fantazji architektura poszczególnych budowli. Jedno i drugie jest dziełem dwóch architektów brazylijskich Lucio Costa i Oscara Niemeyera. Temu zwłaszcza ostatniemu może pozazdrościć każdy architekt świata. Niemeyer dostał do dyspozycji teren nie dotknięty dotąd ludzką stopą i zupełną swobodę pozwalającą mu wyżyć się w pełni jako twórcy. Innymi słowy — robił co chciał.

Powstały stąd budynki nie dające się z niczym dotychczas

porównać — fantastyczne, a czy w pełni użytkowe to sprawa do dyskusji.

Dlaczego właśnie tutaj, w ziemi bez wody, gdzie usychają nawet zasadzone palmy zbudowano nowe miasto? Podobno zadecydowało o tym centralne położenie terenu.

Miasto jest rozległe, ale bezludne, choć już posiada ponad 100.000 mieszkańców. Na ulicach widać tylko limuzyny i grupy półnagich i bosych robotników idących na przełaj przez autostrady. Kobiet w ogóle się nie widzi, mimo że podobno jest ich 20 proc.

Architektura wspaniała, ale miasto na razie smutne, w niczym nie podobne do hucznego Rio. São Paulo czy Santos.

W praktyce w mieście żyją urzędnicy i robotnicy. Dygnitarze latają stale między Brasília, a Rio de Janeiro. Mój przyjaciel brazylijski, jeden z dramaturgów, mówił mi, że jeśli zobaczę na ulicy stolicy uśmiechniętego człowieka — będzie to na pewno jegomość idący z biletem w kieszeni na lotnisko. Ze mną było chyba inaczej. Powracałem na lotnisko raczej rozczulony, bo zbyt krótki czas spędziłem w tym niezwykłym mieście, oazie zakopanej w dziewiczych lasach.

"TESTAMENT PSA" ARIANO SUASSUNY NA SCENIE WARSZAWSKIEJ

Sztuka Ariano Suassuny: "Testament psa" wystawiona niedawno na scenie teatru Ateneum w Warszawie spotkała się na ogół z dość przychylnym przyjęciem. Nie brak jednak było głosów krytycznych. Zofia Karczeńska-Markiewicz pisze na łamach "Życia Warszawy":

Wydało mi się, że autor "Testamentu psa" naśladuje w znacznym stopniu schemat trzeciej części trylogii Vicente'a, zatytułowanej "Trilogia das Barcas", którą inspirowali się zresztą także Lope de Vega i Calderon. W owej "Barce Raju" występują dygnitarze świeccy i ko-

ścielni: król, cesarz, hrabia, książę, biskup, arcybiskup, kardynał, papież, którym diabeł mówi w oczy gorzką prawdę i przed którymi jednak w końcu otwierają się bramy raju. Suassuna nie sięga do tak wysokich stopni hierarchii. W swej satyrycznej krotce daje przekrój społeczny brazylijskiej prowincji, rozgrywając farsową intrygę z "iberyjską" ostrością, skłonnością do przesady i jaskrawych kontrastów. Brak mu wszakże tej werwy i umiejętności budowania sytuacji scenicznych, jakie cechują jego wielkiego protoplastę — Vincente'a. Nie zdobył się także na interesującą stylizację, próbując wskrzesić dla współczesnej sceny starą formę dramatyczną. Sztuka jest nużąca i nudna. W drugiej części, rozgrywającej się u bram raju, czyścica i piekła powtarzają się wątki przedstawione w pierwszej części, a nawiąna warstwa dydaktyczna sztuki, podana w formie przypowieści biblijnej, nie przemawia do dzisiejszego widza.

Wyobrażam sobie, że dla tekstu Suassuny można by znaleźć idealny kształt sceniczny w teatrze marionetek. Myślałam o tym podczas przedstawienia "Testamentu psa" w teatrze Ateneum, gdzie aktorzy zmagali się z trudnościami, jakie następcza

interpretacja postaci ledwie przez autora naszkicowanych, reprezentujących typy, nawet symbole, a nie indywidualne walory psychiczne. Łalka czy maska o wiele wyraziściej, dosadniej i zabawniej może "wcielić się" w takie figury jako "aktor" dysponujący z zasady zdolnościami syntetyzowania i wyjaśniania cech ludzkich.

— ☆ —
Odmienne ocenia sztukę T. w "Przeglądzie Kulturalnym":

Teatr Ateneum wystąpił przed kilku dniami z premierą brazylijskiej sztuki Ariano Suassuny: "Historia o Miłosiernej, czyli Testament psa". Sztukę tę należy poznać, inscenizacja Konrada Swinarskiego ma urok nieprzymuszonej zabawy i styl wytrawnej roboty teatralnej. Nie wymieniamy, kto gra tam brazylijskich cwaniaków, kto głupawego plebana, kto chytrygo biskupa, kto diabła, Pana Jezusa i Bożą Rodzicielkę. Wystarczy, że sygnalizujemy obecność tych wszystkich osób na scenie, a także to, że obok tekstu i inscenizacji względ na kilka znakomitych ról zaleca tę nowość w Ateneum.

Sztuka obudzi wesołość (nawet wzruszenie). Razić natomiast może ludzi ponurych i z

D. c. na str. 37

Veja página 38

Dirijo-me aos brasileiros, para dizer-lhes a palavra que de há muito esperam, aquela pela qual tanto almejam. Palavra de atenção. Palavra de consideração pelos problemas de tão importante parcela de nacionalidade. Palavra de um presidente que não será não continuará alheio e surdo às suas aspirações.

São os brasileiros naturalizados — brasileiros por adoção, por desejo, pelo espírito, pelo coração. Tornaram-se brasileiros por vontade própria. Como quem alcança um ideal. São bons brasileiros. Nascidos em outras terras e vindos para o nosso convívio, do Brasil fizeram a sua Pátria, nesse se integraram de corpo e alma, como cidadãos e patriotas. Pelo Brasil trabalham, pelo Brasil lutam, pelo Brasil vibram.

Conheço os sofrimentos destes homens, destas mulheres. Sofrimento moral, essencialmente moral, ante a discriminação de leis retrógradas, ante a insensibilidade de governos divorciados da realidade. Debalde têm eles reclamado contra as restrições de seus direitos, contra os preconceitos de estreito nacionalismo. Debalde vêm apelando para os poderes públicos, eis que o governo da República, por um laivo de fraqueza moral que não é da Nação nem da nacionalidade, se tem mostrado temeroso de estender a estes bons brasileiros as liberdades cívicas a que todos devem ter direito sob pena de invalidar-se o princípio de igualdade, o mais insubstituível esteio do regime democrático.

Que restrições se justificam contra estes brasileiros? Que alegações se podem levantar contra as suas reivindicações de índole política, social, econômica? Por que castigá-los com discriminações desconhecidas em outros países, por que marcá-los com o estigma de brasileiros suspeitos, incapazes de uns tantos direitos civis? Já não optaram eles pela Pátria comum? Já não deram a prova mais cabal dos seus sentimentos e de sua decidida preferência pela cidadania brasileira com o próprio ato de naturalização?

Estes brasileiros, que a lei estigmatiza, conheço-os nas suas aspirações. E porque sinto os seus problemas, compreendo-os. E por compreendê-los, dirijo-lhes a minha palavra de conforto moral, de esperança.

A minha palavra os brasileiros naturalizados, é essencialmente uma palavra de confiança.

Confiem também eles, de seu lado, em que, na presidência da República, eu saberei finalmente dizer-lhes a palavra de vitória.

JANIO QUADROS



NAUTIPLAS

STANISŁAW & CIA. LTDA.

artefatos de fiberglas - embarcações - carrocerias
Caixa Postal 12655

SÃO PAULO — Santo Amaro

ESTALEIRO: — Av. de Pinedo, 768

Tel.: — 61-22-94

End. telegr. — NAUTIPLAS

Epizod z bitwy pod Falaise

D. c. ze str. 9

dzina siódma wieczór. Słońce zachodzi.

Ze wzgórza widok jak w filmie batalistycznym. Znajdujemy się na tyłach niemieckich, otoczeni z trzech stron przez ich oddziały i urządzenia. Dokoła pożary i pożary. Wydaje się jakby całe tyły niemieckie były nimi objęte. Nie wiem, czy sami palą swoje składy, czy też to skutek naszych bombardowań. Na tle pożarów poruszają się kolumny konne i zmotoryzowane. Widać nawet stanowiska baterii po błyskach wylotowych dział. Nie każe strzelać ze względu na oszczędność amunicji i żeby nie zdradzać naszej obecności. I tak, myślę, wpadniecie w nasze ręce jutro, najdalej pojutrze.

Dowódcy szwadronów meldują, że benzyny starczy zaledwie na 25 km. marszu. Podaję do brygady swoje położenie oraz stan benzyny, prosząc o uzupełnienie.

W słuchawkach trzask, jazgot, rozmowy polskie, niemieckie, angielskie i jakaś przeklęta muzyka. Odbiór okropny. Biedny Janusz Barbarski szaleje przy stacji nadawczo-odbiorczej, zachrypł od krzyku.

Wreszcie jednak mówi:

— Brygada pokwitowała.

Zaopatrzenie pobierzemy około północy od 1-go pułku pancernego. Każe Januszowi zameldować, że na nowe zadanie ruszymy o godzinie 2 w nocy.

Mamy więc około pięciu godzin czasu: półtorej godziny na przegląd sprzętu, dwie na odpoczynek i godzinę na pobranie zaopatrzenia i przygotowanie do marszu.

Kładę się pod czołgiem ale sen nie nadchodzi. Właściwie nie ma mowy o spaniu w takiej sytuacji. Myślę o szczegółach wykonania planu. Szukam najodpowiedniejszej drogi i wertuję teren z mapy. Staram się zapamiętać każde wzgórze, każde rozwidlenie drogi i każdą miejscowość. Staram się przewidzieć prawdopodobne postoje nocne Niemców, odcyfrować ich ubezpieczenia. Powoli z tego wszystkiego wyłania się do-

kładny plan wykonania całego przedsięwzięcia.

Budzę majora Mincera i polecam mu znaleźć przewodnika. Po pewnym czasie Bidzio wraca z jakimś zastrachanym Bretończykiem, który powiada, że zna drogę do Chambois i że może nas tam poprowadzić.

Dochodzi północ. W szwadronach zaczyna się ruch. Zapowiedziane zaopatrzenie jednak nie nadchodzi.

Patrzę co chwila na zegarek i stale nasłuchuję czy nie słyszę nadjeżdżających pojazdów. Nie ma nic poza dalekim odgłosem kanonady artyleryjskiej. Jest ona szczególnie gwałtowna w kierunku Trun; wygląda to jak jakieś poważniejsze działanie. O zaopatrzeniu ani słychem, ani dychu. Zaczynam się pocić z emocji. Wraca stare napięcie jak przy pobieraniu decyzji. Choć teraz jest ono znacznie gorsze, gdyż tutaj sam nie mogę nic poradzić ani wymyśleć. Zdany jestem całkowicie na czekanie.

Co mam zrobić, jeżeli zaopatrzenie nie nadejdzie do godziny w pół do drugiej? — Czy mogę wyruszyć z zapasem paliwa wystarczającym zaledwie na 25 kilometrów? Co będzie, jeżeli zostaniemy zmuszeni do nakładania drogi, wymijania oporu niemieckiego albo zawrócenia lub manewrowania. Z drugiej strony, czy mam prawo czekać, aż nadejdzie zaopatrzenie — rano, może jeszcze później? Przecież od tego co zrobię zależeć będzie wynik całej operacji — zamknięcia Niemców w worku pod Falaise.

Jeżeli nie wyruszę zaraz, w nocy, to nie nawiążę styczności z Amerykanami i Niemcy się wymkną. Jeżeli nie dojdę na czas do Chambois to zmarnuję własnymi rękami okazję decydującego pobicia Niemców w Normandii, pierwszą tego rodzaju okazję od czasu wyładowania.

Z drugiej strony, gdy zabraknie mi benzyny w czasie działania — stracę pułk pancerny i batalion piechoty za darmo, bez jakichkolwiek wyników, ponieważ zgrupowanie

nie będzie mogło manewrować, wycofać się, ani zająć odpowiednich stanowisk ogniowych. Niemcy wystrzelają nas jak kaczki. Głowa mi pęka od tych myśli. Wydaje mi się, że zwariuję, jeżeli będę szukał dalej odpowiedzi na nurtujące mnie pytania.

Odzyskuję w końcu zimną krew. Dochodzę do przekonania, że konsekwencje nie wyruszenia są większe, niż ryzyko wymarszu bez dostatecznego paliwa. Decyduję, że wyruszę, gdyż wyruszyć muszę. Nie mogę nie wykonać zadania nie próbując — cokolwiek się dalej stanie.

Mówię do Janusza:

— Melduj, że zaopatrzenie nie nadeszło i że ruszamy o godzinie drugiej z zapasem benzyny wystarczającym na 25 kilometrów.

Mimo powzięcia decyzji czuję się okropnie. Ciągłe nasłuchuję, ciągle mam jeszcze nadzieję, ale myślę:

— A to ładny początek. Jeszcze się nic nie zaczęło właściwie, a co będzie dalej?

Schodzą się na odprawę dowódcy pododdziałów. Są tak straszliwie zmęczeni, że ledwo trzymają się na nogach. Kładziemy się pod drzewami i nakrywamy płótnami namiotowymi.

W górze krążą niemieckie samoloty rozpoznawcze. Rzucają "flary" oświetlają teren.

Rozpoczynam odprawę, podaję ogólną sytuację na froncie, która wytworzyła się na skutek dwustronnego przeskrydlenia Niemców. Wyjaśniam zadanie. Widzę na wszystkich twarzach zdumienie i niedowierzanie.

Ktoś mówi:

— Co? Dokąd mamy dojść? Do Chambois? Przecież...

— Nie ma żadnych "przecież" — powiadam — ani pomyłki. Mamy tam dojść i dojdziemy. Zdecydowałem się wykonać nasze zadanie przez zaskoczenie. Za godzinę ruszamy i przejdziemy po ciemku przez ugrupowanie niemieckie. O świcie stanemy w Chambois. Paliwo wystarczy nam zaledwie na przemarsz.

Do czasu dotarcia do Chambois nie możemy wchodzić się w walkę. Musimy za wszelką cenę unikać zdradzenia naszej obecności. Dla-

tego zarządzam ciszę radiową. Nikt nie ma prawa rozmawiać na sieci. Wszystkie, nawet najpilniejsze wiadomości, należy przekazywać przez gońców. Nikomu nie wolno rozmawiać w wieżach, zwłaszcza w razie zatrzymania kolumny. Nie wolno również nikomu rozpoczynać walki nawet gdyby Niemcy pierwsi otworzyli ogień. Będziemy się zachowywać jak gdyby to była kolumna niemiecka, do której ktoś strzelił przez pomyłkę. Nie wydać się możliwe, ani prawdopodobne, aby Niemcy potrafili nas zatrzymać albo zrobić krzywdę skutecznym ogniem — mogą jedynie strzelać na ślepo. Nie odpowiadając na ogień zdeorientujemy ich i wprowadzimy zamęt.

W sumie posuwamy się udając Niemców. Musimy zrobić wszystko, aby nie zdradzić się jak najdłużej.

Na przemarsz wybrałem taką drogę, aby możliwie nie pobić. W razie wątpliwości czoło powinno się trzymać drogi lepszej — szerszej lub bitej. Gościńiec wybrany przeze mnie prowadzi jedynie przez dwie miejscowości, w których będą napewno kwaterować Niemcy. Są to dwa najgroźniejsze momenty. Poza tym do świtu nie powinniśmy mieć wiele zmartwienia. Dopiero po osiągnięciu Chambois czeka nas walka i to prawdopodobnie ciężka walka. Podałem, następnie, porządek marszu, drogę i inne szczegóły.

— Czy wszystko jest jasne i zrozumiałe? — mówię na zakończenie. — Macie dwadzieścia minut na odprawę z załogami. Sądzę, że mamy wszelkie szanse dotarcia do Chambois, jeżeli będziemy postępować rozsądnie i jeżeli będziemy mieli trochę szczęścia.

Odprawa odbywa się na ziemi. Leżymy nakryci płótnami namiotowymi, gdyż w górze krążą bez przerwy samoloty nieprzyjacielskie.

Oficerowie są straszliwie zmęczeni. Co chwila których zasypia. Mówię do nich, przerywając co pewien czas słowami: "nie spać!", "słuchać, do diabła, bo was później szlag trafi!" Każe powtarzać co powiedziałem lub zapytuje o coś, aby utrzymać uwagę.

Sam, o dziwo, jestem teraz najzupełniej pewien, że nasze przedsięwzięcie się uda i staram się przekazać tę pewność podwładnym. Nie wiem, czy mi się to udaje, gdyż słuchacze są otepiali ze zmęczenia i nie bardzo przyjmują do wiadomości, co do nich mówię. Wreszcie zwalniam ich. Odchodzą do pododdziałów wojować z kolei ze zmęceniem swych podwładnych.

Tymczasem mija w pół do drugiej. Zaopatrzenie nie nadchodzi.

Piechota wsiada na czołgi, ale ludzie są tak śpiący, że zlatują z wozów albo natychmiast po wejściu do wozu zasypiają. Załogi czołgów są również pół przytomne. Rusza się to wszystko jak muchy w smole. Nawet adiutant, chłop twardy i mocny, leży przegięty w pół na wieży i chrapie. Dowódcy pododdziałów otrzeźwili trochę po odprawie widać jednak, że daleko im do zwykłej energii. Wskutek tego przygotowanie do wymarszu jest szalenie nieskładne i wolne. Zdają sobie sprawę, że nie bardzo panują nad ludźmi, którzy albo zasypiają, gdy się do nich mówi albo słuchają patrząc błędnymi oczami.

Wyda mi się, że nie ruszę nigdy tej kiedyśdziej sprawnie działającej maszyny. Biegam więc świecąc żołnierzom w oczy latarką, budzę ich i wymyślam. Mam wrażenie pchania jakiejś bezwładnej bryły, w której jeśli jedna część się rusza to druga nieruchomieje. Zmęczenie sparaliżowało wolę i energię ludzi. Pomagają mi jedynie nieustraszeni regulatorzy ruchu.

Mijają minuty ciągnące się w nieskończoność. Wreszcie kierowcy zapuścili silniki, a dowódcy zajęli miejsca w wieżach. Sadowię się i ja wreszcie w swoim czołgu i każę ruszać pierwszemu szwadronowi. Jest ciemna, chociaż gwiazdzista noc. Do koła las. Szwadron posuwa się wąską drożyną leśną. Manewrowanie czołgami nastręcza duże trudności. Zejście ze wzgórza trwa bardzo długo. Czas leci. Niecierpliwie się patrzę co chwila na zegarek.

Nagle krach! Dziewiąty, czy dziesiąty z kolei wóz wali się z nasypu barykadując całkowicie drogę dla następnych czołgów.

Wołam czołg buldożer i polecam torować drogę w innym miejscu. Buldożer podjeżdża, sapie i stęka, cofa się do tyłu i posuwa kilkanaście centymetrów do przodu. Wydaje się, że trwa to godziny.

Jest już po drugiej. Silniki pracują, życiodajna benzyna płynie, a mnie krzepnie krew w żyłach. Mimo chłodu nocy jestem mokry od potu. Już widzę kolumnę unieruchomioną, bez możliwości prowadzenia walki. Chwilami mam straszliwą ochotę zastrzymać całe działanie.

Boczna droga zostaje wreszcie przetarta. Czołgi wjeżdżają na nią jeden po drugim i znikają w czarnej czełusci wąwozu. Schodzi również mój poczet. Jest godzina druga czterdzieści pięć.

Dalsza droga odbywa się bez wypadku. Jedyny czołg pozostawiony na wzgórzu 262, pozostał tam przez dziesięć lat jako widome świadectwo naszej bytności i nikt nie pokusił się, żeby go ściągnąć.

Po zejściu ze wzgórza jedziemy początkowo stromą, leśną drożyną, która stopniowo rozszerza się w dość dobry trakt. Przesiadam się do "scout-caru" i przejeżdżam wzdłuż kolumny.

Jak dziwnie! Wyda mi się jakby prąd przeszedł nagle przez wszystkich ludzi. Czuję wyraźnie, że martwa bryła, która jeszcze przed chwilą była luźnym zbiorowiskiem żołnierzy i której nie mogłem ruszyć z miejsca, ożyła, stała się znów żywym, czującym organizmem, stała się znów oddziałem wojskowym.

Widzę przed sobą postacie dowódców wychylonych z wież, czujnie patrzących w teren, utrzymujących odległości.

Widzę motocyklistów regulacji ruchu, krążących wzdłuż kolumny jak psy owczarskie, śledzących, czy wszystko jest w porządku i czy ktoś nie potrzebuje pomocy.

Widzę jak załogi sprawdzają napęd wieży i porządkują amunicję, przygotowując się do walki. Czuję że wszyscy zdają sobie wreszcie sprawę z ważności tego co robimy.

Ogarnia mnie spokój.

Za nic na świecie nie oddał bym teraz nikomu naszego zadania. Wiem bowiem, że ci ludzie nie zawiodą, że można na nich polegać, że wykonamy wspólnie co nam nakazano. Nie oddał bym również za nic mego zmagania się ze sobą samym, bo rozumiem, że nie zmagalem się na próżno.

Te 62 dział i ponad 200 karabinów maszynowych, mijające mnie teraz w pancernych osłonach, wdrze się wkrótce głęboko w żywe ciało nieprzyjaciela i rozerwie je na kawałki. Patrząc na przejeżdżającą koło mnie kolumnę czuję jej puls w terakocie gąsienic, w graniu silników, w równych odległościach między czołgami, w skupionych postaciach dowódców, którzy wychyleni z wież pozdrawiają mnie ruchami ręki. Wyziera z tej kolumny, mknącej w nieznaną, jakaś potęga. Czuję ją: jedno moje słowo, jeden znak i ładowniczo wie wrzucić pociski do luf. Broń plunie żelazem w wybrany cel, we wskazany punkt, siejąc postrach i zniszczenie. Kto nie dowodził nie może znać tej szalonej emocji.

A kolumna posuwa się jak widmo.

Podjeżdżam do czoła i powiadam ppor. Przyborowskiego jadącego w pierwszym czołgu, że za dwa, trzy kilometry przetniemy szosę prostopadłą do naszej drogi marszu i że prawdopodobnie odbywa się tam ruch oddziałów niemieckich. Ma jechać nie zatrzymując się i nie oglądając na nic. Wydaje rozkaz schowania się w wieżach.

Wsuwam się ze swoim scout-carem za trzeci czołg plutonu ppor. Przyborowskiego. Ciekaw jestem szalenie co się teraz stanie.

Już z odległości 300—400 metrów widzę zarys szosy. Na szosie spostrzegam jak

gdyby kolumnę samochodów posuwających się na wschód (od strony frontu).

Przyborowski, nie zmieniając tempa, zbliża się do skrzyżowania. Na skrzyżowaniu migają latarki. Czołg Przyborowskiego wjeżdża na szosę, przecina ją, za nim drugi czołg plutonu.

Teraz wydostaje się na szosę mój scout-car. O dziesięć kroków na prawo ode mnie pośrodku szosy stoi dwóch Niemców. Jeden wykonuje wahadłowe ruchy latarką elektryczną, drugi zwrócony tyłem do mnie, a frontem do zatrzymanej kolumny wozów niemieckich podniósł dłoń w kierunku tej kolumny, drugą wyciągnął poziom do nas. Jest to znak, że możemy przechodzić.

Niemieccy regulatorzy ruchu dają naszej kolumnie pierwszeństwo przejazdu.

Czołg za czołgiem wjeżdża na szosę z drogi polnej. Krótki łoskot gąsienic na brukowanej nawierzchni i znów miękkie dudnienie na drodze polnej. Zatrzymuję scout-car o sto metrów za skrzyżowaniem i patrzę się za siebie jak urzeczony. Kolumna pułku przeszła. Niemcy przepuścili ogółem około 80 pojazdów.

Niemiecki regulator ruchu zmienia pozycję. Daje znak. Ciężarówki niemieckie ruszają. Nie stało się nic.

Podjeżdżam do pocztu i wsiadam do mojego czołgu. W tej chwili słyszę z tyłu trzask niemieckich szmajserów. Kilka serii i cisza.

Czy się zorientowali? Do kogo strzelali? Nie dowiedziałem się nigdy. Nie dowiedziałem się też nigdy dlaczego Niemcy przepuścili nas przez szosę bez wylegitymowania, bez jakiegokolwiek oporu, paniki lub zamieszania. Wszystko odbyło się bardzo zwyczajnie. Żandarmi zatrzymali ruch własnych kolumn i dali nam dobrowolnie wolne przejście.

Może regulatorzy ruchu nie rozróżnili naszych shermanów od swoich panter lub tygrysów, może wybrali dla siebie najbezpieczniejsze rozwiązanie, chcąc ocalić własną skórę. Nie wiem. Na pytanie to byłoby w stanie odpowiedzieć jedynie owi żan-

Notatki z São Paulo

JUBILEUSZ KLUBU 44

Dnia 22 października b.r. odbył się obchód pięciolecia istnienia Klubu 44.

W pięknie udekorowanych salach Klubu zebrali się liczni członkowie i zaproszeni goście. Zwracały uwagę wspaniałe toalety wieczorowe pań.

Wieczór uświetniły występy artystyczne w wykonaniu pań: Barbary Litmanowiczowej i Barbary Sieradzkiej oraz panów: Leszka Biłyka i Zygmunta Jaczewskiego. Dowcipne teksty piosenek i skeczów napisali pp. Baderowie.

Jury składające się z p. Weroniki Neudingowej, p. Kseni Scipio del Campo i p. Antoniego Moszkowskiego dokonało wyboru miss i wice-miss Klubu 44. Miss Klubu 44 została p. Małgorzata Jaczewska, jej zastępczynią p. Ewa Sieradzka. Obie miss otrzymały upominki ofiarowane przez firmę perfumeryjną "Torre Eiffel" p. Michała Hoffera. Wszystkie obecne na sale panie również otrzymały od firmy: "Torre Eiffel" po flakonie wody kolońskiej "44".

BRAZYLIA — KRAJ KONTRASTÓW

Dnia 11 października b.r. w salonach Klubu 44 wyświetlony został film: "Brazylia — kraj kontrastów", zrealizowany przez Zygmunta Bielawskiego na zlecenie firmy: Mercedes-Benz.

Film długometrażowy, trwający prawie dwie godziny, ukazuje w szeregu sekwencji przyrodę i ludzi Brazylii. Są to właściwie dość luźno dobrane sceny bez jakiegokolwiek przewoźnika. Poszczególne ujęcia urzekają jednak świeżością, oryginalnością, niektóre są po prostu świetne, jak np. zabawa pastuchów w Rio Grande do Sul, karnawał w Rio de Janeiro i kapitalny obraz życia w miasteczku rybackim na wodzie w Salwadorze. Bardzo dobrze ukazane zostało również życie dżungli nad Amazonką, choć temat ten należy do dość ograniczonych i dla tego trudnych. Bielawski wniósł tu wiele nowych elementów w innych brazylijskich filmach krajoznawczych nie spotykanych.

Na uwagę zasługuje doskonała barwna fotografia.

Film nadaje się do rozpowszechnienia na szerokim ekranie pod warunkiem uszeregowania jego sekwencji w logiczny porządek i wycięcia niektórych scen, jak np. przydługiej ekspozycji fabryki Mercedes-Benz. Sceny, skrócone, z tej fabryki należało by przenieść na początek filmu, stamtąd bowiem wyruszają wozy firmy w podróż dookoła Brazylii.

Wrażenie z filmu psuje gadatliwy narrator, który bardzo rzadko ustępuje z placu. Jego rozlewające opowiadanie jest całkowicie niestrawne, nie pozwala na spokojne oglądanie obrazu.

Kilka słów o twórcy filmu.

Zygmunt Bielawski jest poznaniakiem. W Poznaniu też ukończył wyższą uczelnię. W czasie wojny służył jako oficer w polskiej dywizji spadochronowej w Anglii.

W branży filmowej pracuje od szeregu lat. W Kongo Belgijskim filmował życie pigmejów. Zwiędził wiele krajów Ameryki Południowej. Jest twórcą ciekawego filmu czarno-białego o płaskowyżu peruwiańskim i jeziorze Titicaca. Je-

go autorstwa są również filmy turystyczno-krajoznawcze z Wenezueli i Boliwii. W ciągu kilku lat produkował kronikę filmową w Argentynie.

as

POPIÓŁ I DIAMENT W SÃO PAULO

20 września br. odbył się w sali Muzeum Sztuki pokaz filmu Andrzeja Wajdy: "Popiół i diament".

Film spotkał się na ogół z przychylnym przyjęciem licznie zebranej publiczności, aczkolwiek jego tematyka jest całkowicie zrozumiała jedynie dla Polaków i to takich, którzy spędzili wojnę i jej koniec w kraju.

as

WIECZÓR ZBIGNIEWA ZIEMBIŃSKIEGO

Znakomity aktor Zbigniew Ziemiński sprawił kolonii polskiej w São Paulo prawdziwą przyjemność swoim występem w Klubie 44 dnia 7 listopada b.r.

Licznie zebrana publiczność przeżywała wzruszające momenty słuchając utworów Mickiewicza, Słowackiego i Fredry, które w interpretacji artysty wypadły barwnie i żywo.

W pierwszej części wieczoru Ziemiński wygłosił "Wielką Improwizację" z trzeciej części Dziadów oraz parę wyciągów z Pana Tadeusza. Następnie przeczytał jeden akt z komedii "Zemsta za mur graniczny" Fredry oraz dialog gospodarza i Wernyhory z "Wesela" Wyspiańskiego.

W drugiej części recitalu artysta przypominał publiczności przedwojenne skecze i piosenki z teatrzyków rewiowych Warszawy. Z godną podziwu pamięcią Ziemiński na wpół odśpiewał na wpół zarecytował niezapomniane kreacje Zuli Pogorzelskiej, Miry Zimińskiej, Lawińskiego i Lopka Krukowskiego.

Wieczór zakończyły recytacje niektórych wierszy ze "Słówek" Boya-Zeleńskiego. Trzygodzinny program przeleciał jak chwila.

JP

POŁONIA PAULISTAŃSKA NA POWODZIAN W KRAJU

Ku uczczeniu wieczoru poezji polskiej w wykonaniu Zbigniewa Ziemińskiego zebrano w Klubie 44 100 dolarów na rzecz powodzian w kraju. Pieniądze te przekazane zostały na ręce ks. kardynała Stefana Wyszyńskiego.

SIATKARKI POLSKIE W KLUBIE 44

Dnia 1 listopada b.r. Klub 44 gościł w swych salonach na kolacji siatkarki polskie i kierownictwo drużyny. Wieczór upłynął w bardzo miłej atmosferze.

Każda z 11 siatkarek otrzymała w upominku sweter wełniany.

WALNE ZEBRANIE KLUBU 44

Dnia 17 listopada b.r. odbyło się w Klubie 44 walne nadzwyczajne zebranie członków. Porządek dzienny zebrania zawierał: sprawę przyznania czynnego i biernego prawa wyborczego mężatkom, żonom członków Klubu; sprawę budowy

własnej siedziby Klubu i wreszcie sprawę podwyższenia składek członkowskich.

Sprawozdanie z tego zebrania podamy w następnym numerze naszego pisma.

WIECZORY CZWARTKOWE

Wieczory czwartkowe Klubu 44 gromadzą coraz liczniejsze zastępy publiczności. Tak np. dnia 18 sierpnia b.r. w wieczorze poświęconym rocznicom historycznym wzięło udział 113 osób, w tym bardzo dużo młodzieży. W wieczorze tym wystąpili: Krystyna Ciesielska, Franciszek Paprocki, Jerzy Rostworowski, Stanisław Koszowski oraz "rewelersi" Klubu: Jaczewski, Piotrowski, Rostworowski i Szabuniewicz, którzy odśpiewali szereg piosenek przy doskonałym akompaniamencie na akordeonie p. Bartischana.

Równie dużą frekwencją cieszył się wieczór czwartkowy w dniu 15 września br., w którym pp. Jaczewska, Sieradzka, Terlecka i prof. Ginsbergowa dzieliły się swymi wrażeniami z pobytu w Polsce.

TURNIEJ SZACHOWY

Do finału turnieju szachowego w Klubie 44 weszli: Erwin Wieczorek, dr. Szymański i Mandelot jr. W rozgrywce, która odbyła się w dniach 27 i 29 września, największą ilość punktów zdobył dr. Szymański. Zwycięzca otrzymał od Klubu piękną nagrodę.

ZBIÓRKA NA BUDOWĘ TYSIĄCA SZKÓŁ

Na ręce Komitetu Tysiąclecia Państwa Polskiego w São Paulo wpłynęły następujące dalsze ofiary na budowę tysiąca szkół w Polsce:

Towarzystwo im. F. Chopina w São Paulo	Cr\$ 5.000,00
Jan Piotr Perkowski	Cr\$ 10.000,00
Osielewiczowie	Cr\$ 1.000,00
Stanisław Boczek	Cr\$ 1.000,00
Gozdowiak	Cr\$ 500,00
J. Tauzyk	Cr\$ 500,00
Rychard Bloch	Cr\$ 5.000,00

Razem Cr\$ 23.000,00

Osoby dobrej woli mogą przesyłać ofiary na ręce skarbnika Komitetu inż. Ryszarda Blocha, rua Peixoto Gomide 462, apt. 60, São Paulo.

Z ŻYCIA TOWARZYSKIEGO

Dnia 6 września b.r. odbył się w São Paulo ślub p. Pauline Jeanette Bodeau z p. Pawłem M. Libermanem, znanym architektem polskim.

Dnia 21 września b.r. w kościele São Luiz w São Paulo odbył się ślub p. Doroty Merenholz, córki znanego tutejszego optyka Polaka, z p. Afonso Celso de Aquino, fazenderem ze stanu Bahia.

RODOFIEL S.A.
EXCELENCIA EM

TRANSPORTE

KRONIKA ZIEM ZACHODNICH

PRZEMYSŁ CHEMICZNY NA ZIEMIACH ZACHODNICH I PÓŁNOCNYCH

Konieczność szybkiego rozwoju przemysłu chemicznego we wszystkich gospodarczo rozwiniętych krajach — jest sprawą oczywistą. Znaczenie przemysłu chemicznego w gospodarce Polski jest tym większe, że rozwój jego opiera się głównie o krajową bazę surowcową. W latach 1949 - 1959 produkcja przemysłu chemicznego w Polsce wzrosła przeszło 6-cioкратно, a jego udział w wartości globalnej produkcji przemysłu wzrósł z 4,6% w roku 1949 do 6,7% w roku 1959.

Poważna część przemysłu chemicznego położona jest w woj. zachodnich. Udział terenów zachodnich w ogólnokrajowej produkcji przemysłu chemicznego przekracza 26%. W całym szeregu asortymentów udział ten jest znacznie wyższy. Np. w roku 1959 wyprodukowano tu w stosunku do produkcji ogólnokrajowej 100% elektrod węglowych, 100% steeonu, ok. 50 % nawozów azotowych, ok. 40% kwasu siarkowego, ok. 40% nawozów fosforowych.

Na ziemiach zachodnich pracuje szereg bardzo dużych — jak na warunki polskie — zakładów przemysłu chemicznego. Największe z nich, to Zakłady Przemysłu Azotowego "Kędzierzyn" w woj. opolskim. Ten drugi co do wielkości zakład przemysłu chemicznego w Polsce zatrudnia ok. 3.500 ludzi, a wartość produkcji "Kędzierzyna" przekroczyła w ubiegłym roku 1 miliard zł. Wyprodukowano tu wówczas ok. 128 tys. ton nawozów azotowych w czystym składniku, co stanowiło blisko 50% produkcji ogólnopolskiej. Poza tym zakłady w Kędzierzynie produkują bogaty asortyment innych chemikaliów.

Niemalą rolę odgrywają również Zakłady Włókien Sztucznych w Gorzowie. Są one jedynym producentem steeonu w Polsce. W roku 1959 wyprodukowano tu 3.300 ton tego cennego włókna (równowartość 147 mln. par pończoch.) Zakłady zatrudniają około 3.000 ludzi.

Nadodrzańskie Zakłady Przemysłu Organicznego "Rokita" w Brzegu Dolnym (woj. opolskie) produkują szeroki asortyment chemikaliów. M. in. zdolność produkcyjna fenolu wynosi tu 4 tys. ton rocznie.

Z innych większych zakładów należałoby wymienić — Fabrykę Elektrod Węglowych w Raciborzu (jedyny producent elektrod węglowych w Polsce), Gliwickie Zakłady Tworzyw Sztucznych w Gliwicach — największą tego typu fabrykę w Polsce, Fabrykę Kwasu Siarkowego w Wivowie — która jest jedyną w Polsce i jedną z niewielu na świecie fabryk, produkujących kwas siarkowy w oparciu o anhydryt i gips. Zdolność produkcyjna zakładu wynosi 90 tys. ton kwasu siarkowego i 90 tys. ton cementu rocznie.

Poza tym zakłady włókien sztucznych — w Jeleniej Górze, Wrocławiu i Szczecinie, zakłady tworzyw sztucznych w Oławie, fabryka farb i lakierów we Wrocławiu (największe tego typu zakłady w Polsce); zakłady farmaceutyczne w Jeleniej Górze itd.

Przemysł chemiczny, położony na ziemiach zachodnich i północnych przed II wojną światową zatrudniał niewiele ponad 17 tys. ludzi, a jego udział w produkcji niemieckiego przemysłu chemicznego wynosił 1,75% w roku 1933 i 1,30% w r. 1939. Przemysł ten, co prawda, zwiększył przeważnie swoją produkcję i zatrudnienie w czasie wojny, lecz związane to było z przerzucaniem produkcji o charakterze wojennym właśnie na te tereny.

Stopień zniszczeń przemysłu chemicznego na ziemiach zachodnich i północnych był olbrzymi. Wśród zakładów prawie całkowicie zniszczonych, znajdowały się praktycznie wszystkie większe, zbudowane tu w czasie wojny, a przede wszystkim w Kędzierzynie, Blachowni i w Brzegu Dolnym. O wysiłku społeczeństwa polskiego włożonym w odbudowę i rozbudowę przemysłu chemicznego na ziemiach zachodnich świadczy m. in. fakt, że w latach 1950-55 nakłady na budowę i rozbudowę podstawowych zakładów przemysłu chemicznego na tych terenach wyniosły ponad 1/3 łącznych nakładów inwestycyjnych dokonanych w przemyśle chemicznym całego kraju.

Intensywnej rozbudowie na ziemiach zachodnich ulegną w najbliższych latach przede wszystkim Zakłady Przemysłu Azotowego w Kędzierzynie, Zakłady Włókien Sztucznych w Gorzowie oraz Zakłady Koksownicze "Blachownia" w Blachowni, pow. Koźle. W woj. olsztyńskim wybudowana zostanie nowa fabryka tworzyw sztucznych oraz fabryka farb i lakierów. W woj. koszalińskim powstanie fabryka opon i regeneratu. — (Z. A. P.)

POLSKA PRODUKUJE LIGNOSTON

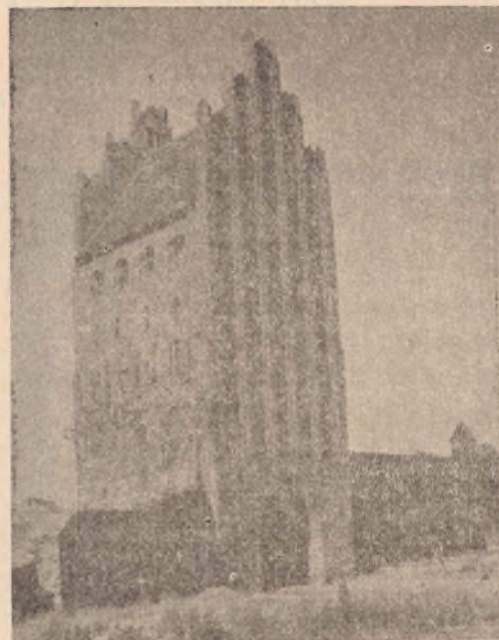
Skończył się już okres eksperymentowania i ustalania technologii produkcji lignostonu, czyli twardego, prasowanego drzewa, używanego w przemyśle. Jedyna w Polsce fabryka tego materiału w Olsztynie pokryje całkowite zapotrzebowanie w kraju oraz wykona spore partie zamówione już przez zagranicę. Lignoston — uzyskiwany w drodze skomplikowanego procesu technologicznego z drzewa bukowego i używany do produkcji części maszyn, podlegających wibracji i tarcia (np. czółenka do maszyn tkackich, suwaki w kopalniach itp.) jest twardszy i wytrzymalszy na tarcie od stali — (ZAP).

KONSERWACJA ZABYTKÓW ARCHITEKTURY

109 obiektów zabytkowych w zachodnich i północnych regionach kraju objętych jest w b. r. pracami konserwatorskimi. Są to przeważnie zamki, kościoły, założenia obronne (mury, wały, baszty), budownictwo miejskie oraz obiekty unikalne. Niektóre z nich zostaną zabezpieczone w formie trwałych ruin, inne będą częściowo lub całkowicie zrekonstruowane. Przewiduje się m. in. oddanie do użytku w roku przyszłym zamków w Nidzicy, Krośnie Odrzańskim i ew. w Międzyrzeczu.

Do ciekawych architektonicznie i historycznie obiektów unikalnych, objętych kapitalnym remontem, należy most gotycki z XIV wieku w Reszlu. Most służył kiedyś także za więzienie. Cele mieściły się w filarach a wchodziło się do nich przez klapy w chodniku. Innym unikatem jest drewniana, XVII-wieczna papiernia w Dusznikach, której wyroby znane były i cenione w całej Europie, a także dawna latarnia morska, później twierdza, w Wisłoujściu.

Późniejszym, niezwykle cennym obiektem jest Mauzoleum Piastów świdnickich w Krzeszowie. Niewiele tego rodzaju zabytków ma Polska. Klasyczny gotyk polichromowanych grobowców przeplata się tutaj z późniejszym, bogatym w kolory, złocenia, stiuki i wszelkiego rodzaju ornamentykę barokiem całej budowli. — (ZAP).



GOLENIÓW — BRAMA CHROBREGO

— ★ —

NOWA DZIELNICA MIESZKANIOWA WE WROCŁAWIU

W tym roku rozpoczynają się prace przy budowie nowej dzielnicy we Wrocławiu. Zajmie ona obszar 120 ha, gdzie stanie ok. 100 bloków mieszkalnych, których koszt budowy przekroczy pół miliarda złotych.

Będzie to najbardziej nowoczesna dzielnica Wrocławia. Pomyślana jako kompleks mieszkaniowy będzie posiadała wszystkie urządzenia gospodarcze, kulturalne i socjalne, jak np. sklepy, domy towarowe, restauracje, kawiarnie, bar samoobsługowy, kino na 600 osób, 10 żłobków i przedszkoli, 2 szkoły ogólnokształcące i jedną zawodową. W dzielnicy zamieszka ok. 25 tys. osób. — (ZAP).

ODBUDOWA KOŚCIOŁÓW W ARCHIDIECEZJI WROCŁAWSKIEJ

Na terenie archidiecezji wrocławskiej znajduje się obecnie w odbudowie około 20 historycznych kościołów, w tym kościoły w Lubinie Legnickim, Kamiennej Górze, Bogatyni oraz we Wrocławiu — "na Piaskach" i św. Marcina.

W latach zaś 1956-1959 na terenie archidiecezji wrocławskiej odbudowano 49 kościołów. — (ZAP).

PARK NARODOWY NA WOLINIE

Wyspa Wolin jest jednym z ciekawszych regionów przyrodniczych i geograficznych polskiego wybrzeża. Pokryta jest dąbrowami, lasami bukowymi i mieszanymi. W głębi wyspy niektóre partie drzewostanu mają cechy lasu pierwotnego. Zachowały się tam liczne okazy starych drzew — pomników przyrody. W bogatym runie leśnym występu-

Dokończenie na str. 6

RODOFIEL S.A.
EXCELENCIA EM
TRANSPORTE

SIATKARKI POLSKIE W BRAZYLII



Przyjechało ich jedenaście. Wszystkie wysokie, długonogie, zgrabne... Kiedy zobaczyłem je po raz pierwszy na stadionie Pałacu Sportowego Ibirapuera w São Paulo serce zabiło żywiej. Te głowy, przeważnie jasnowłose, przypomniały daleką Ojczyznę.

Nie będę pisał o grze. Na siatkówce znam się mało, pozostawiam to sprawozdawcom sportowym. Jestem przekonany, że walczyły z poświęceniem, że starały się o najlepszy wynik. Nie zawsze się to udawało. Nie można mieć o to pretensji. W sporcie dużo zależy od kondycji i ta kondycja nie zawsze dopisywała. W dużej mierze wpłynęło na to nieodpowiednie i niedostateczne odżywianie i fatalne warunki mieszkaniowe. Byłem świadkiem jak siatkarki nasze po powrocie z wyczerpującego spotkania z Urugwajkami i po treningu zarządzonym przez trenera po meczu nie otrzymały kolacji.

Lokal, w którym siatkarki polskie umieszczono (zresztą nie one tylko jedne, gdyż mieszkało tam jeszcze kilka innych drużyn) był brudny, jak to się nie zdarza nawet w trzeciorzędnych hotelach w Brazylii. W nocy zamiast spać dziewczęta musiały wojować z pchłami. Należy to zapisać na konto organizatorów, którzy w ogóle spisali się na dwójkę z minusem.

Kilka słów o naszych kochanych rodakach. Nie często się przecież zdarza, żeby jakiś zespół sportowy

polski zawitał do Brazylii. I chyba należy się takiemu zespołowi nieco serdeczności i troski ze strony wychodźstwa bez względu na różnicę przekonań politycznych. Bo przecież te dziewczęta, Polki z krwi i kości, nie mają nic wspólnego z tym czy innym ustrojem w Polsce. Tymczasem to co je spotkało w São Paulo można nazwać skandaliczną obojętnością. Po wygranym meczu z Urugwajkami nikt nie ofiarował Polkom marnego kwiatka, nie mówił już o jakichś upominkach. W czasie całego pobytu w São Paulo i w Santos zaprosił siatkarki na skromne przyjęcie jeden tylko z rodaków, no i Klub 44.

Żenująco to wypada w porównaniu np. z Japonkami, które ich rodacy zakwaterowali na własny koszt w jednym z najlepszych hoteli i które jadały w najlepszych restauracjach japońskich, żeby broń Boże coś im nie zaszkodziło. Tak, ale my nie jesteśmy Japończykami, nas to za przeproszeniem guzik obchodzi co sobie o nas pomyślą jakieś tam siatkarki.

A r a m i s

Rozmaitości z Rio de Janeiro

ODZNACZENIA PISARZY POLSKICH

Dowiadujemy się, że znany pisarz polski i reżyser teatralny, Jerzy Kossowski, osiadły na stałe w Brazylii, odznaczony został tytułem honorowego obywatela miasta Rio de Janeiro.

Honorowym obywatelem Rio de Janeiro odznaczony został również pisarz Michał Rusinek.

SYLWETKI ZASŁUŻONYCH EMIGRANTÓW

FRANCISZEK GRYZEŁKO

Inż. Franciszek Gryzełko ma obecnie lat 60. W Brazylii zamieszkuje od roku 1934 i początkowo poświęcił się budowie dróg i mostów w stanie Parana.

W r. 1936 wystąpił na obszarze wszystkich stanów południowych, plantujących mate, ostry kryzys, spowodowany konkurencją plantatorów argentyńskich i związaną z tym gwałtowną niżką cen mate. Inż. Gryzełko, widząc ciężkie położenie rolników parańskich, z których większość stanowili Polacy, powziął myśl przestawienia produkcji rolniczej na inne artykuły, przede wszystkim zaś na hodowlę bydła. Pracując przy budowie dróg miał możliwość odwiedzania wielu kolonii polskich i wszędzie propagował przestawienie gospodarki na hodowlaną. Istniał pewien szkopał, który utrudniał realizację jego idei. Koloniści polscy nie mieli absolutnie pojęcia o weterynarii.



Inż. Gryzełko postanowił temu zaradzić. W r. 1937 napisał i wydał własnym sumptem poradnik p.t.: WETERYNARZ DOMOWY. Książka, rozdawana za darmo lub po cenie kosztu, trafiła do rąk rolników polskich i przyczyniła się w znacznej mierze do rozwoju hodowli w Paranie.

— Kosztowało mnie to wiele trudu — mówi inż. Gryzełko — pisałem mój poradnik przy świeczce w namiocie ale zadowolenie z tej pracy miałem duże.

W r. 1942 przeniósł się inż. Gryzełko do Rio de Janeiro, gdzie zasłynął wkrótce jako zdolny budowniczy. Pod jego kierownictwem wzniesionych zostało wiele gmachów użyteczności publicznej i domów mieszkalnych w Rio de Janeiro i Niterói. Inż. Gryzełko jest jednym z pionierów budowy wieżowców w Niterói. Zawdzięczać mu należy wyszkolenie personelu wyspecjalizowanego w tego rodzaju budownictwie.

Dziś inż. Gryzełko usunął się od aktywnej pracy ze względu na stan swego zdrowia, poświęcając się całkowicie pracy społecznej wśród miejscowej Polonii.

s. h.

R O D O F I E L S . A .

E X C E L Ê N C I A E M

T R A N S P O R T E

STRONICA PARAŃSKA

WIECZÓR KU CZCI MARII KONOPNICKIEJ

Polonia brazylijska lubi i ceni Marię Konopnicką. Jakże by mogło być inaczej, skoro jedno z najwspanialszych dzieł poetki "Pan Balcer w Brazylii" poświęcone było właśnie dziełom chłopca polskiego, który wyemigrował do Brazylii. Wszystkie dawne imprezy kulturalne urządzone zarówno w zapadłym interiorze, jak i w miastach włączały do swych repertuarów utwory autorki "Naszej szkapki". Dziś również, chociaż warunki się zmieniły, wiersze Konopnickiej cieszą się niezmiennym powodzeniem.

Z okazji pięćdziesiątej rocznicy śmierci poetki Tow. im. Tadeusza Kościuszki w Kurytybie urządziło w dniu 17 września b. r. "Wieczór Marii Konopnickiej", na który przybyli wielbiciele jej twórczości.

Uroczystość zagałęł prezes Towarzystwa, Zygmunt Sielski. Odczyt o życiu i twórczości poetki wygłosili J. Krawczyk i E. Czerwona. Wiersze recytowała z dużym wdziękiem panna Z. Jaskółowska. W dyskusji, która się następnie odbyła zabrali m. i. głos: ks. J. Zając, redaktor "Ludu", i dr. E. Żelak, przedstawiciel Sociedade União Juvenus, który podkreślił zasługę Towarzystwa im. Kościuszki w zakresie zapoczątkowania cyklu odczytów o wielkich i zasłużonych Polakach.

Na zakończenie wieczoru wyświetlony został film produkcji polskiej: "Kapelusz pana Anatola". Pogodny ten film bardzo się podobał licznie zebranej publiczności.

J. K.

MALARZ PARAŃSKI CZESŁAW LEWANDOWSKI

Czesława Lewandowskiego słusznie można nazwać malarzem parańskim, gdyż większość jego dzieł poświęcona jest pejzażowi parańskiemu.

Mieszka nasz malarz w Kurytybie w pięknym domu, zbudowanym na wzgórzu, w którym każde drzewo posadzone jego własną ręką jest skojarzone ściśle z krajobrazem — niczego tu dodać, ani ująć nie można.

Jest wieczór wiosenny, jeden z tych wieczorów chłodnych i bezwietrznych tak żywo przypominających Polskę. Lewandowski otworzył okno pracowni. Zapach zwiędłych liści i tamaryszku wpada do pokoju — jest to zapach smutku. Siedzimy naprzeciw siebie. Artysta zagłębiony w fotelu wygląda jakby był mniejszy, niż jest w istocie. Twarz szlachetna, dobrotliwa, którą siwiejąca bródka nieco postarza.

Dłuższą chwilę milczymy. Potem pytam o dane biograficzne.

— Dane biograficzne? — powtarza Lewandowski. — Kogo może interesować moje życie? Mogę powiedzieć jedynie, że jest ono podobne do życia innych artystów, którzy rozdzielili się w cierpieniu, żyli w cierpieniu i umarli w cierpieniu. Ale jeżeli to pana interesuje wyjaśnię, że urodziłem się w Zgierz, studiowałem w Akademii Sztuk Pięk-

nych w Krakowie; w Brazylii mieszkam od roku 1927. Kawał czasu — dość, żeby się przyzwyczaić i pokochać ten kraj.

Rozmawiamy o sztuce. Czesław Lewandowski jest malarzem filozofem. Powtarza chętnie za Teofilem Gautier: "Wszystko mija. Tylko sztuka, potężna i boska, jest wieczna".

Zapytuję co sądzi o malarstwie współczesnym. Lewandowski ożywia się. Na błądych jego ustach pojawia się nikły uśmiech.

— Sztuka — powiada — była zawsze odłaskiem epoki, w której malarz żyje. Ta epoka jest wyjątkowo burzliwa, stary świat upada, nowy rodzi się w bólach. Stygmat okresu, przeżywanego przez nas, to zniszczenie. Wszystko dokoła przekształca się, upada. I dlatego sztuka współczesna też jest nacechowana zniszczeniem — tak przynajmniej twierdzi Pietro Ubaldi. Znajduje się ona w dekadencji. Artyści nie są w stanie nadążyć za zawrotnym postępem czasu.

— A co pan sądzi o malarstwie abstrakcyjnym?

— Nie jestem mu przeciwny. Uważam jedynie, że jest to malarstwo wyjątkowo trudne. Malarz abstrakcjonista powinien, chcąc dobrze malować, wyjść poza świat fizyczny. Abstrakcja zaczyna się poza światem fizycznym, w czwartym wymiarze. Nie każdy to potrafi, jest na tym poziomie. Większość to naśladowcy, ogarnięci epidemią modernizmu. I tu się zaczyna tragedia. Prawdziwy artysta musi wiedzieć co maluje i wierzyć w to co maluje.

SEBASTIAN ARHENS

KOŁO PRZYJAŹNI POLSKO-BRAZYLIJSKIEJ

Jak się dowiadujemy grono osób dobrej woli postanowiło zorganizować komitet, mający na celu opracowanie statutu i programu działania Koła Przyjaźni Polsko-Brazylijskiej.

Projektowane Koło będzie dążyło do zbliżenia polsko-brazylijskiego w dziedzinie kulturalnej i gospodarczej. Przewidziane jest wydawanie periodycznych publikacji, zaznajamiających z działalnością kolonii polskiej w Brazylii i wynikami tej działalności dla rozwoju ekonomicznego i kulturalnego kraju.

M. H.

STUDIUM O PANU BALCERZE

Dowiadujemy się, że Wojciech Breowicz opracował studium p. t. "Piewczynie balcerowej prawdy", w którym stara się wykazać konkretne fakty zawarte w poemacie "Pan Balcer w Brazylii".

Praca przekazana została Zjazdowi Miłośników Twórczości Marii Konopnickiej, który odbył się 15 września b. r. w Żarnowcu pod Krosnem w woj. rzeszowskim.

Trzy po trzy

Pewien znany przemysłowiec parański, polskiego pochodzenia, po wieloletnim pobycie w Brazylii zdecydował się na naturalizację.

W czasie egzaminu z historii Brazylii, zapytano go, czy wie kto to był Dom Pedro II?

— Naturalnie. Dom Pedro II był ostatnim cesarzem w tym kraju.

— No, dobrze, a jak się nazywał ojciec Dom Pedra II?

— Dom Pedro I.

— Widzę, — powiedział egzaminator, nie ukrywając zadowolenia, — że zna pan doskonale historię Brazylii. A kto był ojcem Dom Pedra I?

— Dom Pedro Zero. — wypalił bez zająknięcia przemysłowiec.

COMERCIAL POLPARANÁ S.A.

IMPORTAÇÃO — EXPORTAÇÃO — REPRESENTAÇÕES

TRATORES DE ESTEIRAS - TRATORES DE PNEUS - IMPLEMENTOS AGRÍCOLAS - COLHEDEIRAS - CARRETAS - MAQUINARIA PARA TERRAPLANAGEM E EQUIPAMENTOS CONGÊNERES - ESCAVADEIRAS - ARAMES-GRAMPOS - MÁQUINAS OPERATRIZES - MATERIAIS ELÉTRICOS - CENTRAIS TELEFÔNICAS - EQUIPAMENTOS CIRÚRGICOS - APARELHOS CIENTÍFICOS PARA LABORATÓRIOS - MOTORES ESTACIONÁRIOS - MAQUINARIAS E EQUIPAMENTOS P/ INDÚSTRIAS - BEBIDAS E COMPOTAS ESTRANGEIRAS.

ALAMEDA CARLOS DE CARVALHO, 356/360 - FONE: 4-1574

CURITIBA — PARANÁ — BRASIL

STRONICA CZYTELNIKA

Stronicę niniejszą poświęcamy wspomnieniom naszych czytelników. Poprawiając styl tylko tam gdzie to jest konieczne, ze względu na rażące błędy, będziemy umieszczać wszystkie ciekawe utwory ludzi nawet nie władających biegle piórem. Chcemy aby z tych kart przemówiło samo życie.

REDAKCJA

Z MOICH PRZEŻYĆ I OBSERWACJI

JÓZEF GRABIAS

Każda epoka ma swoje problemy i zadania. W naszych czasach postęp techniczny zyskał znaczenie dominujące. Ma on uwolnić szerokie rzesze od nędzy, podnieść stopę życiową.

Wielu ludzi zachwyca się przemianami, które postęp techniczny przynosi. Inni kiwają smętnie głowami:

— Tak, — powiadają — mamy teraz coraz lepsze maszyny, aparaty ale ludzie są coraz gorsi...

Wyda mi się, że ci ostatni mają dużo racji. Bo wartości wewnętrzne człowieka nie tylko zostały zaniedbane ale i warunki życia działają na ich obniżenie.

Czas już najwyższy odrobić popelnione błędy, pomyśleć o człowieku, o podniesieniu jego wartości wewnętrznych.

Na przykładzie własnych doświadczeń chciałbym wykazać jakie znaczenie mają te wartości w życiu ludzkim.

Urodziłem się i wzrastałem w Polsce w gospodarstwie rolnym. To że w piątym roku życia nauczyłem się czytać i że w tymże roku czytałem już niezłe podaje na odpowiedzialność starszego rodzeństwa, bo tego nie pamiętam. Pamiętam natomiast, że mając sześć lat byłem nauczycielem. A jakże! Uczyłem czytania dorosłego służącego w naszym gospodarstwie.

W następnych latach starając się o książki gdzie się tylko dało i nie przeglądając ich — układałem w stosik i czytałem kolejno tak, że każda następna stronica była dla mnie zagadką. Powtarzam nigdy nie pozwalałem sobie na uprzednie przeglądanie książek.

Każda książka była dla mnie interesująca ale wołałem naukowe. Nie czytałem nigdy godzinami (i do dzisiaj tego nie robię) lecz 15-20 minut, po czym przetrawiałem w umyśle przeczytane.

Gdy skończyłem 15 lat przyszło na mnie wielkie zadanie: prowadzenie i wykonywanie wszystkich prac męskich w gospodarstwie 30-to morgowym przy pomocy młodszego o rok chłopca.

Było to zadanie niełatwe jak na ten wiek. Ale mając już nagromadzonych sporo projektów ulepszenia gospodarstwa wziąłem się chętnie do ich wykonywania.

Praktyczne przeprowadzenie zamiarów teoretycznych jest jednak nieco trudniejsze — nie zawsze się to udaje.

Tak to trwało około sześciu lat.

Co z tego okresu wyniosłem? Oto, że by nie przekarmiać się teorią lecz kojarzyć ją z praktyką na tle rzeczywistych potrzeb życiowych.

Tu wymienię z tego okresu kilka momentów ubocznych.

Gdy w r. 1905 pod zaborem rosyjskim nastąpiła "wolność" świeżo zorganizowana Macierz Szkolna upoważniła mnie po złożeniu prowizorycznego egzaminu do otwarcia szkoły dla dzieci. Byłem wówczas naprawdę siedemnastoletnim nauczycielem. Lecz niedługo to trwało. Rząd rosyjski prędko ochłonął. Przyszła policja, nakazała zamknięcie szkoły. Ukazano mnie administracyjnie pięciodniowym aresztem i zapowiedziano, że jeżeli wznowię lekcje zostaną wysiedlone.

Nie całkiem jednak dałem za wygraną. Utworzyłem własnym kosztem biblioteczkę złożoną z kilkudziesięciu książeczek i w niedziele wypożyczałem je dzieciom. W tym Moskale mi nie przeszkadzali. Może nie wiedzieli co robię.

Gdy skończyłem 21 lat po wczesnym ożenku umknąłem z żoną do Brazylii. Głównie dlatego, że nie chciałem być rosyjskim żołnierzem.

Osiadliśmy na roli. Teren wzięliśmy na raty. Teraz potrzeby się spiętrzyły. Do najprymitywniejszego bodaj urządzenia gospodarstwa potrzebne są krowy, konie, wóz, pług i inne narzędzia. Nie było budynków, trzeba było stawiać płoty, splacać ziemię. A my mieliśmy tylko gołe ręce i puste kieszenie.

Jak zacząć? Zaczęliśmy tak: połowę czasu poświęciłem uprawie ziemi przy pomocy pożyczonych koni i plugu (tu nowa trudność — nie było obornika, musiałem kupować nawozy sztuczne). Reszta czasu zużywana była na pracę zarobkową. Mieliśmy na szczęście sąsiadów, z których jeden dawał lekcje muzyki w mieście, drugi pracował w elektrowni. U nich to właśnie byliśmy zatrudnieni biorąc po 300 rejsów za godzinę. Pracowało się do 18 godzin dziennie, zwłaszcza latem. Pracując w ten sposób można było po roku lub półtora kupić krowę pod warunkiem stosowania jak największej oszczędności. Po dalszym roku mogliśmy kupić konia i t.d. Co do budynków to mając na swym terenie piniory różniliśmy z żoną belki, krokwie, deski. Zabudowania kleciłem sam. Pracując i oszczędzając pełnych 20 lat zdolałiśmy wreszcie osiągnąć wszystko co najniezbędniejsze.

Były też dodatkowe trudności: w pierwszych latach brak przystosowania do tutejszego klimatu, a później — żona ze skłonnością do anemii. Nie było prawie tygodnia, żeby się nie położyła do łóżka na parę dni, a czasem na cały tydzień z braku sił.

Gdy po jakichś 35-ciu latach spotkałem posiwiatego już sąsiada z tamtego okresu, powiedział:

— Widziałem z bliska wasze zmagania — to była katorga. Ale przynajmniej mieliście co jeść. Ja bywałem głodny.

Całe to dwudziestolecie było niezmiernie pracowite. Nie można już było po prostu wydobyć z siebie więcej wysiłku. Lecz wyniki następowały zwykle prędzej, niż się oczekiwało. (Nigdy zresztą nie liczyłem na łatwe zdobycze). Chciałem np. poświęcić się jak najszybciej całkowicie własnemu gospodarstwu i nie musieć pracować zarobkowo. Liczyłem, że trzeba mi będzie na to 7 do 8 lat, tymczasem udało mi się usamodzielnic przed piątym rokiem.

Dokończenie na str. 47

MOJE PRZYGODY W BRAZYLII

STEFAN POCHWATKA

Prawie każdy człowiek ma jakiś pamiętny dzień w życiu. Czasem jest to tragiczny moment, a czasem wesoły i szczęśliwy.

Dla mnie jeden z takich pamiętnych dni, który dokonał przełomu w życiu i zadecydował o moim losie, był to dzień mojego przyjazdu do Brazylii. Pamiętam nie tylko ten dzień ale i godzinę. Stało się to 1 maja 1929 roku o godzinie 9 wieczór, kiedy polski statek "Światowid", na pokładzie którego znajdowało się kilkudziesięciu emigrantów z Polski, przybił do brazylijskiego portu Rio de Janeiro.

Piękny, niezapomniany i emocjonujący był to widok.

Później pojechałem do miasta Porto Alegre, nie dlatego, że miałem jakieś informacje ale tak losy zrzędzili. Porto Alegre, jak wiele miast brazylijskich i interior, ma swój charakterystyczny sposób życia. Dla nas świeżych emigrantów z Polski był on dziwny i niezrozumiały i musiało upłynąć kilka lat, aby się do niego przyzwyczaić.

Ciężkie i przykre były te pierwsze dni dla takich jak ja emigrantów bez fachu, ludzi ze wsi, którzy wyemigrowali za ocean w celu polepszenia sobie bytu.

W Porto Alegre o pracę w fabryce było trudno, więc trzeba było chwycić się roboty jaka się znalazła. Ja znalazłem pracę na ulicy przy zalewaniu cementem chodników. Praca ta wyczerpywała siły i zdrowie. Np. przywieźli pełen kamion cementu i kilka kamionów piasku, wysypując to na środek ulicy. Do wymieszania tego piasku z cementem postawili z łopatami dwóch takich jak ja młodych i z wyglądu tęgich i zdrowych ludzi i machaj bracie łopatą od rana do południa i od południa do wieczora.

Marzyłem, żeby tylko zarobić na powrotną podróż do Polski, więc starałem się przypodobać pracodawcom i pracowałem ile mi tylko sił starczyło. Po trzech miesiącach tej katorgi siły mnie opuściły i straciłem nadzieję powrotu do Polski. Ogarnął mnie smutek, a nawet rozpacz i nasuwały się refleksje dlaczego i poco ja tutaj przyjechałem i jaka będzie moja przyszłość.

Pewnego raz pogrążony w ciężkich myślach przy pracy nie zauważyłem jak ktoś przy mnie stanął. Dopiero jak na mnie zawołał podniosłem głowę. Ujrzałem porządnie ubranego mężczyznę. Był to znajomy ze statku, na którym przyjechaliśmy do Brazylii.

Po krótkiej wymianie słów jak się komu powodzi ów znajomy zaczął mi opowiadać takie historie, że świat przedstawiał mi się w innych kolorach. Tłumaczył mi, że nie trzeba się tak męczyć, bo w Brazylii można dobrze żyć. Np. on był w kolonii, stąd od Porto Alegre jakieś sto kilometrów i tam mieszkają Polacy. Niektórzy już dawno jak z Polski przyjechali, a większość to już tutaj w Brazylii urodzeni. I nawet Porto Alegre nie znają. Dobrze sobie żyją i siedzą jak u Pana Boga za piecem.

Rośnie tam wszystko: kukurydza, kartofle, pszenica i trzcina cukrowa, z której ci ludzie przygotowują różne słodycze. Nie tak jak w Polsce, gdzie jak chciałeś zjeść coś słodkiego to musiałeś matce ukraść birkę cukru.

Po takim opowiadaniu już mi się więcej pracować nie chciało. Ciągnęło mnie do pól i lasów i znalazłszy towarzyszy podróży pojechałem na ową polską kolonię.

Pięknie tam było nad Rio das Antas. Teren górzysty przypominał polskie Karpaty. Wgramolisz się na taką wysoką górę i patrzysz w dół. Płynie tam rzeka i wygina się w lewo i w prawo między górami i lasami. Nad rzeką stoją domy i ludzie się koło nich kręcą. Krowy się wałęsają tu i tam. Wietrzyk ciepły powiewa. W otoczeniu pięknej natury życie jest piękne. Zżyłem się z tymi ludźmi jak bym się urodził i wychował razem z nimi i zamieszkałem tam dłużej czas.

Pewnego dnia jeden z moich sąsiadów, prawdziwy Polak, zaproponował, żebym wsiadł na jego osła i przejechał się. Na koniu już nie jeden raz jeździłem, a burro jest podobny do konia, więc prawie to samo. I bez namysłu siupnąłem na grzbiet tego rumaka.

Jeszcze się nie rozejrzałem, a burra już pode mną nie było. Gdzie się podział nie mogłem wiedzieć, bo w tym czasie znalazłem się na dnie wąwozu. Wiem, że leciałem na dół razem z kamieniami i gałęziami mnie szarpały i kaleczyły twarz. Kiedym rozcierał łokcie i kolana i spójrzałem do góry oni tam u góry, niby moi przyjaciele, z czegoś się cieszyli. Nie mogłem podzielić z nimi tej wesołości, bo mnie wszystkie kości bolały.

Z wielkim trudem, czeplając się gałęzi, na czworakach, wylazłem z tej dziury i po krótkiej rozwadze doszedłem do przekonania, że na żadnego burra nie opłaci się wsiadać i nikt mnie więcej do

tęgo nie namówi. Do dziś do żadnego osła nie mam zaufania.

Coś podobnego przydarzyło się mojemu koledze tylko, że poleciał nie na dół lecz w górę.

Kolega ten przyjechał do mnie z wizytą z Porto Alegre i jako były polski kawalerzysta objawił chęć przejechania się konno do miasteczka.

Ludzie tu łagodnego usposobienia i uczynni. Bez słowa protestu osiedłali konia.

Na widok rumaka w koledze zagrała żyłka kawaleryjska, z gracją wskoczył na siodło. Nie wiem jak to się stało dość, że gdy spojrzałem kolegi na koniu nie było, tylko sam koń stał pod pomarańczą. Przyjrzałem się lepiej i spostrzegłem wreszcie kolegę. Siedział na drzewie pomarańczowym, a właściwie na gałęzi.

Trudno mu było stamtąd zlażyć. Porozdzierał sobie nowy garnitur, na twarzy miał czerwoną krechę. Później się tłumaczył, że siadał na konia nie na pomarańczę. Ale ci ludzie nie okazują żadnego współczucia, jeszcze się śmieją z człowieka. Psiakrew!

(D. c. nastąpi)

Z MOICH PRZEŻYĆ I OBSERWACJI

Dokończenie ze str. 46

Co osiągnąłem w tym dwudziestolecu (nie biorąc, oczywiście, w rachubę zdobyczy materialnych)? Oto osiągnąłem żelazną wytrzymałość, która nie pozwoliła mi nigdy na narzekanie i która kała mi patrzeć śmiało, a nawet wyzywająco na piętrzące się trudności życiowe.

(D. c. nastąpi)

**Czas
odnowić prenumeratę
na
'PRZEGLĄD POLSKI'**



PARKING SAMOCHODOWY PRZY
GRAND HOTELU W WARSZAWIE

JEST PRAWDZIWEK ...



KOŚCIÓŁEK DREWNIANY
W ZAKOPANEM

AKTORKA FILMOWA
TERESA SZMIGIEŁOWNA



ODBUDOWANY POMNIK TADEUSZA
KOŚCIUSZKI W KRAKOWIE

PRZEGŁĄD POLSKI
Redakcja i Administracja

KONKURS

Z dniem dzisiejszym rozpoczynamy nasz wielki konkurs p.t. "WIĘCEJ CZYTELNIKÓW — LEPSZE PISMO".

Weź w nim udział, werbując nowych prenumeratorów "Przeglądu Polskiego".

Za każdego nowego prenumeratora płacimy premię w wysokości:

za 1 prenumeratora	Cr\$ 70,00
za 2 prenumeratorów	Cr\$ 150,00
za 3 " 	Cr\$ 240,00
za 4 " 	Cr\$ 350,00
za każdego następnego prenumeratora	Cr\$ 100,00

Ponadto za uzyskanie każdych 10 prenumeratorów dajemy w nagrodę piękną książkę polską.

WARUNKI:

Wpisz na odwrocie niniejszej ulotki imiona, nazwiska i adresy nowych prenumeratorów i prześlij otrzymane za prenumeratę pieniądze pocztą pod adresem:

Sociedade Brasileira de Expansão Comercial Ltda.
São Paulo, rua Barão de Itapetininga, 255 - conj. 811

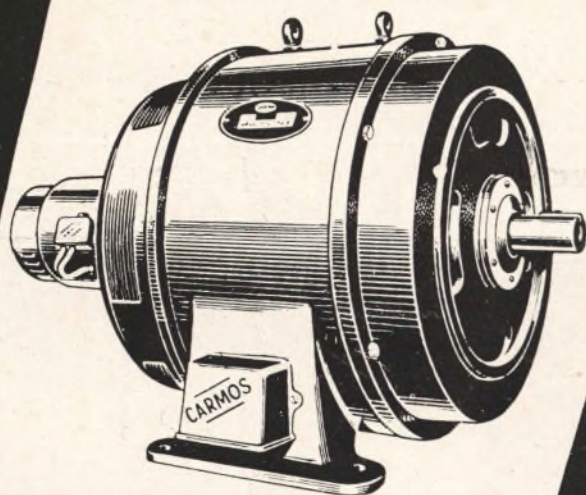
Prenumerata roczna "Przeglądu Polskiego" wynosi Cr\$ 300,00 (za 6 nr).

PREMIE PIENIĘŻNE I KSIĄŻKI WYSYŁAMY BEZZWŁOZNIE!

CARMOS

SILNIK DOSKONAŁY!

WYSOKA WYDAJNOŚĆ, MOC, OSZCZĘDNOŚĆ:
CARMOS JEST JEDYNYM SILNIKIEM, KTÓRY ZOSTAŁ
ZAREJESTROWANY JAKO "SILNIK RÓWNY ZAGRANICZ-
NYM" (MIN. SKARBU D.O. DA UNIÃO DE 12-2-55.)



Carmos

O GERADOR PERFEITO!

alto rendimento, robustez, economia:
Carmos é o único gerador que recebeu
o registro de "similar aos estrangeiros" (Min.
da Fazenda, D. O. da União de 12-2-55).

Carmos

S. A.

a 1.ª fábrica de geradores do Brasil

Rua Borges de Figueiredo, 455 — Fones: 9-9469 — 9-1117
9-6017 — C. Postal 5300 — End. Tel.: "CARMOS" — S. Paulo

Lince 2616

EDITORA - DIFUSORA

- PROMOTORA -

Polung Ltda.

Organização wydawnicza
t e c h n i c z n a

MIESIĘCZNIKI :

- ☆ REVISTA DAS INDÚSTRIAS
- ☆ MÁQUINAS E EQUIPAMENTOS MODERNOS
- ☆ MATÉRIAS PRIMAS
- ☆ INDÚSTRIA NAVAL
- ☆ INDÚSTRIA NUCLEAR
- ☆ FAZENDEIRO E CRIADOR

CZYTAJCIE — PRENUMERUJCIE

OGŁASZAJCIE
W MIESIĘCZNIKACH

które stanowią lekturę obowiązuącą ludzi
przodujących w życiu gospodarczym i prze-
mysłowym Brazylii.

SAO PAULO — Rua Ant. Godoi, 122, 10.º Cj. 122 —
Cx. P.: 5510 Tel.: 36-7988 (Ram.) - Telegr.: POLUNG

FERRAMENTAS FIRST LTDA.



PRIMEIRO NOME EM FERRAMENTAS

ESPECIALISTAS EM FERRAMENTAS DE CORTE

BITS

BROCAS

FRESAS

MACHOS

COSSINETES

PLACAS

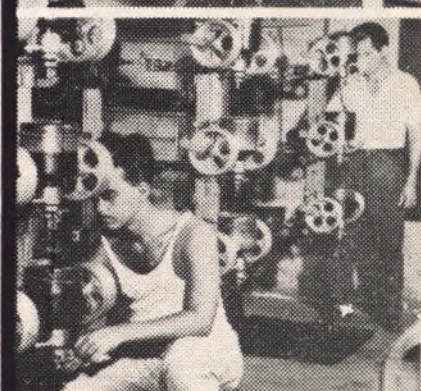
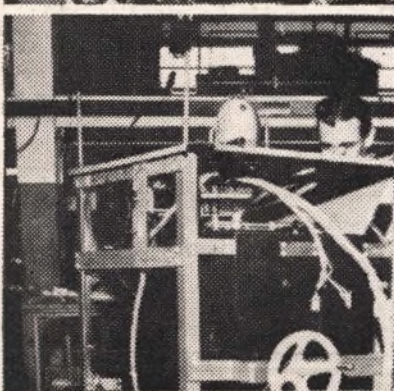
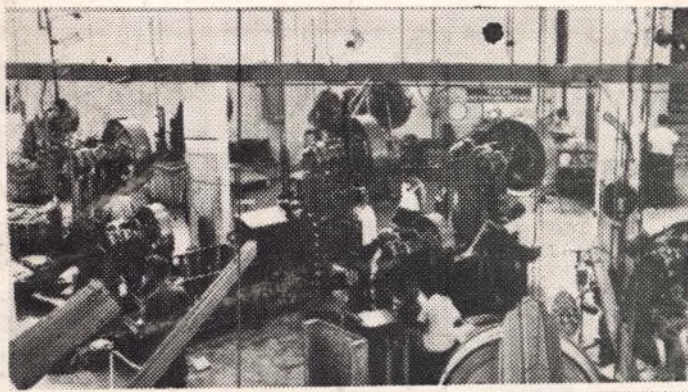
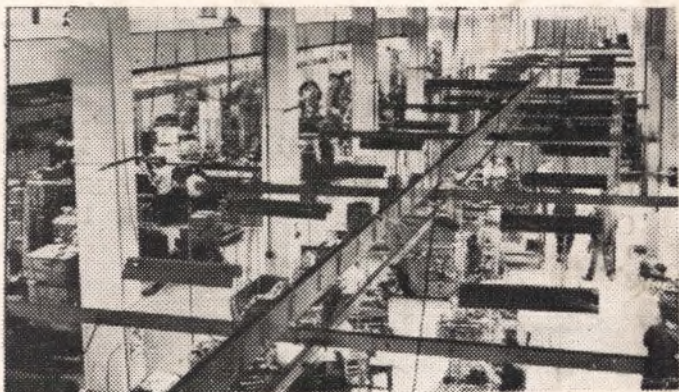
ALARGADORES

PASTILHAS DE METAL

DURO ETC.

Rua Florêncio de Abreu, 78 — Fones: 35-5843
e 35-2343

SÃO PAULO



ELETROMAR



...PRECISÃO
...SEGURANÇA
...QUALIDADE



- LINHA INDUSTRIAL
- LINHA DE ILUMINAÇÃO
- LINHA DOMÉSTICA
- LINHA DE RETIFICADORES

Concessionários & Distribuidores



WESTINGHOUSE
Electric International Co., Nova York, USA



WESTINGHOUSE
Brake & Signal Ltd., Londres, Inglaterra

SOLA
Electric Co., Chicago, USA

ELETROMAR

INDÚSTRIA ELÉTRICA BRASILEIRA S/A.

**RIO DE JANEIRO
SÃO PAULO**

●
ORGANIZAÇÕES DE VENDAS EM:

Pôrto Alegre	Salvador
Curitiba	Recife
Belém	Fortaleza
Belo Horizonte	Brasília